

WOLNA
SOBOTA

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Sędzia Beata Morawiec: Będziemy
orzekać zgodnie z konstytucją ►24
Radosław Rak: Przechodziłem
stadium poczwarki ►28
Netflix na wojnie kulturowej ►35



**100 DNI
WOJNY**

Ile jeszcze
potrwa ten
koszmar?



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

FRANCIS
FUKUYAMA

Putin żyje urojeniami

FOT. STEPHANE GRANGIER/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



22>



**Ostateczny koniec
finlandyzacji,
czyli Skandynawia
urywa się Rosji**



WYSOKIE OBCASY

Anna Dziewit-Meller:
Trzymam się miłości
Aleksandra Waliszewska
i jej mroczne obrazy

Sobota-niedziela, 4-5 czerwca 2022 | Redaktor prowadzący Marcin Kącki | Cena gazety 8,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 129.10017, 1

Nakład 110 tys. + 290 tys. prenumerat cyfrowych

Bartosz T.
Wielński

PiS wykorzystuje polityczny wiatr

Kto dziś pamięta o tym, że Andrzej Duda zwlekał z gratulacjami dla Joeego Bidena, a Jarosław Kaczyński uznał, że prezydenturę Bidena trzeba przeczekać? Inwazja Rosji na Ukrainę spowodowała, że relacje polsko-amerykańskie wróciły na dawne tory. Biden wysłał do Polski dodatkowych żołnierzy i odwiedził Warszawę. PiS zrozumiał, że potrzebuje sojusznika, a USA – strategicznie położonej Polski, by pomagać Ukrainie. Gorzej w relacjach z UE, ale faktem jest, że sojusz PiS z proputinowskimi partiami zachodniej skrajnej prawicy obumarł, a premier Morawiecki nie spotyka się już z Marine Le Pen.

Wizerunek Polski się poprawił – to efekt gigantycznej, oddolnej mobilizacji polskiego społeczeństwa, które pomaga uchodźcom

Wizerunek Polski błyskawicznie się poprawił.

To efekt gigantycznej, oddolnej mobilizacji polskiego społeczeństwa, które od trzech miesięcy pomaga setkom tysięcy ukraińskich uchodźców. Cały świat patrzy na nasz kraj z podziwem i władza z tego korzysta. Warszawa kreuje się na głównego rzecznika

Ukrainy, a Duda na najbliższego przyjaciela prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. A jednocześnie Polska stała się moralną wyrocznią i krytykuje innych przywódców za opieszałość w nakładaniu sankcji na Rosję i zbyt małe dostawy broni dla Ukrainy. Krytyka nie dotyczy oczywiście Viktora Orbána, premiera Węgier, który zakazał przewozu pomocy wojskowej przez swój kraj i doprowadził do złagodzenia embarga na rosyjską ropę. Polska najchętniej krytykuje Berlin, co wpisuje się w prowadzoną od lat przez polityków PiS nagonkę, więc wojnę w Ukrainie władza wykorzystuje, by utrzymać poparcie elektoratu.

Wspieranie Ukrainy, gdy wiatr wieje z dobrego kierunku, jest prostym zajęciem. Tym bardziej że zaabsorbowani wojną partnerzy na chwilę zapomnieli o grzechach polskiej władzy: łamaniu praworządności, niszczeniu wolnych mediów, nieuczciwych wyborach prezydenckich.

Wojna w Ukrainie, sankcje, niedobór żywności – to będą poważne konsekwencje, a zapal do pomocy napadniętemu krajowi będzie gasł. Społeczeństwa zobojeźniają, pojawiają się pytania, czy Ukraina nie powinna Rosji oddać części terytorium. Tym bardziej że na ukraińskiej scenie politycznej już zaczynają odzywać zamrożone podczas inwazji konflikty. Polska będzie musiała przekonywać UE i NATO, by nie zmniejszały zaangażowania, pilnować, by Ukraina trzymała się demokratycznej ścieżki.

Czy Polska będzie w stanie skutecznie wspierać Ukrainę, gdy wiatr będzie wiał z innej strony? ●

Andrzej rysuje



Chiny Szanghaj znów otwarty?



FOT. NINGH GUAN/AP / AP

Mieszkańcy Szanghaju ćwiczą w maskach wzdłuż nabrzeża. Władze miasta zapowiadają, że podejmą w tym tygodniu poważne kroki, by znów otworzyć to jedno z największych miast Chin. Przez dwa miesiące Szanghaj objęty był bowiem kwarantanną z powodu COVID-19

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Florence Welch Wrażliwa maszyna

Urodziłam się w wianku i w wianku będę pogrzebana – żartuje Florence Welch, frontwoman uwielbianego w Polsce Florence and the Machine. Grupa w sobotę występuje na Orange Warsaw Festival.

– Najmilszą rzeczą na koncertach jest oglądanie tych wszystkich przebranych i zaangażowanych fanów. To niesamowite, bo w czasie występu mam prawdziwe show przed sobą, gdy obserwuję fanów – mówi Welch.

Fani i fanki przebijają się dla niej. Nieważne, czy są beztroskimi nastolatkami, czy dorosłymi. Na koncertach mogą się wyszaleć, przenieść w inny stan świadomości. Ten na pograniczu mistycyzmu i romantyzmu. Bo te koncerty porywają i hipnotyzują, wciągają od pierwszych dźwięków.

Bez Welch nie byłoby sukcesu grupy. Pewna siebie, przebojowa, z jasno określonym stylem. Ubięła się w kobiece i powłóczyście suknie rodem z babcięcej szafy, na palce wkładała ciężkie złote pierścienie.



FOT. TOMASZ STANCAK

nie, we włosy wplatała kwiaty, a po scenie biegła boso.

W tekstach Welch od początku była szczera i wrażliwa. Gdy śpiewała „Muszę mieć serce lwicy gotowej do ataku”, ludzie jej wierzyli. Na kolejnych płytach odkrywała się coraz bardziej. Na trzecim albumie, „How Big, How Blue, How Beautiful”, śpiewała o uzależnieniu od alkoholu i środków odurzających.

Od ośmiu lat żyje wolna od uzależnień. Najnowszy album „Dance Fever” jest jej drugim nagraniem w trzeźwości, na który przelewała swoją fascynację tańcem. ●

Małgorzata Muraszko

Proces końca świata



FOT. JIM WATSON/AP

Johnny Depp wygrał proces o znieważenie z byłą żoną Amber Heard. A świat utonął w memach i obojętnie na realne wyzwania

► 8

W poniedziałek w „Wyborczej”

Ekonomia+

Gospodarcze tsunami

– Mam nadzieję, że ściganie się w populizmie z PiS-em nie jest strategią PO – mówi prof. Leszek Balcerowicz. – PiS doprowadził gospodarkę do takiego stanu, że „zwykły rząd partyjny nie poradzi sobie z sytuacją gospodarczą, która się szykuje”.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Duży Format

Surogatki na wojnie

Jelena w brzuchu ma dziecko Australijczyków. Przysyłają pieniądze, ale po noworodka ciężko będzie im się przedostać do Ukrainy. Do Alony od razu w pierwszych dniach wojny zadzwoniła biologiczna matka: Przyjeżdżajcie do Neapolu!

Top3
Wydarzenia najbliższego tygodnia

Sobota

Kaczyński i konwencja PiS

1 Szef PiS spotka się z działaczami w podwarszawskich Markach, gdzie ogłosi początek ofensywy, która ma dać partii zwycięstwo w przyszłorocznych wyborach.

– Wszyscy, którzy spodziewają się fajerwerków, będą zawiedzeni. To spotkanie ma służyć podsumowaniu tego, czego dokonaliśmy, co mamy do zrealizowania, by zmotywować działaczy do cięższej pracy – powiedział PAP sekretarz generalny PiS Krzysztof Sobolewski.



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL (2), ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Środa

Polska, gola!

2 Najważniejszy jest mundial w Katarze – tego selekcjoner Czesław Michniewicz nie zamierzał ukrywać przed meczami rozpoczętej w czerwcu Ligi Narodów. Ale właśnie te mecze pomogą mu wybrać piłkarzy, których zabierze na mistrzostwa świata. Polacy w środę zagrają na wyjeździe z Belgią, drugą drużyną rankingu FIFA. Trzy dni później z Holandią, także na wyjeździe, a 14 czerwca rewanż z Belgią (w Warszawie). Kolejne spotkania we wrześniu.



Środa

Jeszcze wyższe raty

3 Inflacja bije rekordy, a Rada Polityki Pieniężnej będzie bić kolejne w szybkości podnoszenia stóp procentowych. To będzie już dziewiąta z rzędu podwyżka. Ekonomści szacują, że wyniesie pół punktu procentowego, czyli z obecnych 5,25 proc. zmieni się na 5,75 proc. Efekt? Oczywiście wyższe raty. Na każde 100 tys. zł pożyczone od banku będzie to ok. 30 zł więcej. Przy kredycie na pół miliona to już 150 zł. I zapewne nie będzie to ostatnia podwyżka.



Cytat dnia



(...) Kiedy niemiecki rząd podpisywał koalicję, wyraźnie powiedział, że chce stać na czele tej sfederalizowanej Unii Europejskiej. To jest też szeroki niemiecki plan i w związku z tym, że Donald Tusk właściwie nie był im do niczego potrzebny, to podjęto decyzję i grzecznie go poproszono, żeby zrezygnował

ANNA ZALEWSKA
europosłanka PiS, wPolityce.pl

Paliwa nie będą już tanie

Kosztowny rozwód z Rosją – idą koszty!

Rząd PiS domagał się „derusyfikacji” zakupów ropy, ale czy przygotował do tego Polaków?

Kublik



Stało się to, co było nie do wyobrażenia zaledwie kilka miesięcy temu. W przedostatnim dniu maja szczyt przywódców UE podjął decyzję o wprowadzeniu embarga na ropę naftową z Rosji, drugiego co do wielkości producenta i eksportera tego surowca na świecie. Ma wejść w życie pod koniec roku, a dwa miesiące później zakaz wwozu do UE obejmie również paliwa z Rosji. Taką decyzję podjęto po niemal czterech tygodniach przepychanek z premierem Węgier Viktorom Orbánem, który kładł się niczym Rejtan, broniąc najważniejszego źródła dochodów budżetu Rosji. Wytargował zwolnienie na parę lat z embarga Węgier, które z Rosji sprowadzają około dwóch trzecich ropy naftowej do produkcji paliw, a także Słowacji, gdzie jedyna rafineria należy do węgierskiego koncernu MOL. Ale nawet z takimi ulgami eksport rosyjskiej ropy naftowej do Europy zmaleje o 90 proc.

Dla Rosji to dotkliwy cios. Prawie połowę eksportowanej ropy naftowej rosyjskie koncerny wysyłały do Europy i był to rynek cen premium, jak niedawno przyznał rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow. Teraz Rosja straci tak cenny rynek i związane z nim dochody. A ponieważ natura próżni nie znośi, lukę po rosyjskich naftiarzach wypełnią ich konkurenci z innych części świata.

Tych strat Rosja nie zrekompenzuje zwiększonym eksportem do Indii czy Chin. Po prostu rosyjska infrastruktura do eksportu ropy naftowej

nie jest rozbudowana i nie da się też do niej przetranszować surowca ze złóż, z których czerpie się ropę przeznaczoną dla Europy. A do tego mogą dojść restrykcje ubezpieczeniowe, które dodatkowo utrudnią dostawy tankowcami rosyjskiej ropy do Azji.

Pozbawiając Rosję strumienia petrodolarów, UE chce zmusić Kreml do zakończenia wojny z Ukrainą i uniemożliwić Moskwie agresję na kolejne państwa. Ale cenę za to będą musieli też zapłacić mieszkańcy Europy. Po zatwierdzeniu decyzji o embargo na ropę z Rosji cena europejskiej ropy naftowej Brent podskoczyła do poziomu wyższego niż po lutym ataku Rosji na Ukrainę.

Nie ma wątpliwości, że w czasie najbliższych wakacji tankowanie będzie rekordowo drogie. Fatih Birol, szef Międzynarodowej Agencji Energii, nie wykluczył nawet, że podczas tegorocznego szczytu wyjazdów wakacyjnych może się pojawić deficyt paliw i dla jego usunięcia trzeba będzie przeprowadzać dodatkowe interwencje na rynku. Ale jednocześnie wzlatywać będą rachunki za tankowanie.

I to jest cena niezależnienia od rosyjskiej energii i powstrzymania ekspansjonizmu Putina i jego kumpli, o której rząd powinien uprzedzić Polaków. Opowieści o tym, że sankcje powinny szkodzić tylko rosyjskiemu agresorowi, to bujda i woda na młyn wymierzonej w sankcje kremlowskiej propagandy.

Doszliliśmy już do takich sankcji, które stopniowo na trwałe podcinać będą korzenie rosyjskiej gospodarki. Ale ludzie na Zachodzie też odczują ich skutki. Dla uspokojenia warto wskazać, że zdaniem ekspertów w drugiej połowie roku sytuacja na rynku paliwowym powinna się sta-

bilizować, a ceny ropy spadną. Nie na tyle jednak, by rachunki za tankowanie natychmiast spadły do poziomu sprzed wojny Rosji z Ukrainą. Droższe paliwa pozostaną z nami raczej na dłużej, z czego powinni cieszyć się ekolodzy. Bo to będzie sprzyjać rozwojowi transportu publicznego i elektromobilności.

Stabilizacja sytuacji na europejskim rynku naftowym po wyeliminowaniu z niego rosyjskich naftiarzy wymagać będzie dostaw surowca z alternatywnych złóż. Pod tym względem kluczowe znaczenie dla zatwierdzenia embarga na rosyjską ropę naftową miały uzgodnienia Polski z Niemcami.

Droższe paliwa pozostaną z nami raczej na dłużej. Będzie to sprzyjać rozwojowi transportu publicznego i elektromobilności

Chodzi w nich o zapewnienie dostaw ropy do dwóch rafinerii w Niemczech wschodnich, które dotąd korzystały z surowca dostarczanego z Rosji tranzytowymi rurociągami polskiej firmy PERN. Teraz te zakłady francuskiego koncernu TotalEnergies w mieście Leuna i rafineria w Schwedt, na razie kontrolowana przez rosyjskiego giganta naftowego Rosneft, mają przerabiać ropę naftową dostarczaną tankowcami do Naftoportu w Gdańsku, a stąd dopiero transportowaną rurociągami PERN przez Polskę do Niemiec.

Na tej trasie wąskim gardłem jest jednak rurociąg pomorski z Gdańska do rafinerii Orlenu w Płocku i styku z tranzytowym rurociągiem do Nie-

mieć. Z gdańskiego Naftoportu można nim obecnie przesyłać około 30 mln ton ropy naftowej rocznie – za mało, by zaspokoić zapotrzebowanie rafinerii w Płocku i obu rafinerii w Niemczech wschodnich. Awaria tej rury wstrzymałaby też prace wszystkich trzech. Z tego powodu, a także dla umożliwienia dodatkowych dostaw ropy spoza Rosji do płockiej rafinerii Orlenu w Płocku rząd PiS w 2017 r. podjął decyzję o budowie drugiej nitki rurociągu pomorskiego. Uchwalono w tej sprawie specustawę, a PERN rozpoczął przygotowania do inwestycji.

We wrześniu 2019 r. PERN ogłosił: druga nitka ropociągu pomorskiego zostanie ułożona do 2023 r. Tak się jednak nie stanie, bo inwestycja została zawieszona. Wstrzymały ją forsowane przez Daniela Obajtka plany fuzji Orlenu z Lotosem, czyli faktycznie rozbiorów Lotosu. – Bez odpowiedzi na pytanie, kto jest partnerem [fuzji] i jak ma działać połączony podmiot, trudno nam racjonalnie podejmować decyzję o budowie – powiedział jesienią zeszłego roku prezes PERN Igor Wasilewski.

Teraz na progu embarga na ropę naftową z Rosji PERN ponownie szykuje się do ewentualnej rozbudowy rurociągu pomorskiego – także dla dostaw do Niemiec. Ale ukończyć inwestycję w przyszłym roku będzie już trudno i niewykłuczone, że trzeba będzie racjonować ropę dostarczaną tankowcami do Gdańska pomiędzy rafinerie w Niemczech i zakłady Orlenu. To może się przełożyć na napięcia w dostawach paliw dla kierowców w Polsce i Niemczech.

I to byłaby dodatkowa cena, jaką dla polskich kierowców do kosztów rezygnacji z rosyjskiej ropy naftowej dolożą rozbiorzy Lotosu, forsowane przez prezesa Orlenu Daniela Obajtka ze wsparciem rządu PiS. ●

Andrzej Kublik

33. rocznica pierwszych wolnych wyborów

POŻEGNAJMY
PANNE „S”

„Solidarności” nikt nie ukradł, nie przemienił. Jest taka, jak większość jej członków.

Andrzej Brzeziecki

Ogłaszanie śmierci jakiejś formacji czy idei jest zawsze ryzykowne. Przekonał się o tym choćby prymas Józef Glemp, gdy w latach 80. uznał „Solidarność” za rozdział zamknięty. Jeszcze później dawni liderzy „Solidarności”, w tym sam Lech Wałęsa, sugerowali, że może czas zwinąć sztandar, bo walka skończona, a wielka idea łącząca miliony Polaków nie zasługuje na mieszanie jej z grami politycznymi czy demonstracjami roszczeniowych grup zawodowych.

Po latach Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” jednak nadal istnieje – ma biura, sztandary, pieczątki, organizacje zakładowe oraz kilkadziesiąt tysięcy członków. Oraz ma wpływy – na jego zjazd przyjeżdżają ochoczo kościelni hierarchowie oraz rządzący Polską politycy.

Można zrozumieć rozgoryczenie dawnych działaczy, jak Henryka Krzywonos, według których organizacja pod kierownictwem Piotra Dudy już dawno zdradziła wspólne ideały.

Chodzi przecież też o ich najlepsze lata, czas heroiczny, ale – mówiąc brutalnie – co z tego ich oburzenia ma wynikać? Tamta „Solidarność”, ta wielka, która zadziwiła świat i 4 czerwca 1989 roku pokonała komunistów w pierwszych wolnych wyborach, już dawno jest gdzie indziej, a ta obecna „Solidarność” to po prostu zarejestrowana w sądzie związek zawodowy.

Owszem, upolityczniony, który stoi tam, gdzie stoi Piotr Duda, czyli przy PiS. Lecz w ciągu trzech dekad liczba członków „Solidarności” zmalała kilkakrotnie, a co rok dorosłość osiąągają Polacy, którym obce są emocje, uniesienia i wzruszenia zamierzchłej epoki. Cóż im do sądowych sporów Wałęsy z Piotrem Dudą o to, kto należał czy nie należał do ZOMO i kto ma prawo do tradycji Sierpnia.

Przeciętny Polak, toczący dziś prywatną, beznadziejną walkę z inflacją, prawdopodobnie niezbyt cierpi na tym, że niezależnych dziennikarzy nie wpuszcza się na imprezy związku. Nie mówi się na nich bowiem nic, co mogłoby Polaków zainteresować. To nie będący pod rządowym parasolem związkowcy biorą na siebie główny ciężar kryzysu i to nie oni wyciągną z niego polską gospodarkę.

Wątpliwe więc, czy Polaków zaskakuje i oburza upolitycznienie „Solidarności”. Ich to prawdopodobnie nie obchodzi. Być może wielu z nich, i piszę to bez ironii, zdziwiliby się, słysząc, że obok prezydenta Dudy jest jeszcze jakiś inny Duda – przewodniczący. I że żaden z nich naprawdę nie ma na imię Adrian.

Solidarność” nigdy nie była monolitem. Był to zadziwiający sojusz różnych środowisk i klas społecznych. Nigdy też do końca nie było jasne, czy to organizacja polityczna, związek zawodowy, organizacja na rzecz praw człowieka czy ruch antykomunistyczny, niepodległościowy i religijny. „Solidarność” była wszystkim naraz. Intelktualiści, którzy zaangażowali się w nią po Sierpniu 1980 roku, albo nie widzieli, albo nie chcieli widzieć różnych kuriozów takiej mozaiki. Może nie o wszystkim wypadało mówić – wtedy przecież komuniści mogliby to wykorzystać. Niemniej zachodni korespondenci już w sierpniu 1980 roku dziwili się zbytowi otaczającemu ks. Henryka Jankowskiego, który pojawiał się wśród strajkujących.

Ale przecież – statystycznie rzecz biorąc – było niemożliwe, by w wielomilionowej organizacji wszyscy myśleli tak samo. Byli liberalowie, lewacy i byli też konserwatywni katolicy.

Wiadomo także, że w „Solidarności” był pewien procent tajnych współpracowników SB, musiał być więc także spory procent ludzi złej woli, karierowiczów, oszołomów – walczyli oni z komuną, ale czy wszyscy walczyli o liberalną demokrację? Jeszcze więcej było ludzi, którymi łatwo manipulować, których łatwo napuszczać przeciwko innym.

Zaraz po upadku komunizmu polityczna elita „Solidarności” – całkiem słusznie – wprowadziła radykalnie liberalne reformy gospodarcze, będące zaprzeczeniem tego, co wyobrażały sobie związkowe ma-

ziemnych. Z tego wynikało też, że każdy czuł się uprawniony do twierdzenia, jaka ta „Solidarność” ma być.

I w tym tkwiło nieporozumienie, które w pełni dało o sobie znać już u zarania III RP. Każdy miał prawo czuć się depozytariuszem ideałów „Solidarności”, ale prawo do nazwy i symboliki zostało przy władzach wybranych na zjazdach tej organizacji. Związek kupił w 2007 roku licencję na używanie logo „Solidarności” od grafika Jerzego Janiszewskiego. Stąd, gdy rok temu w Warszawie odsłonięto pomnik „S” rozumianej jako ruch społeczny, przewodniczący Duda uznał, że logo zostało skradzione. Podobnie agresywnie wypowiadał się o dyrekcji Europejskiego Centrum „Solidarności”, która broniła swych praw do wystawiania w gmachu ECS historycznych tablic z postulatami sierpniowego strajku.

Na stronie „Solidarności” jest nawet zakładka poświęcona logo i groźne ostrzeżenie, że „jakiegokolwiek posługiwanie się tą nazwą czy znakiem graficznym przez inne osoby prawne, bez zgody władz NSZZ »Solidarność«, spowoduje wszczęcie odpowiednich działań prawnych dla ochrony dóbr Związku”.

Najlepiej o tym, że nurty zapewne bliskie Piotrowi Dudzie zawsze były silne w „Solidarności”, świadczy epizod z podziękowaniem korowcom na I Zjeździe „Solidarności” we wrześniu 1981. Po Sierpniu stało się jasne, że misja KOR-u wygasa. Jacek Kuroń chciał więc, aby „S” podziękowała KOR-owi, a głównie „starszym

Dziwi uwaga, jaką po stronie liberalno-demokratycznej przywiązuje się do ostatniego zjazdu „S”. Większości Polaków upolitycznienie „Solidarności” prawdopodobnie nie obchodzi

sy. Nie tylko one. Gdy Zbigniew Bujak, były robotnik, ale jednak lider, w 1991 roku przeproszał za „Solidarność”, miał na myśli przede wszystkim transformację gospodarczą. Odejscie od głoszonych w latach 80. haśle było więc obustronne.

Warto też pamiętać, że wiele postaci opozycji kojarzonych z „Solidarnością” wcale do niej nie należało. Jak Tadeusz Mazowiecki czy wielu działaczy KOR-u. Nie pracowali w państwowych przedsiębiorstwach i nie mieli tytułu do członkostwa. Ale człowiekiem „Solidarności” mógł czuć się każdy, kto uznawał autorytet Wałęsy, Komisji Krajowej czy, po 13 grudnia, struktur pod-

państwu”, czyli autorytetem, które firmowały działania komitetu.

Nagle delegaci z Mazowsza zgłosili kontrprojekt uchwały: ani słowa o KOR-ze, za to dużo o katolickim narodzie polskim, tysiącleciu chrztu Polski i roli Kościoła w dziejach.

Rozpętała się awantura. Anna Walentynowicz – ta sama, która potem stała się zjadłą krytyczką III RP i jej elit – broniła korowców, mówiąc, że ci ludzie pomagali robotnikom i gdy ich szkalowano, nikt za nimi się nie ujął. Halina Mikołajska i Jan Józef Lipski poprosili o wycofanie wniosku z podziękowaniem. Nie chcieli, by uznanie



dla nich było „przepychane” kolaniem. Ostatecznie uchwała została przyjęta, ale cała historia była wodą na młyn komunistów. Na zjeździe pojawiały ulotki typu: „KOR i Żydzi na pal” czy „KOR i Żydzi precz z Solidarności”. Były inspirowane przez SB, lecz to współgrało z poglądami niektórych działaczy Związku.

Kuroń tak charakteryzował typ działacza zwanego „prawdziwym Polakiem” lub „prawdziwkim”: „bardzo nieufni czy wręcz podejrzliwi wobec wszystkich, którzy kojarzyli im się z »lewicowością«. Myślę, że to przedziwne zjednoczenie tak różnych ludzi z różnych stron Polski dokonało się pod wpływem lęku przed opanowaniem silnego, masowego ruchu przez tych, których uważali za lewicową mafię, a więc coś w rodzaju diabła”.

Gdy Piotr Duda deklaruje, że jego ludzie nakryją czapkami opozycję, albo gdy wygraża aktywistom, którzy usunęli pomnik praelata Jankowskiego, a na Zjazd „Solidarności” zaprasza abp. Marka Jędraszewskiego, po prostu wpisuje się w ważną solidarnościową tradycję.

W „Solidarności” było wielu wspaniałych ludzi i dzielnych robotników. Do dziś też znajdują się działacze, których motywuje głównie walka o prawa ludzi pracy – ale ton nadaje kierownictwo. Inna rzecz, że legalnie i wybrane w zupełnie demokratyczny sposób.

Oburzenie na formę, w jakiej odbył się ostatni Zjazd „Solidarności”, może dziwić – ale jeszcze bardziej dziwi waga, jaką w ogóle po stronie liberalno-demokratycznej przywiązywano do tej imprezy. Może to kwestia PESEL-u – dla towarzyszy przebytej w latach 80. pod sztandarem „Solidarności” drogi to wciąż sprawy ważne. Ale oburzenie to świadczy też trochę o ich krótkiej pamięci. Przecież „Solidarność” taka była od zarania III RP. Trzeba przyznać, że początkowo rozłożyła parasol nad reformami, lecz przecież to Wałęsa – o którym dziś przeciwnicy PiS mówią ciepło, bo jest celem nagonek prorządowych mediów – w 1990 roku, stojąc na czele „S”, atakował rząd Mazowieckiego, stosując chwyt – populizm czy antysemityzm – które na dobre zagościły w polskiej polityce.

FOT. AFP/EAST NEWS



W 1991 roku ks. Tischner, niegdyś kapelan „Solidarności”, pisał, że mentalność homo sovieticus daje o sobie znać także wśród ludzi, którzy podpierają się krzyżem: „Zawsze pełen roszczeń, zawsze gotów do obwiniania innych, a nie siebie, chorobliwie podejrzliwy, przesycony świadomością nieszczęścia, niezdolny do poświęcenia siebie”.

Oburzenie było powszechne, bo ks. Tischner trafił w czuły punkt. Wtedy „Solidarność” była rozdarta między lojalnością wobec mocno naciągającego demokratyczne procedury Wałęsę a opcją narodowo-katolicką.

Gdy w czerwcu 1992 roku ważyły się losy rządu Jana Olszewskiego, to „Solidarność”, słowami Bogdana Borusewicz, dziś senatora PO, zapowiedziała, że nie przyłoży ręki do usuwania rządu, który był nie tyle szkolny, co po prostu nieudolny. Nie kto inny jak Borusewicz twierdził, że odwołanie ekipy Olszewskiego i Macierewicza przyjmuje z zaskoczeniem, „ponieważ jeszcze niedawno wydawało się, że wszyscy albo przynajmniej znaczna część z nas wyznaje te same i podobne ideały”.

Rok później, wiosną 1993, to właśnie „S” obaliła już rząd Hanny Suchockiej, czym walcie przyczyniła się do przejścia władzy przez postkomunistów.

Był to już czas, gdy związkiem kierował Marian Krzaklewski. Który zapowiadał, że „S” ewoluować będzie w stronę profesjonalnego związku zawodowego.

Zapowiedzi szybko poszły w zapomnienie. Nowy przewodniczący stworzył z „Solidarności” podstawę wielkiego politycznego ugrupowania – Akcji Wyborczej Solidarność. Krzaklewski projekt konstytucji uchwalonej w 1997 roku nazywał Targowicą i proponował intronizację Jezusa Chrystusa na króla Polski. AWS sprzymierzył się z Radiem Maryja, a liczne demonstracje, organizowane wtedy przez związek, pokazywały jego roszczeniowe oblicze – to, o którym pisał ks. Tischner.

Na całym świecie związki zawodowe bywają upolitycznione, roszczeniowe i egoistyczne – wszak głównie troszczą się o swoich członków, którzy mają już pracę i opłacają składki. Są więc przeciwnie zmianom

i reformom. Troska o naprawdę wykluczonych nie jest zmartwieniem związkowców.

Związki zawodowe potrafią jednak patrzeć rządowi na ręce. Jeśli chcą. Ten kierowany przez Piotra Dudę najwyraźniej nie chce. Choć gdy w 2010 roku Duda wybrany został na szefa „Solidarności”, i on zapowiadał, że skończy z polityką. Niektórzy przyjęli to z nadzieją – wszak do tej pory obecność polityki w „S” oznaczała oficjalne poparcie dla PiS. Poprzednik Dudy, Janusz Śniadek, regularnie startował do parlamentu z listy tej partii, a dziś doradza premierowi Morawieckiemu.

Duda przejął pałeczkę, gdy rządził Donald Tusk, i nic nie zapowiadało powrotu do władzy skrajnej prawicy – może to sprawiło, że w jego deklaracjach doszukiwano się woli oderwania się od PiS.

Ponadto Duda, choć otarł się o pierwszą „Solidarność”, w stanie wojennym służył w wojsku i bynajmniej nie był kojarzony z walką z komuną, więc też spodziewano się, że nie będzie rościł pretensji do jej dziejowej spuścizny.

Rzeczywiście – w rok po przejęciu związku zaprosił na obchody Sierpnia Wałęsę, za co go zaatakowano – zwłaszcza że nie zaprosił Jarosława Kaczyńskiego. Mówił wtedy: „Dla mnie wzorem były uroczystości z lat 2004-05, gdy Lech Wałęsa, Marian Krzaklewski i Janusz Śniadek wspólnie składali kwiaty pod pomnikiem, a potem Wałęsę uhonorowano. Byłem wtedy młodszym członkiem Komisji Krajowej i dziś pytam – co się z nami stało przez te siedem lat, skoro teraz atakuje się przewodniczącego związku, dlatego że zaprosił historycznego przywódcę »Solidarności?«”.

Dziś Duda nie chce już mieć nic wspólnego z Wałęsą, z którym się procesował, bo ten – niesłusznie – przypisał mu epizod w ZOMO zamiast w wojskach powietrznodesantowych.

Niedawno Władysław Frasyniuk mówił o Dudzie z pobłażaniem w „Wyborczej”: „Co Piotr Duda może wiedzieć o »Solidarności« z moich czasów? Najpierw był za młody, a później, gdy my walczyliśmy, on, »dzielny komandos«, pilnował TVP przed takimi wrogami narodu jak my”.

Duda nie planował jednak żadnego oderwania się od PiS, a gdyby nawet tego chciał

Przeciętny Polak, toczący dziś prywatną, beznadzieją walkę z inflacją, niezbyt cierpi na tym, że niezależnych dziennikarzy nie wpuszcza się na imprezy związku.

Nie mówi się na nich bowiem nic, co mogłoby go zainteresować

– to szybko zostałby przez samych związkowców odsunięty. Bo związkowcy chcą być blisko prawicy. Zwłaszcza gdy ta rządzi. Duda więc w jednym zdaniu zapowiadał odpolitycznienie „Solidarności”, w drugim dodawał, że to dobrze, iż związkowcy startują do Sejmu z listy PiS, bo „program PiS jest najbardziej prospołeczny”. I gdy Wałęsa albo politycy PO krytykowali prezydenta Dudę, przewodniczący Duda wydawał oświadczenia w jego obronie.

Piotr Duda ustawia się także w roli obrońcy wiary. Przypomina, że „Solidarność” ma w statucie zapisane wartości chrześcijańskie. I to on, wspólnie z liderem PiS, przed dwoma laty wzywał związkowców do czynnej obrony kościołów przed kobietami, które rzekomo im zagrażały, protestując przeciwko zakazowi aborcji.

Sojusz z władzą i Kościołem daje „S” poczucie bezkarności. Przykład? Gdański ratusz w 2021 roku nałożył na „Solidarność” karę za bezprawne wywieszanie na gmachu związku wielkoformatowych banerów. Miasto po prostu realizowało uchwałę krajobrazową i kary nałożyły także na inne podmioty. Lecz baner „Solidarności” zawierał cytaty z Jana Pawła II, więc Duda nazwał grzywnę karaniem związku za promowanie słów Ojca Świętego. I stwierdził, że „billboardy będą wisieć, niezależnie od tego, czy miasto się to podoba, czy nie”.

Ale przewodniczący nie broni jedynie copyrightu do symboli i historii „Solidarności”. Broni też wpływów, które zdają się rosnąć odwrotnie proporcjonalnie

do liczebności związku. Przekonali się o tym policjanci, którzy mieli swój związek. Udało im się nawet zmusić w 2018 roku rząd do podwyżek. Nie spodobało się to Dudzie, który podwyżki skrytykował. Rzadki to przypadek, gdy lider związkowców nie cieszy się, gdy komuś podnosi się płacę. Zaraz potem Dudzie, temu z „Solidarności”, udało się nakłonić prezydenta Dudę, by wyszedł z inicjatywą nowelizacji ustawy o służbach mundurowych, dzięki której „Solidarność”, pod płaszczykiem pluralizmu związkowego, mogłaby wejść do policji, Straży Granicznej itp. Tak się stało i w 2019 roku „Solidarność” mogła przystąpić do budowy struktur w policji, co – jak informowały media – nie zawsze czyniła w sposób honorowy, próbując przeciągnąć działaczy dotychczasowego związku do siebie. Tymczasem wpuszczenie tak upartyjnionej organizacji do policji oznacza zaprzeczenie zmianom dokonanym po 1989 roku.

„Solidarność” rzadko przyłącza się do krytyki rządu PiS, gdy robią to inne związki. Nie chciała też, by przywrócono handel w niedzielę w zamian za dwuipółkrotnie większe wynagrodzenie. Nie przeszkadzało jej, że i tak wiele sklepów, omijając zakaz, otwarło się, w efekcie czego tysiące ludzi skazano na pracę za dotychczasowe stawki.

Najostrzejsze chyba słowa pod adresem rządzącej partii Duda skierował po rekonstrukcji rządu w 2020 roku, gdy Jarosław Gowin przejął resort pracy. Wtedy mówił, że ludziom pracy napluto w twarz. Nie podobał mu się przede wszystkim liberalizm gospodarczy Gowina. Dziś Gowina w rządzie nie ma, za to liderzy PiS gościli na zjeździe „S”. Niewątpliwie tamte pohukiwania przewodniczącego były na rękę Kaczyńskiemu – osłabiały pozycję Gowina w rządzie.

Ludzie, którzy dziś kierują „Solidarnością”, są emanacją poglądów większości członków związku. Oni nie czytują wywiadów z Frasyniukiem, nie przejmują się listami Henryki Krzywonos, bo być może nawet nie wiedzą, kim ona jest i co zrobiła dla Polski. Smutne, ale prawdziwe. Ludzie „Solidarności” są – jak większość elektoratu obecnie rządzącej formacji – Polakami przywiązanymi do „tradycyjnych wartości”. Kochają Jana Pawła II, piłkę nożną i grilla, czują się antykomunistami – niezależnie od tego, co robili w PRL – i zapewne obcą jest im „ideologia gender” i wszelkie inne nowinki. Sam Duda klimatyczną politykę Unii Europejskiej nazywa głupią, zaś o węglu jako źródle energii jest chyba dobrego zdania. „Ci, którzy chcieli zamknąć Turów, to zwykli zdrajcy. Nigdy nie wolno o nich zapomnieć” – mówił niedawno.

Właśnie taki jest i był związek „Solidarność”, zawsze łatwo szafujący słowami: „Targowica” i „zdrajcy”. Innego nie będzie. Owszem, „Solidarność” jako ruch społeczny była czymś wspaniałym, czymś, z czego Polacy mogli być dumni na cały świat.

Jej dzieje przypominają losy niektórych zespołów rockowych, które po osiągnięciu sukcesu rozpadają się – wtedy ich członkowie toczą zażarte spory o prawo do nazwy i tantiem z piosenek. Zazwyczaj jednak ci bardziej utalentowani odpuszczają i rozpoczynają udane kariery solowe. Ci, którzy przy pomocy prawników zachowują prawo do nazwy i wielkich pieniędzy, rzadko już odnoszą artystyczny sukces.

Pani Henryka Krzywonos powinna więc może już odpuścić. III RP ma swoją Solidarność (pisaną przez wielkie „S”, ale jako idea, a nie – zastrzeżona prawnie! – nazwa związku zawodowego) – to instytucje takie jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, jak Polska Akcja Humanitarna.

Duch tej Solidarności jest przy każdym Polaku pomagającym uchodzić na polsko-białoruskiej granicy i we wszystkich polskich rodzinach, w których, jestem pewien, żyje też wielu działaczy związku zawodowego, udzielających dziś pomocy Ukraincom.

Ale chyba nie ma go tam, gdzie snuje się dywagacje na temat cewnikowania Donalda Tuska. ●

Z FRANCISEM FUKUYAMĄ
ROZMAWIA MACIEJ STASIŃSKI

Czy wojna Rosji przeciw Ukrainie to początek nowego ładu międzynarodowego?

– Tak. On właśnie się kształtuje. To wynik kilku lat walki obozu demokratycznych państw Zachodu z reżimami autorytarnymi, głównie z Rosją i Chinami. Ta wojna jest kulminacją tego procesu.

Rosja zmierza do klęski, już poniosła serię porażek na polach bitew, a teraz zostanie wyparta także z Donbasu przez armię ukraińską.

To jest katastrofalna wprost klęska Putina. Okazał się przegranym przywódcą. Nie tylko na wojnie. To zupełna klęska polityczna.

NATO się zapewne powiększy o Szwecję i Finlandię.

Zachód od dawna tak się nie zjednoczył.

Niemcy zrewidowały swoją Ostpolitik z ostatnich 40 lat i dostarczają Ukrainie ciężkiego uzbrojenia.

Stany Zjednoczone odzyskały przywództwo, które utraciły za Trumpa. Zachód pospieszył na padniętej Ukrainie z ogromną pomocą.

Rosja staje się pariasem i tzw. państwem zbójckim. I ubogim klientem Chin?

– Tak właśnie się dzieje. To pokazują kolejne sankcje międzynarodowe, które wkrótce obejmą gaz i ropę.

Ta klęska Putina jest ściśle związana z ustrojem, który on sam zbudował i nim zarządza. Demokracje zachodnie mają system instytucjonalnych zabezpieczeń – checks and balances – ograniczających władzę wykonawczą, rządu, prezydenta czy przywódcy. Putin rządzi samowładnie i samowolnie, bez żadnych ograniczeń, odcięty w dodatku od informacji i fachowych rad. Żyje w świecie własnych urojeń. Ukraina przykładem – wszystko to, co sobie o niej wyobrażał, jest fałszywe, ale brnął w te urojenia, bo zbudował swoją jednoosobową władzę.

Dodatkowo najwyraźniej ma problem psychologiczny, jest osobowością paranoidalną. Nikogo nie słucha i kieruje się fantazmatami. To zresztą pokazuje, czym grozi każdemu państwu autorytaryzm czy jedynowładztwo.

Bardzo trudno będzie Rosji wykaraskać się z tej otchłani, w którą się sama wtrąciła. Będzie z porządku międzynarodowego wykluczona, jak Korea Północna.

Czy to może być zmierzch Rosji jako mocarstwa, jakim była za carów, a potem za Związku Sowieckiego? Dziś to gigant na glinianych nogach, którego jedynymi atutami są bomba atomowa i tablica Mendelejewa pod ziemią.

– Jeśli Rosja nie zejdzie z tej drogi, to owszem, ten scenariusz jest możliwy.

Ale trzeba pamiętać, że broń nuklearna to realna groźba. Zwłaszcza ze strony przywódcy zdesperowanego i nieracjonalnego. Nie potrafimy przewidzieć, co ktoś taki zrobi.

Nie wiemy, co się dzieje w jego otoczeniu. Najpewniej elita służb bezpieczeństwa oraz armii nie jest zachwycona przebiegiem wydarzeń. W tym kraju były już prece-



FOT. GETTY IMAGES

ZACHÓD ZBYT PEWNY SIEBIE

Rosja to wciąż kraj wielkich zasobów,
nie powinniśmy jej ignorować

densy usuwania przywódcy przez otoczenie. Chruszczowa odsunięto od władzy po kryzysie rakietowym na Kubie. A klęska w Ukrainie jest znacznie dotkliwsza.

Jednak ja bym Rosji nie skreślał zupełnie. To kraj wciąż wielkich zasobów. Upokorzenie jest wielkie, ale nie należy Rosji nie doceniać. Zachód nie powinien być zanedbany pewny siebie.

Ale zdaje się, że Zachód bardzo się wzmocnił.

– Naturalnie. Jedność, jaką okazał, jest zaskakująca. Nie tylko rzą-

dy, ale też społeczeństwa okazały niebywale jednolity sprzeciw wobec Rosji i solidarność wobec Ukrainy. Polska bardzo dużo robi w tej sprawie.

Kiedy kilka lat temu mówiłem i pisałem, że Ukraina staje się państwem frontowym w rywalizacji Zachodu z Rosją, odpowiadano: „Ale gdzie tam! Kto by się przejmował Ukrainą!”.

Dziś trudno podtrzymywać taki pogląd.

Przekonujemy się, że demokracji trzeba bronić czynnie, i to jest pozytywna lekcja z tych wyda-

rzeń. Szkoda tylko, że ogromną cenę tej nauki płacą Ukraińcy.

Chiny skorzystają na wojnie i wyjdą jeszcze silniejsze?

– Silniejsze tak, ale dużo zależy do tego, jak zinterpretują tę wojnę. Powszechnie się spekuluje, że to dla nich poligon ćwiczebny przed najazdem na Tajwan. Ale nie jest przesądzone, jakie wyciągną wnioski z tego, co obserwują. Równie dobrze klęska Rosji może studzić ich zapał i pewność siebie. Najazd na Tajwan jest militarnie i technologicznie o wiele trud-

niejszy, bardziej skomplikowany od napadu Rosji na Ukrainę. Teraz będą ostrożniejsi.

Ponadto być może żałują już tego strategicznego sojuszu z Rosją, który ogłosili w czasie zimowej olimpiady w Pekinie. Sojusz wcale nie jest udany, skoro Chiny połączyły siły z międzynarodowym pariasem. Mogą chcieć się zreflektować.

Ponadto Chiny mają podobny problem co Rosja z podejmowaniem politycznych decyzji, bo nie są demokracją, tylko partyjną dyktaturą.

Skoro Rosja okazała się słaba i słabnie dalej, być może Chiny wyciągną rękę po jej zasoby, np. na Syberii, których bardzo potrzebują.

– Ale nie wydaje mi się, żeby uczyły to siłą zbroijną. Mają inne sposoby, by sięgnąć po surowce rosyjskie, jak ropa czy gaz. Zresztą Rosja, ukarana sankcjami, już właściwie błaga Chiny, by je kupowali. Putin z pewnością wpadnie w orbitę wpływu Chin.

Oprócz podobieństw jest także pewna różnica w postępowaniu Chin i Rosji. Kiedyś uważałem, że Rosja, podobnie jak Związek Sowiecki, będzie powściągliwa w używaniu siły, np. na Bliskim Wschodzie. Ale Putin mnie wprowadził z błędu. Użył siły i wysłał wojsko do Syrii, na Krym i do Donbasu, a nawet do Wenezueli. A teraz najechał Ukrainę. Podjął wielkie i lekkomyślne ryzyko.

Chińczycy nie są tacy głupi. Są cierpliwi. Wiedzą, że będą jeszcze silniejsi dzięki gospodarce i technologii. Takie ryzykanckie militarne awanturnictwo nie jest w ich stylu.

Zachód nie powinien być zależny gospodarczo od reżimów autorytarnych. Nie tylko od Rosji z jej zasobami surowcowymi, ale też od Chin z ich produkcją półprzewodników i całej elektroniki. Dobrze, że USA i Europa już myślą o alternatywach i planują nowe kierunki importu i eksportu technologii.

A Indie? Jak skutki tej wojny podziałają na ich pozycję rosnącego mocarstwa?

– To trudny przypadek. Indie rywalizują mocno z Chinami, mają z nimi sprzeczne interesy i spory na granicy lądowej i na morzu. Niekiedy to bezpośrednie starcia, jak o bazy wojskowe na Oceanie Indyjskim czy o granice.

Indie nie postrzegają rywalizacji geopolitycznej na świecie w kategoriach konfliktu obozu demokracji i obozu autorytaryzmu. Zresztą same zsuwają się trochę od liberalnej demokracji w stronę hybrydowego ustroju demokratyczno-autorytarnego. Nie wiem, czy można wciąż mówić o Indiach jako o największej demokracji świata.

W czasach zimnej wojny Indie wołały Związek Sowiecki niż Zachód. Ale w polityce zagranicznej nie kierują się demokratyczną solidarnością ani ideologią, raczej interesami. Nie sądzę, by to się miało zmienić.

Ameryka Łacińska pozostanie w rozkroku? A może opowie się po którejś ze stron?

– Kraje Ameryki Łacińskiej mają osobne dzieje i kierują się własnymi historycznymi racjami i motywami. Wciąż nie wiedzą, czy są

częścią Zachodu. Antyamerykanizm jest tam ciągle bardzo silny. USA są postrzegane i nienawidzone jako prawicowy, konserwatywny wróg.

A z Chinami mają wielkie interesy, i to strategiczne. Chiny są największym inwestorem na tym kontynencie.

Ameryka Łacińska nie zdołała do tej pory złagodzić wielkich nierówności społecznych, co uczyniła np. Europa, i ma w tej dziedzinie ogromne zaległości.

W październiku odbędą się wybory prezydenckie w Brazylii, największym kraju regionu. Obaj główni kandydaci – Lula da Silva i Jair Bolsonaro – nie należą do przykładowych demokratów. I obaj okazują sympatię Rosji. Bolsonaro nawet pojechał do Moskwy tuż przed wojną. A Lula mówi o obopólnej odpowiedzialności Rosji i Ukrainy za wojnę.

Co prawda, gdybym był Brazylijczykiem, głosowałbym za Lula, bo jednak Bolsonaro jest większym zagrożeniem dla demokracji. To populistą w najgorszym sensie. On, jak wcześniej Trump, z góry zapowiada, że zakwestionuje wybory. Lula nigdy tego nie robi. Ale on też jest dosyć antyamerykański.

Chinczyccy nie są tacy głupi jak Putin. Są cierpliwi. Wiedzą, że będą jeszcze silniejsi dzięki gospodarce i technologii

A Afryka? Skutki wojny w Ukrainie coś zmieniają w jej miejscu w świecie?

– Ukraina i wojna z Rosją w Afryce nikogo szczególnie nie porusza. Afryka ma wielki problem z własnymi uchodźcami i emigrantami, podobnie jak Bliski Wschód. W dodatku Afrykanie widzą, że Europa chętniej przyjmuje uchodźców z Ukrainy niż ich samych. Nie mają specjalnego powodu do sympatii dla Ukraińców.

W dodatku Afrykanie uznają Europejczyków za winnych kolonizacji i wyzysku ich kontynentu. Potem zaś byli długo ignorowani przez USA i Europę, dopóki nie pojawił się problem masowej migracji.

Kryzys wojenny w Europie czy gdzie indziej na świecie nie odbija się szczególnie mocno w Afryce. Jej dotyczą znacznie bardziej problemy zmian klimatu i migracji. Europa, czy szerzej Zachód, powinny się tym poważnie zająć. To wymaga czasu i wysiłku, ale będzie niezbędne. ●

Wierz, w co chcesz, ale prywatnie

Konserwatysta to liberal po zderzeniu z rzeczywistością. U Fukuyamy nastąpił odwrótny proces.

Katarzyna Wężyk

W lutym 1989 roku komunizm był już na finiszu. W Polsce trwały obrady Okrągłego Stołu, państwa bałtyckie przywracały języki narodowe, ZSRR po dekadzie wycofał się rakiem z Afganistanu, a Gorbaczow ogłosił, że Moskwa nie będzie już wtrącać się w sprawy wschodnioeuropejskich satelitów. Dwubiegunowy porządek się kończył, nowy majający na horyzoncie. I wtedy 36-letni urzędnik Departamentu Stanu, wcześniej ekspert od spraw zagranicznych w prawicowym think tanku Rand Corporation, wystąpił na University of Chicago z gościnnym wykładem.

Wykład „Koniec historii?” opublikował kilka miesięcy później konserwatywny magazyn „The National Interest”. I idealnie wstrzelił się w Zeitgeist. Omówienia i polemiki pojawiły się we wszystkich najważniejszych mediach, a numer, jak podsumował pewien kioskarsz, sprzedawał się lepiej niż pornografia. Francis Fukuyama z dnia na dzień został „nadwornym filozofem globalnego kapitalizmu”. Symbolem najpierw triumfalizmu i nadziei lat 90., potem zachodniej pychy i myślenia życzeniowego.

Urodził się w 1952 roku w Chicago. Po dziadku, wykształconym w Niemczech ekonomiście, odziedziczył pierwsze wydanie „Kapitału” Marksa (ale bez poglądów w pakiecie). Drugi dziadek po ataku na Pearl Harbor był internowany w obozie dla Amerykanów japońskiego pochodzenia. Jego rodzice już po japońsku nie mówili i mały Frank się języka przodków nie nauczył.

Choć na jego nastoletnie lata przypadła burzliwa dekada lat 60. – rewolucja seksualna, kontestowanie autorytetów, seks, narkotyki i rock and roll – w młodości miał poglądy konserwatywne. Na nowojorskim Cornell University należał do mniejszości: gdy koledzy i koleżanki po serii protestów zmusili uczelnię do zmian programowych, on był zde gustowany zamachem na akademicką wolność. Później, w Paryżu, chodził na wykłady modnych dekonstrukcjonistów: Jacques’a Derridy i Rolanda Barthes’a. Na zawsze zniechęcił się wtedy do akademickich abstrakcji, a z literatury porównawczej przejął się na nauki polityczne. – Gdy jesteś młody, myślisz, że coś musi być głębokie tylko dlatego, że jest trudne, a ty nie masz dość pewności siebie, by powiedzieć, że to po prostu bullshit – powie.

Jego mistrzem został Allan Bloom, późniejszy autor „Umysłu zamkniętego”, sztandarowej prawicowej krytyki „tej dzisiejszej młodzieży” (w te-

legraficznym skrócie: pokolenie ’68 zniszczyło uniwersyte-ty, które zamiast uczyć racjonalnego i krytycznego myślenia, stały się świątyniami relatywizmu i nihilizmu). To Bloom zaznajomił Fukuyamę z pracami Alexandre’a Kojève’a, rosyjskiego myśliciela, który w latach 20. i 30. zachwycił paryskich intelektualistów wykładami o Heglu. Kojève uważał, że motorem postępu jest pragnienie uznania. Przez tysiąclecia gra w uznanie miała zwycięzców i przegranych. Gdy wszystkim będzie przyznane uznanie, a ludzie przestaną się zabijać w imię honoru, nastąpi koniec historii.

W 1979 roku Fukuyama zaczął pracę w Randzie, a dwa lata później reprezentujący jastrzębie skrzydło Republikanów Paul Wolfowitz zaprosił go do administracji Reagana jako eksperta od polityki zagranicznej. Specjalizował się w ZSRR, Iraku i Afganistanie; doradzał wysyłanie broni mudżahedinom. Do Departamentu Stanu wrócił, gdy władzę przejął George H.W. Bush. W maju 1989 pisał o reunifikacji Niemiec, choć jeszcze w październiku – a mur berliński upadł w listopadzie – większość jego kolegów była przekonana, że nie ma na to szans. Jako jeden z pierwszych przewidywał też rozpad Układu Warszawskiego. Przypisał potem skromnie, że w swoich prognozach był pół roku do przodu w porównaniu z otoczeniem.

Tezy z głośnego artykułu rozwiniął w książce „Koniec historii”, już bez znaku zapytania. Zakończenie zimnej wojny, uznał, nie jest po prostu zamknięciem „określonego okresu historii powojennej, ale końcem historii jako takiej: punktem końcowym ideologicznej ewolucji ludzkości i upowszechnieniem zachodniej liberalnej demokracji jako ostatecznej formy rządów”. Innymi słowy, po upadku ZSRR zniknęła ostatnia alternatywa dla liberalnej demokracji: Zachód wygrał, obywatele państw postkomunistycznych prosimy o rozejście się do bardziej produktywnych zajęć, takich jak zarabianie i wydawanie pieniędzy oraz budowanie liberalnych instytucji: wolnego rynku i rządów przedstawicielskich. Poziom życia w Polsce czy na Litwie może i nie od razu będzie niemiecki, ale prędzej czy później do niego dobieje, a zachodnie wartości zatriumfują na całym świecie.

Fukuyama zasugerował nawet, że koniec historii będzie jak wieczność w biurokratycznej wersji: bezpieczny, dostatni, ale nudny. W liberalnej demokracji polityka zostanie sprowadzona do „niekończącego się rozwiązywania problemów technicznych, troski o środowisko i spełniania wyrafinowanych wymagań konsumentów” i niewykluczone, że jeszcze za- tęsknimy za „odwagą, wyobraźnią i idealizmem” epoki burzy i naporu.

Czytając to w czerwcu 2022 roku, po trzech miesiącach wojny w Ukrainie, w państwie rządzonym od siedmiu lat przez antyliberalnych prawicowych populistów i z wizją powrotu nieuznającego reguł demokracji błazna do Białego Domu, można tylko westchnąć.

11 września 2001 roku dwa samoloty uderzyły w World Trade Center, symbolicznie – i definitywnie – kończąc koniec historii. Liberalna demokracja weszła w spiralę kryzysów. Wojna w Iraku skompromitowała ideę eksportu demokracji na bagnietach i za ropę. Kryzys 2008 roku podważył wiarę w niewidzialną rękę rynku. Triumfy prawicowych populistów w połowie ubiegłej dekady każą obawiać się o trwałość liberalnych instytucji. Chiny są przykładem, że kapitalizm sobie radzi bez demokratycznych instytucji. Rosja zamieniła realny socjalizm na faszyzujący autorytaryzm. A zachodnie wartości są kontestowane z prawej i z lewej strony także na Zachodzie.

Fukuyama się bronił, że przecież artykuł miał na końcu znak zapytania. Przyznał jednak, że był zbyt optymistą: nie docenił ani trudności związanych z budowaniem od podstaw liberalnej demokracji, ani zagrożeń czyhających na te już istniejące, konkretnie globalizacji i nierówności społecznych. Po wojnie w Iraku rozeszły się też jego drogi z kolegami z obozu neokonserwatystów. Ojciec tego nurtu Irving Kristol stwierdził, że konserwatysta to liberal po zderzeniu z rzeczywistością; u Fukuyamy nastąpił odwrótny proces. Reaganowski militarizm, uznał, ma tragiczne konsekwencje, a niewidzialna ręka rynku służy wyłącznie najbogatszym. Dziś mówi, że w kwestiach gospodarczych przesunął się w lewo, ale w kulturowych pozostaje centroprawicowcem. W 2008 roku poparł Obamę. W kolejnych książkach pisał o zaufaniu społecznemu, ładzie politycznym, dziedzictwie neokonserwatyzmu, uznaniu, biotechnologii.

Najnowszą książką, „Liberalism and Its Discontents”, Fukuyama wpisuje się w popularny za oceanem – patrz: „Manifest nosorożca” Adama Gopnika, „What Was Liberalism?: The Past, Present, and Promise of a Noble Idea” Jamesa Trauba, „Last Best Hope: America in Crisis and Renewal” George’a Packera, „The Great Experiment: Why Diverse Democracies Fall Apart and How They Can Endure” Yaschy Mounka – trend wiwisekcji kryzysu liberalnej demokracji.

Fukuyama, podobnie jak pozostali, przekonuje, że mimo wad to wciąż najlepszy z możliwych sposobów organizacji życia społecznego. Żaden inny system nie gwarantuje jednocześnie wolności, nie chroni różnorodności i nie wspiera przedsiębiorczości. Liberalizm

to „wielki namiot mieszczący szereg poglądów politycznych, które zgadzają się co do fundamentalnego znaczenia równych praw jednostki, prawa i wolności”. Jego najważniejszą zasadą jest tolerancja: nie trzeba się z sąsiadami zgadzać odnośnie do pryncypiów, żeby w pokoju obok nich żyć. „Możesz wierzyć, w cokolwiek tylko chcesz, ale musisz to robić prywatnie i nie próbować narzucić swoich przekonań współobywatelom”.

Liberalizmowi, uważa Fukuyama, zagrażają dziś prawicowi wolnorynkowi ekonomiści i bezkompromisowa kultura lewica, grupy, które ideę autonomii i suwerenności jednostki pociągnęły do szkodliwych ekstremów.

Pierwsza zrobiła religię z wolnorynkowej gospodarki i uważa, że wszelkie regulacje czy daniny do budżetu państwa to niedopuszczalne ograniczenie wolności. Efekt? Galopujące nierówności, kryzys 2008 roku i polityka zaciskania pasa, która spowolniła wyjście gospodarki z dolka. Druga zafiksowała się na tożsamości. Bojownicy o sprawiedliwość społeczną dzielą społeczeństwo na coraz mniejsze grupy – kryterium przynależności to miejsce na płynnej hierarchii przywileju i opresji – a to podważa spójność społeczną konieczną do jakiegokolwiek kolektywnego działania. A brak tolerancji dla choćby i minimalnego odejścia od progresywnej ortodoksji i ostracyzm wobec dysydentów to z kolei zagrożenie dla wolności słowa.

Fukuyama daje propozycję rozwiązań obecnego kryzysu: decentralizacja władzy, zasada pomocniczości, powrót do „bezosobowego” rządu, zlikwidowanie monopolu, zwłaszcza w mediach, liberalny patriotyzm, obniżenie grupowych żądań, a przede wszystkim intelektualny umiar i zadowalanie się osiągalnym.

Propozycje może i są zdroworoządkowe, ale mało porywające.

Książka Fukuyamy, podobnie jak wydany niedawno w Polsce „Manifest nosorożca” Gopnika, nieumyślnie pokazuje inny problem liberalizmu: przestał być seksowny. Nie jest już, jak w latach 90., cool. Mężczyźni w średnim wieku wzywają do umiaru, do małych kroków, do cierpliwości i tolerancji. Apele podpierają wywodami historycznymi, udowadniając, że utopie nie tylko nie działają, ale mają zawsze tragiczne skutki. Jasne, ale liberalna demokracja, zwłaszcza w Stanach – gdzie choroba może oznaczać bankructwo, nie ma urlopów macierzyńskich, dochodzi do kolejnych strzelanin – też jakoś nie działa.

A liberałowie przypominają dziadka mówiącego wnucze, że zgniłe kompromisy są nie do uniknięcia. Nawet jeśli ma rację, czy jakakolwiek wnuczka kiedykolwiek posłuchała? ●

• Zwolenniczki Johnny'ego Deppa stoją pod sądem w Fairfax podczas procesu aktora z byłą żoną Amber Heard FOT. RAIG HUDSON/AP



WYSZŁAM ZA MĄŻ ZA SOBOWTÓRA DEPPA

Ludzie, którzy wierzą,
że wrestling jest prawdziwy,
wybiorą jakiegoś Hitlera

Magdalena Koryntczyk*

Wysiadłam z samolotu około północy, nie słysząc od nikogo ani słowa, kiedy kierowałam się mrocznym przejściem w stronę terminala*. Powietrze w Fairfax w stanie Wirginia pachnie tytoniem, ale to tylko sugestia, bo po długim locie chce mi się palić, a tytoń Golden Virginia, który mam w kieszeni, wyprodukowano w Anglii. Mimo późnej pory i zmęczenia na mojej twarzy taksówkarz jest gadatliwy. Odpowiadam półsłówkami.

– Miała pani przyjemny lot? Skąd? Z Polski... Macie tam teraz wojnę w Europie. My też mamy tu swoją. Słyszała pani

o procesie? Och, przyleciała pani na proces! O tym mówię, każda wojna ma swoich korespondentów!

Pod motelem na parkingu zauważam samochód z nalepką na zderzaku „Zatrąb, jeśli wierzysz Johnny'emu” i grafiką z twarzą Deppa.

Melduję się w recepcji, idę do pokoju, sprawdzam wiadomości z Ukrainy i Facebooka. Na memie szary kocur uspokoja małego kotka: „President tut”.

BYCZE MODLISZKI

Proces, który Johnny Depp wytoczył Amber Heard, trwa od kwietnia. Rozwiedli się w 2016 roku, po 15 miesiącach małżeństwa. Dwa lata później Heard powiedziała w „Washington Post”, że była ofiarą przemocy, choć nie wymieniła Deppa z nazwi-

ska. Stracił po tym role i pozwał Heard. Dlaczego w Wirginii, zastanawiałam się, skoro oboydwoje mieszkają w Kalifornii.

– W Wirginii obowiązuje surowsze prawo, jeśli chodzi o wolność słowa. Przyznasz, że to istotna okoliczność w sprawie o pomówienie – wyjaśnił mi podczas śniadania dziennikarz z poczytnego brukowca.

Pod sądem tłok: dziennikarze i kibice. Kobieta ma na sobie sprany T-shirt ze zdjęciem Deppa w roli Edwarda Nożycorękięgo, a jej córka z piratem Jackiem Sparrowem.

– Przyjechaliśmy z Wichita w Kansas. Kocham się w Johnnym od liceum, po prostu musiałam tu być. To cudowny człowiek i aktor, nie uwierzę, że byłby zdolny do bicia kobiety. Moja córka też go uwielbia. Jest trochę do niego podobna, prawda? Wyszłam za mąż za sobowtóra Deppa, zajął drugie miejsce w lokalnym kon-



kursie „Bliźniaki gwiazd”. Przed przyjazdem sprawdzałam znak zodiaku Amber – jest bykiem, a kobiety byki to manipulatorki i modliszki. Zbadalam ją też numerologicznie, wyszła „piątka”. Fatalnie, „piątki” mają osobowość histrioniczną, skłonną do przesady i dramatu. Gdzie się zatrzymałaś? Weź moją wizytówkę, umówimy się, postawię ci horoskop...

Przerywa jej grupa mężczyzn z transparentami „Nie wstydź się płakać” i hasztagiem #teamdepp. Stają naprzeciwko kobiet, które trzymają transparenty „Przemoc może być cicha”.

Jeden wyjmuje szczekaczkę: – Jesteśmy zmęczeni udowadnianiem, że kobieta może być sprawczynią przemocy! Jesteśmy zmęczeni oskarżeniami o bycie wyższymi, silniejszymi, o posiadaniu penisa, który jest naszą „śmiertelną bronią”, na którą nie mamy zezwolenia! Ten proces to wielka szansa dla mężczyzn, aby powiedzieć: nic nie ochroni cię przed furią psychopatyki! Możesz być bankierem, sławnym aktorem i być ofiarą przemocy! Jeśli jesteś wrażliwym i dobrym mężczyzną, wariatka wyczuje cię od razu, jak rekin krew w wodzie! Nikt ci nie uwierzy, ale ten proces może zmienić warunki gry! Nie pozwól sobie wmówić...

Interweniuje straż sądowa.

– Jesteśmy tu także dla was, to także wasza sprawa – próbuje bronić się mówca, ale teraz stoi z innymi w milczeniu, naprzeciwko transparentu „Przemoc może być cicha”.

Zaczyna padać. „Excuse me... excuse me...” , atmosferę rozluźniają dwie peruwiańskie alpaki, których właścicielka przeciska się pod dach. Rudobrzęde kule mokrej sierści przystrojone w kolorowe pompony kolebią się na boki, przeżuwają niewidzialną trawę, leniwie popatrują wielkimi, łagodnymi oczami. Jakbyśmy znaleźli się w skeczu Monty Pythona, pocieszne stworzenia wywołują na zaciętych twarzach uśmiech. Kółeczko reporterów zacieśnia się wokół alpaki, a ja w telefonie sprawdzam wiadomości z Ukrainy. Wybuchy, masakra cywili, kobiece dłonie z zakrzepłą krwią, ze świeżym manikiurem, po którym zidentyfikowano ich właścicielkę.

– Hej, chcesz nam zrobić zdjęcie? – pyta nie odrywa mnie od ekranu. – To jest Dolce, a ta mniejsza to Indy. Przyjechaliśmy wesprzeć Johnnny’ego. Przechodzi ciężkie chwile, a alpaka potrafi wyzerować bańkę. Pracują z ludźmi po traumatycznych przeżyciach, z dziećmi. Tylko popatrz – czy możesz się denerwować, kiedy jesteś w ich pobliżu? Przywiozłam też pluszowe maskotki alpaki dla Johnnny’ego i jego prawników – szczególnie dla Camille Vasquez. Oł-majgad, jest prawdziwą „rock star” tego procesu, następną alpaka nazwę jej imieniem. Popatrz, są świetne, myślisz, że im się spodoba ją?

Alpaka pluje mi w czoło, idę do toalety. Omija mnie przyjazd Johnnny’ego i Amber. Skubię odstający z paznokcia płatek lakieru.

Czy możesz się czymś denerwować, kiedy jesteś w pobliżu alpaki?

LENIWA ŚRODA

Na kolacji z dziennikarzami obstawiającymi relację z sądu dowiaduję się, że to „slow Wednesday” – „leniwa środa”. Nic specjalnego się nie działo.

– To eldorado zajawek i nagłówków, nie trzeba niczego podkręcać. Poczekaj do piątku – przylatuje walnięty artysta z Nowego Jorku. Sprzedaje breloczki z bursztynu z zatopioną w nich psią kupą, łapiesz?

Łapię. Bursztyn to po angielsku Amber. A reszta to nawiązanie do „incydentu kałowego” w sypialni Johnnny’ego, kiedy odkrył w pościeli odchody. Jego prawnicy dowodzą, że należały do Amber, ona broni się, że do psa, który jako szczeniak zeżarł torebkę marihuany Deppa i od tamtej pory „robi gdzie popadnie”.

Psia kupa w breloczku, jak mi tłumacza, to dla wielu pożądana pamiątka z procesu.

Dostaję z lokcia: – A widziałaś to? Nazywa się „wielkie grillowanie Amber”. Vasquez bierze Amber w krzyżowy ogień pytań, patrz, jak się wije. A słyszałaś, jak zniszczyła jej prawniczkę? „Sprzeciw, oddalam. Sprzeciw, oddalam. Sprzeciw, oddalam”. Rozjechana walcem. Niekompetentna, antypatyczna baba, kompletnie nie wie, co robi, nie wiem, skąd Amber ją wystraszyła. O, a to jest psychiatra, którego wynajęła ekipa prawnicza Amber. Powiedział, że Depp ma cechy rasowego predatora. Zobacz, jak się dziwnie zachowuje. Świr, odpał totalny. Ta fryzura, te oczy!

To kolejny tydzień procesu obwołanego procesem dekady, który zelektryzował Amerykę, jak sprawa Billa Clintona i Moniki Lewinsky, która zapłaciła ogromną emocjonalną cenę, ale i miała szczęście – myślę – że nie stanęła pod pręgierzem internetu.

MEMEM GROZY NIE ZABIJESZ

Sprawdzam pod stołem Facebooka. Wojna i memy o „zasłanym łóżku Piłata z Kałabów”.

Tiktokerki i jutuberki ucharakteryzowane na Amber puszczaają w tle ścieżkę dźwiękową z procesu (transmitowanego na żywo) i parodiują jej miny. Chałupniczy komentatorzy z kanapy analizują jej mimikę i mowę ciała: „to oczywiste, że ta suka kłamie!”, „tak właśnie zachowuje się osoba

po traumie”. Zbiórki na sprzęt medyczny, ogłoszenia z pytaniem o wynajem mieszkania dla bieżerów. Sponsorowane reklamy kosmetyków – niesławny zestaw korektorów, który prezentowała w sądzie prawniczka Amber, mówiąc, że ta nosiła go w torebce podczas małżeństwa, ale firma rozpoczęła jego sprzedaż po rozwodzie pary. Ciało zawinięte w dywany, ludzkie strzępy w rowach. Depp pokazuje ławie przysięgłych bliznę na palcu, gdy Amber odcięła mu opuszek. Depp demoluje kuchnię, Amber rejestruje to telefonem.

Sprawdzam profesjonalne serwisy informacyjne. Nagłówek: „Ukraińcy już wygrali tę wojnę w internecie”. Na innym portalu: „Niezależnie od wyroku Johnny Depp wygrywa internety”.

Już w pierwszych dniach inwazji rosyjskiej tajemnicza instancja „społeczności internetowej” zrobiła z wojny infotainment, konglomerat informacji i rozrywki, a za tym poszły media. Tętno rzeczywistości wirtualnej przyspieszyło: wysokie miesza się z niskim, komiczne z najgłębszą tragedią. Akcje hakerów Anonimous z przechwytywaniem sygnałów rosyjskich stacji telewizyjnych. Zagłuszanie stacji radiowych kreskówką „Kapitan Bomba”. Memy z Romami, którzy ukradli „ruskim” czołg. Kadyrow w taktycznych butach od Prady. Komiksowy superbohater Duch Kijowa. Fotografia ambasadora Japonii w zbroi samuraja, który okazuje się ambasadorem Ukrainy w zbroi samuraja. Kreskówkowe portrety zwierząt wydobywanych spod gruzów. Tajemnicze rytuały szamańskie Putina i Szojgu, którzy złożyli w ofierze czarnego wilka. Szabrownicy w kokonach folii spożywczej przywiązani do latarni i drzew. Reuters nadawał na żywo stream z kamery na Majdanie,

a po kilku godzinach przed obiektywem pojawił się dron, który trzymał ogłoszenie o sprzedaży garażu w Solomjańsku i z numerem telefonu – ludzie dzwoniący pod numer łączyli się z ambasadą Rosji. Wywiad wojskowy „łowil” rosyjskich poborowych, podszywaając się pod atrakcyjne dziewczęta na Tinderze. Wąsaty mężczyzna, paląc spokojnie papierosa, przenosił gołymi rękami ładunek wybuchowy.

Ukraińska armia, widząc, jak infotainment wygrywa sympatie i medialną uwagę, sama zaczęła robić memy i kręcić filmy. Oto ich żołnierze pod ostrzałem z namiętności świeżo ściętych kwiatów składali życzenia wszystkim paniom z okazji Dnia Kobiet, choć na tle spopielalego krajobrazu czerwieni i żółć bukietów stawała się nie do zniesienia intensywna.

Inna grupa żołnierzy w chwili wytchnienia zebrała się wokół sprzedawanego w marketach pluszowego kaktusa, który wyginając się, śpiewa po polsku:

*Tylko jedno w głowie mam
Koksu pięć gram odlecieć sam
W krainę zapomnienia*

Nagrania były rekordy odsłon. Memy pączkowały i z internetowych nisz trafiały do profesjonalnych wydań pt. „Mamy dla państwa coś ku pokrzepieniu serc”.

Karmieni mieszkanką pociechy i absurdu w naszych informacyjnych bańkach chcieliśmy odlecieć „w krainę zapomnienia”; popkulturowymi kliszami i śmiechem egzorcyzmować śmierć. W gadaniu ekspertów i białym szumie opinii od-

kryliśmy chyba jedynie, jak wstydliva i utopijna jest ambicja zrozumienia czasów, w których żyjemy. Z chaotycznej rzeczywistości robiliśmy więc templatkę, matrycę mema, opatrzoną odpowiednim podpisem, który w nawias ironii weźmie strach i grozę.

I wprawialiśmy to w ruch wirowy.

CZAS TERRORU

Być może to właśnie figura ruchu wirowego najlepiej opisuje egzystencjalny moment, w którym się znajdujemy. To tumble znaczy spadać bez kontroli, ale też kręcić się pod wpływem jakiejś siły. Tumble we-ed to znane z westernów chwasty miotane wiatrem. Tumble dryer to wirówka bębnowa.

Stosunkowo niedawno próbowaliśmy wyrażać nasze doświadczenie świata słowami, ale złota era blogów przeminęła. Od kilku lat kolejne takie platformy zamykają działalność, wyparte przez media szybkiego ruchu, a językowe analizy zastąpiono powidokami analiz. Jednym z gwoździ do trumny blogów pisanych był serwis Tumblr – służy wstawianiu i repostowaniu obrazów, zdjęć, krótkich cytatów. Tumblr pełni najczęściej funkcję moodboarda – dosłownie „tablicy nastroju” i wrażeń, jakimi w danej chwili użytkownik chce się podzielić ze społecznością. Kicz wiruje w nim z patosem, kamp z gore, arcydzieła sztuki sakralnej mieszają się ze zdjęciami z sesji modowych, pornografia z laureatami World Press Photo.

Vertigo. Zawrót głowy. Dla filozofa Benjamina Constanta vertigo było rodzajem dramaturgii rzeczywistości właściwym czasowi terroru.

Dlaczego fanka Deppa nie wierzy Amber Heard? Bo aktorka jest zodiakalnym bykiem, czyli manipulatką i modliszką

Jesteśmy na cywilizacyjnej krawędzi, targani katastrofą ekologiczną, epidemią, ziemią przegrzaną od kopania kryptowalut, z bogiem „postępu”, który spogląda na nas z góry martwym okiem reflektora wystrzelonej w kosmos czerwonej tesli i którego pozycję można śledzić na ekranie komputera w przerwach między procesem Deppa a wojną w Ukrainie.

– Wszystko dobrze? Zamyśliłaś się... – trąca mnie dziennikarz.

– Sluchaj, nie czujesz się jak na gali wrestlingu? Ci ludzie jakby odgrywali jakieś postaci. W slangu wrestlerskim to się nazywa gimmick. Oczywiście w wrestlingu udają, że się biją i ranią, tutaj jest pewnie i prawdziwe cierpienie, ale to wszystko, co mi pokazywałeś... to freak show.

– A wiesz, że do osiemnastki myślałem, że wrestling jest na serio? I kilku moich kolegów też. Mój ojciec śmiał się z nas i mówił, że ludzie, którzy wierzą, że wrestling jest prawdziwy, wybiorą jakiegoś Hitlera. Zadzwońił z tym do mnie, gdy wybrało Trumpa.

SMUTNE ŻABY NA KAPITOLU

Styczeń 2021. Tysiące zwolenników Donalda Trumpa gromadzi się pod Kapitołem, w którym Kongres ma potwierdzić zwycięstwo Bidena. Szturm. Powiewają flagi konfederackie, człowiek bizon z flagą ruchu Q-Anon pozuje do zdjęć w sali obrad, męż-

czyzna w narciarskiej czapce wynosi mównicę Nancy Pelosi – plemię Wandalów lupi Imperium.

Świat w osłupieniu patrzył na płaskoziemców, antyszczepionkowców, zwolenników teorii spiskowych o satanistycznych elitach porwających dzieci dla wydobycia z ich szyszynek substancji zwanej adenhromem, by zachować wieczną młodość, i przekonanych, że Hillary Clinton cierpi na chorobę Kuru od zjadania dziecięcych mózgów.

Vertigo.

Być może to amerykańska prawica najlepiej wyczuliła i nauczyła się instrumentalizować memiczną performatykę rzeczywistości i czerpać z niej korzyści. Wytwarzać swoją własną jej wersję, „wygrywać internet” w kulturowej wojnie o umysły.

Jeśli spytać o najsłynniejszy mem ruchu alt-right, bez wahania przychodzi na myśl Pepe The Frog – słynna „smutna żaba”, której twórca nie przewidział, że stanie się znakiem rozpoznawczym zwolenników Trumpa, Ku Klux Klanu i prawicowych teorii spiskowych. Co jest tak emblematycznym memem dla lewicy? Nic. O fatalnej memetyce liberalistów „umiarkowanego środka” nawet nie wspomnę.

Amerykańska populistyczna prawica nauczyła się performować przemoc w sterylizowanych kostiumach i dekoracjach. Uprawiać wrestling, w który ludzie nie przestają wierzyć. Miękki faszyzm nie używa zamordyzmu, wyczuwa w nas dziecko, które chce wierzyć w suflowaną mu rzeczywistość. Dziecko, które chce się też dobrze bawić. A człowiek to homo festivus – to najważniejsze odkrycie prawicowego populizmu, który rozpoznał, że są bardziej uwodzenielskie metody partycypacji w polityce niż zimne narzędzia głosowań, petycji, referendum. Przechwycił nowy język mediów, przechwycił memetykę, przechwycił akcje sytuacjonistyczne kojarzone z lewicową kontrykulturą i pozwolił szczęśliwym dzieciom wirować nieprzytomnie.

Łacińska etymologia słowa „infantylny” odysła nas nie tylko w stronę skojarzeń z dzieciństwem, ale i z niepoczytalnością.

Słowo „infans” oznaczało w starożytnym Rzymie puszczony z wysokości przedmiot, niepanujący nad swoim losem, podany jedynie biernej czynności spadania. Perspektywa infantylna to nie tylko punkt widzenia dziecka, ale i istoty pozbawionej możliwości ingerencji we własny los, co jest zamaskowanym, ale ostatecznym celem populistycznych autorytarnych tyranii. Alexis de Tocqueville w drugim tomie „O demokracji w Ameryce” pisze o niej, że przekształca się w tyranie „pedantyczną”, a dalej w „potężną i opiekuńczą”, absolutną, ale i troskliwą, która „stara się nieodwołalnie uwięzić ludzi w stanie dzieciństwa”.

Zanim infans podda się spadaniu, przychodzi zawrót głowy. Vertigo.

SYMPATYCZNY FASZYZM

Obok wrestlingu to historyczne parki rozrywki wydawały mi się zawsze bardzo esencjonalnie amerykańskie. Te żywe dioramy, które pokazują, jak wyglądało życie pierwszych osadników albo ważne wydarzenia historyczne. Turyści przechadzają się, a znudzeni statyści dorabiają, grając np. trupa zmarłego na epidemię ospy.

Kiedy oglądałam zdjęcia ze szturmu, moją uwagę zwrócił mężczyzna w czarnej koszulce z napisem „Auschwitz camp”. Na plecach widniał napis staff, czyli „personel”.

Czy w wirowym ruchu spadania dojdziemy do momentu, gdy turyści będą przechadzać się po parku tematycznym poświęconym szturmowi na Kapitol?

Czy z głośników będą płynęły ironicznie przechwycone dźwięki muzyki grupy Consolidated?

„Panie i Panowie, powitajmy sympatyczny faszyzm końcówki dwudziestego wieku! Co prawda znów miliony umrą

jak ostatnio, ale skupmy się na plusach: oszczędnościach i szerokiej ofercie rozrywkowej. Utrata wolności i demokracji to tragedia, wiadomo, ale ile będzie z tego radochy! I przypominam, że to wy, ludziska, zgotowaliście sobie ten los, więc śmiało, tędy, zapraszam...”

TE DWIE BIEDACZKI

Nigdy nie zobaczyłam Johnnny’ego Depa ani Amber Heard. Nigdy nie opuściłam poznańskich Jeźyc, aby napisać relację z „procesu stulecia”. Są w niej fakty i prawdziwe postaci, ale jest też wrestling.

Wczoraj w sieci oglądałam mowy końcowe adwokatów obu stron. W kieszeni marynarki jednego z pełnomocników Depa zobaczyłam małą pluszową alpaka. Chyba znowu wygrali internety – dzieci chcą się bawić.

I nie umiem powiedzieć, gdzie w tym wszystkim są te dwie biedaczki: prawda i przyzwoitość.

Czy gdyby to Amber miała lepszych prawników i internetowych inżynierów dusz, to jej przyznalibyśmy rację? Czy gdyby zagrała przyćpaną, sarkastyczną, zaważającą piratkę, to dla niej ktoś przyprowadziłby do sądu alpaki? Czy wtedy uznałbyśmy, że była ofiarą przemocy? Nie wiem, kto jest katem, kto ofiarą, czy może „oboje są siebie warci”.

I nie wiem, co byłoby, gdyby to Rosjanie lepiej umieli w memy.

Tymczasem „Idź i patrz”, mówi szalony reżyser tej rzeczywistości, spójrz tutaj, na mema z kotem „President tut”, tylko nie patrz w oczy zmarłych. Nie z obojętności, znieczulicy, przeczułicy, ale „dla wzmocnienia serca”. I to jest to bardziej optymistyczne wytłumaczenie. Ale może samo cierpienie już nie wystarczy, by ludzie stanęli po twojej stronie. I czy kiedykolwiek wystarczyło?

Na płaskiej płytce zwanej plakieta Pioneerą wystrzelonej w kosmos w roku 1972 znajdowały się informacje dla obcej cywilizacji na wypadek kontaktu. Są tam sylwetki nagich kobiety i mężczyzny – jego dłoń uniesiona w powitalnym geście. Jest schemat Układu Słonecznego z zaznaczoną Ziemią. Dwa atomy wodoru w różnych stanach.

Położenie Słońca i tor lotu statku.

Co roku pod koniec maja w hrabstwie Gloucestershire tłumy ścigają się z toczącym się ze wzgórza serem Double Gloucester, który mknie 120 km/godz. Uczestnicy turlają się wraz z nim. Być może zapis tego wyścigu powinien zostać wysłany w kosmos na płytce z roku 2022. Być może ten szalony pęd „na złamanie karku” mówi dziś o nas więcej niż dwa atomy wodoru.

I gdyby obca cywilizacja wydawała gazety, na pierwszej stronie „Kuriera Betelgeuzy” mogłaby rzucić: „Nowo odkryta rasa Turlaków! Przegrali planetę, wygrali internety”. ●

*Zdanie otwierające słynny reportaż Huntera Thompsona „Gonitwa Kentucky jest dekadencją i zdegenerowana”, tłumaczenie Conradino Beb



*Magdalena Koryntczyk

• dramaturżka, freelancerka, publikowała m.in. w „Piśmie”, „Playboyu”, „Dwutygodniku”

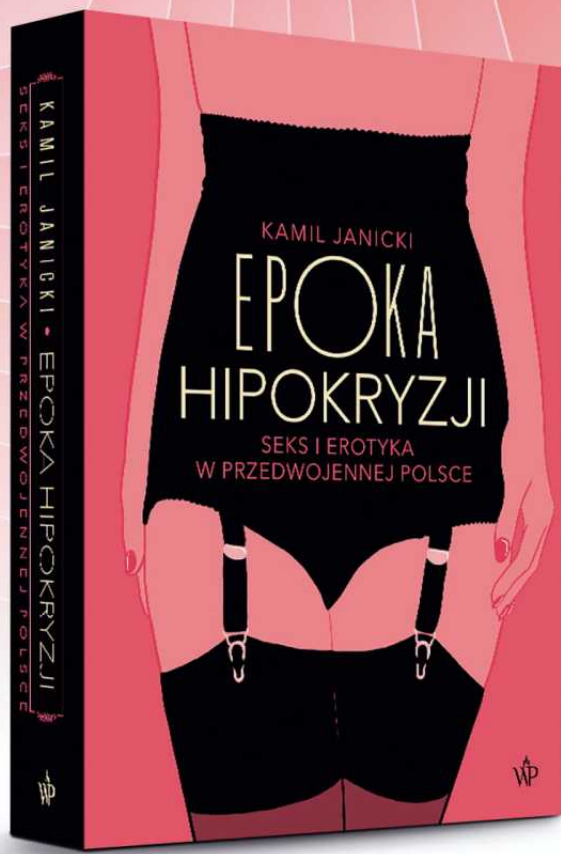
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

**Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę**

2.

**Fragmentu książki Kamila Janickiego
„Epoka hipokryzji. Seks i erotyka
w przedwojennej Polsce:**



Książka bestsellerowego autora zderza światopoglądy i spory obyczajowe, odstawiając przy tym pikantne sekrety przedwojennej Polski. Prezerwatywy z wypustkami, rozbuchane fantazje, pierwsze vibratory – wszystkie te elementy już wtedy wzbogacały życie erotyczne, skrywane jednak za firanką pruderii. Zdrady małżeńskie, przemysł pornograficzny, seks zbiorowy, początki antykoncepcji, miłość homoseksualna – to tylko wybrane zachowania spotykane w ówczesnej sypialni.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Kamila Janickiego „Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce”, Wydawnictwo Poznańskie, oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

KJE22HS

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

CZUŁE SŁÓWKA

Dotknięcie

Wypowiedź rzecznika praw dziecka mówi nam coś niepokojącego o jego stosunku do seksu, który utożsamia on — świadomie lub nieświadomie — z tym, co wiąże się z bronią: jakimś rodzajem przemocy i dominacji.



Michał Rusinek*

Rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak ogłosił niedawno w Polskim Radiu, że zależy mu — ze względu na wojnę toczącą za naszą granicą — na „przypomnieniu zasad bezpieczeństwa w szkołach” i „wsparcie dzieci w umiejętności bycia bezpiecznym, czy posługiwania się, czy w ogóle dotknięcia tego, czym jest broń, właśnie po to jest, by czuć się bezpiecznym”. I jest to zdanie frapujące.

Zgodnie z definicją rzecznik to ktoś, kto występuje w czyimś imieniu. Rzecznik działa na czyjąś rzecz, ale przede wszystkim — etymologicznie rzecz biorąc — rzecze, czyli mówi, w czyimś imieniu. Na przykład w imieniu tych, którzy nie mogą lub nie umieją dochodzić swoich praw, którzy nie mają orientacji w przepisach, którzy mniej lub bardziej dosłownie nie mają głosu albo nie znają — wcale lub dostatecznie dobrze — precyzyjnego języka prawa.

O wypowiedzi rzecznika praw dziecka można powiedzieć wiele, ale z pewnością nie można powiedzieć, że była ona precyzyjna. Jestem za to przekonany, że dzieci potrafiłyby sformułować tę samą myśl precyzyjnie. Spróbujmy ją jednak zinterpretować. Po pierwsze, rzecznik odwołuje się do bezpieczeństwa, którego poczucie należy mieć i należy innym — zwłaszcza słabszym — zapewnić. Nie jest ono jednak umiejętnością, lecz stanem — przede wszystkim emocjonalnym. Można go wzmacniać, budować, wspierać wiedzą, ale nie da się — także składniowo — „wesprzeć kogoś w umiejętnościach”.

Po drugie, zdaniem pana rzecznika kontakt z bronią może zwiększyć u dziecka poczucie bezpieczeństwa. Z merytoryczną stroną tego zdania nie zamierzam dyskutować, acz chociażby niedawna masakra w szkole w Uvalde pokazuje, że jest to teza ryzykowna i wymagająca doprecyzowania. Znów jednak zamiast precyzji otrzymaliśmy od rzecznika frazę dość mglistą. Ta mglistość bierze się zapewne z ostrożności, niepewności siebie oraz skłonności do rozmywania sensu własnych wypowiedzi. Zamiast powiedzieć zdanie: „moim zdaniem dzieci powinny nauczyć się posługiwać bronią, bo dzięki temu będą się czuły bezpieczniej”, rzecznik robi brawurowy krok w przód (mówiąc o posługiwaniu się) i — jakby przestraszony tym, co powiedział — pół kroku w tył (tłumacząc, że mogłoby to być może nie aż posługiwanie się, ale choćby i dotknięcie, a w dodatku niekoniecznie broni realnej, ale idei broni: „tego, czym jest broń”). Z jednej strony Pawlak zdaje się zabezpieczać

przed ewentualnymi zarzutami, że każe dzieciom bawić się zabawką dla dorosłych. Z drugiej — trudno oprzeć się wrażeniu, że chodzi o jakieś dziecięce marzenie pana rzecznika, typu: „Panie żołnierzu, czy mogą sobie chociaż dotknąć pańskiego pistoletu?”. Czy takie dotknięcie wzmacnia poczucie bezpieczeństwa? Wątpię. Raczej poczucie władzy.

Wprawdzie słuchając wypowiedzi pana rzecznika, staram się rozganiać freudowskie skojarzenia związane z dotykaniem broni, ale sam pan rzecznik mi tego nie ułatwia. Na pytania dziennikarzy, jak powinno przebiegać zaznajamianie dzieci z bronią, odpowiedział on, że powinni się tym zająć specjaliści. Dodał też: „Piętnastolatek, zgodnie z polskim prawem, może już inicjację seksualną przechodzić, to jest dopuszczalne, więc dlaczego w tym aspekcie nie możemy dzieci przygotować?”. Piętnastolatek, zgodnie z polskim prawem, może robić wiele innych rzeczy: zawierać umowy w drobnych sprawach życia codziennego, dysponować pieniędzmi zgromadzonymi na rachunku bankowym, podjąć pracę na rzecz podmiotu prowadzącego działalność kulturalną, artystyczną, sportową lub reklamową; ma też prawo do decydowania o rzeczach przekazanych mu do swobodnego użytku oraz musi wyrazić zgodę na ewentualną adopcję. Pan rzecznik wybrał jednak inicjację seksualną.

Dlaczego? Mikołaj Pawlak posłużył się swego rodzaju porównaniem, sugerując, że seks i broń znajdują się na tej samej płaszczyźnie. Zdaje się mówić: wy, którzy nie oburzacie się, że już piętnastolatkom mogą legalnie współżyć, nie macie powodu, a może i prawa, oburzać się, że chcę im pozwolić posługiwać się bronią. Być może jest to apel zwrócony do ludzi o lewicowych czy liberalnych poglądach, ale pewności nie mamy. Zestawienie seksu z bronią palną wydaje się czytelne z psychoanalitycznego punktu widzenia, zwłaszcza że panu rzecznikowi wyraźnie chodzi o piętnastolatka, a nie piętnastolatkę (nie dookreślił on, czy szkolenie z posługiwania się bronią będzie obejmowało także dziewczynki). Broń jest narzędziem dominacji i przemocy. Seks bywa związany z dominacją i przemocą, ale wówczas (w większości przypadków) jest zwykłym gwałtem, zakazanym przez prawo.

Porównanie ma to do siebie, że działa w obie strony: w tym przypadku mówi nam coś zarówno o stosunku mówiącego do posługiwania się bronią, jak i jego stosunku do seksualności. Albo więc porównanie jest nieudane (seks jest oparty na wzajemnym zaufaniu i bliskości, nie na przemocy), albo wypowiedź pana rzecznika mówi nam coś niepokojącego o jego stosunku do seksu, przynajmniej seksu nastolatków, który utożsamia on — świadomie lub nieświadomie — z tym, co wiąże się z bronią: jakimś rodzajem przemocy i dominacji.

Ale być może pogubiłem się w meandrach myślowych pana rzecznika. Potrzebowałbym zapewne — jakby powiedział sam — „wsparcia w umiejętności” rozumienia jego wypowiedzi, bym mógł choćby dotknąć jej sedna. Aczkolwiek nie jestem pewien, czy — dotknąwszy — poczuję się bezpieczniej.

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Gdy honor śpi, budzi się władza

Kto kibicuje rządowi w rozgrywce z UE, ten uznaje, że dotrzymanie umów jest dla głupców.

Marcin Matczak*



W czasach przedinternetowych dobrym sposobem na rozeznanie, co w trawie piszczy, była rozmowa z taksówkarzem. Mimo wielu ogólnie znanych wad, które później miały zdecydować o popularności Ubera, obdarzani byli zaufaniem w kwestii zasadniczej: jakości wglądu w istotę rzeczy. Taksjarsz był papierkiem lakmusowym, termometrem nastrojów, miernikiem tego, co akurat czuje suweren. Stary dowcip mówi, że wystarczyło wsiaść, spojrzeć w okno, westchnąć i wypowiedzieć jak zakłęcie: „rozkradli nam ten kraj, sukiny...”, i zaczynała się darmowa (nie licząc nadwyżki z przekręconego taksometru) lekcja o Polsce.

Dziś prawdziwych ułanów już nie ma. Jest za to Twitter, na którym od czasu do czasu wchodzę w dyskusję, by rozeznać, co suweren myśli. Jedna doprowadziła mnie do wniosku, że tylko frajerzy dotrzymują umów. Tak przynajmniej myśli człowiek, który mocno kibicuje rządowi w jego rozgrywce z Unią Europejską. Zasada „pacta sunt servanda” jest dla głupich, mówi, bo jak umowa jest niekorzystna, to trzeba ją zerwać.

Jak to często bywa w takich rozmowach, poszło o rzecz najważniejszą – suwerenność. Otóż mój rozmówca uznał, że umowy odbierają nam zdolność do samostanowienia. Cóż, tak już ten świat urządzono, że jak zawierasz umowę i coś dzięki temu dostajesz, pojawia się skutek uboczny: musisz umowy dotrzymać. Jak podpisujesz leasing i dostajesz samochód do używania, trzeba za to zapłacić. Jak podpisujesz umowę z telekomem i używasz komórki, podobnie. Jakieś ograniczenie wolności to rzeczywiście jest, bo z perspektywy używającego najłatwiej byłoby wziąć i nie płacić.

Po pierwsze jednak, nikt do podpisania leasingu nie zmuszał. Po drugie, zasada dotrzymania umów jest nie bez powodu podstawą naszej cywilizacji, bo tylko na stabilnych oczekiwaniach wobec drugiej osoby, wynikających ze złożonej obietnicy, można cokolwiek budować. Ponieważ jednak rozmawialiśmy o traktatach unijnych, padło mocne zdanie, że umowa z Unią to nie leasing, i rozmowa utknęła w martwym punkcie.

Czyżby? Umowa to umowa, a jej wynalezienie dało ludzkości potężnego ewolucyjnego kopa właśnie dlatego, że w tym nieprzewidywalnym świecie każda stabilność jest na wagę złota. Widać to dosłownie w naszych oczach, ponieważ, jak mówią biolodzy, nie bez przyczyny jako jedyni spośród naczelnych lpiemy białkami. Spojrzenie w ciemne oczy szympansa nie dawało takiej jasności co do tego, w którą stronę patrzy, na czym skupia uwagę, a więc nie pozwalało tak łatwo, jak w przypadku jasne-

go spojrzenia człowieka, przewidzieć jego dalszych działań. A przewidywalność jest kluczowa, by coś wspólnie robić – nie bez przyczyny „nieprzewidywalny” to synonim „szalonego”, z którym lepiej w interesy nie wchodzić.

Od białek naszych oczu do dotrzymania umów droga więc niedaleka. Mimo że zasadę tę umieściliśmy w naszych kodeksach, konstytucji, Karcie Narodów Zjednoczonych i w konwencji wiedeńskiej, właśnie od niej odchodzimy. To znak tych ciemnych czasów, a najlepiej widać go w dyskusjach z Unią właśnie, i tych dotyczących KPO, i tych ogólniejszych, dotyczących członkostwa. Na narodzie, który wydał Zawiszę, nie można już polegać: dotrzymanie umów z kwestii honoru staje się kwestią cwaniactwa. Coraz częściej słyszymy, żeby stolik wywrócić, swoje zabrać i z tej paskudnej Unii wyjść, bo tego wymaga mądrość, suwerenność, Bóg, ojczyzna i honor właśnie, choć zinterpretowany na nowo i na odwrót, jak większość naszych wartości w ostatnich latach.

Dlaczego z porządnego narodu stajemy się narodem cwaniaczków i kombinatorów, którzy zacierają rączki, bo znowu udało się im kogoś wyprowadzić w pole, czy to w kwestii praworządności („czy ci idioci z Brukseli naprawdę myślą, że my z tą ustawą to na poważnie?”), czy to w jakiegokolwiek innej? Kiedy suwerenność utożsamiamy z dowolnością, jesteśmy po prostu głupi, nie cwani. Całe nasze ewolucyjne doświadczenie wskazuje, że współpraca jest środkiem do sukcesu, a ta wymaga zaufania, czyli stabilności i przewidywalności. Niby to oczywiste, ale posłuchajcie głosu propagandy, która głosi, że im bardziej nieprzewidywalna Polska się wydaje, tym jest sprytniejsza i tym dla niej lepiej. Skąd to się bierze?

Z populizmu naszej władzy. Ten, by trwać, musi wybudzić nieaktywne społecznie masy z letargu, który daje ciepłą wodą w kranie – ten synonim normalności i przewidywalności, który stał się nagle powodem do wstydu. A masy się uaktywniają, gdy się czymś ekscytują. Dlatego trzeba ciągle siać niepokój i propaganda to robi – „oszukali nas, wystawili do wiatru, nie zapłacili reparacji!”. Tak jak w „Roku 1984” wojna była pokojem, a ignorancja siłą, tak u nas zaufanie stało się naiwnością, a współpraca wyzyskiem. Nie dlatego, że tak rzeczywiście jest, ale dlatego, że jak ciągle szczujesz, ciągle masy emocjonalnie pobudzasz. A stabilność staje się wrogiem, ponieważ uspokaja emocje. Wyrzywa z kluczowego dla populizmu przekonania, że Niemcy nas ciągle biją, a jak na moment tracimy czujność, to z pewnością nas zabiją.

Dlatego, według propagandy, powinniśmy te traktaty wypowiedzieć, bo naszą suwerenność obronimy tylko wtedy, gdy będziemy całkiem niezależni – od zobowiązań, od współpracy i od rozumu. Od czasu akcesji warunki się zmieniły – słyszymy – a argument ten stosujemy do Unii z takim samym niemal zapalem jak do gazowych kontraktów z Putinem. Bo Bruksela to przecież nowa Moskwa. Nie zauważamy, że między wojną na Wschodzie a współpracą na Zachodzie jest jednak drobna różnica. Powinniśmy zatem oszukać, ponieważ sami czujemy się oszukani. Zepsuć to, co budowaliśmy, ponieważ trwanie w stałości jest dla nas nie do zniesienia. A może to nie polityczna strategia? Może po prostu jeden czy dwóch małych ludzi chce przenieść na czterdziestomilionowy naród swoje przekonanie, że tylko wtedy ktoś będzie się z nimi liczył, gdy będą zachowywać się całkowicie nieprzewidywalnie. Problem w tym, że strach, że ktoś za moment znowu coś wywinie, to nie szacunek, tylko jego przeciwieństwo.

*Marcin Matczak – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW



• Wrocław, maj, piknik „Matki witają matki” z okazji ukraińskiego Dnia Matki
FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

DAJMY UKRAIŃCOM OBYWATELSTWO

Ze słynną pieczętą na granicy PiS chciał dobrze, ale zastawił na Ukraińców pułapkę.

Klaus Bachmann

Od 10 kwietnia, dokładnie od godziny 8.41 rano, możemy z całą dokładnością, od rządu w Warszawie do każdej gminy i wioski, powiedzieć, kto ma jaki stosunek do ukraińskich uchodźców. Tego dnia odbyło się oddolne głosowanie o dwóch przeciwstawnych koncepcjach ich integracji.

Pierwsza zakłada, że integracja będzie polegać na tym, że obywatele RP nadal będą tak żyć jak dotąd, a Ukraińcy swoje obyczaje i potrzeby podporządkują wymaganiom Polaków i że staną się, jak prezydent Duda to ujął w przemówieniu, „gośćmi”. Gość przychodzi i odchodzi, nie stawia warunków, nie domaga się przemeblowania, tylko ewentualnie przez jedną lub dwie noce śpi na kanapie. Za nic nie płaci, cieszy się gościnnością i potem sobie pójdzie. W świetle tej koncepcji nie było żadnego powodu, aby rezygnować z obchodzenia rocznicy katastrofy smoleńskiej za pomocą syren. Jeśli alarm 10 kwietnia w całej Polsce wywołał u nich panikę, to ich problem. Mogą sobie zatykać uszy albo pytać polskich sąsiadów, o co chodzi.

To jest koncepcja integracji Ukraińców promowana przez rząd, wojewodów i te gminy, w których 10 kwietnia wyły alarmy. Nazywam ją liberalną, choć pewnie wielu liberalom to się nie będzie podobać. Ale ta koncepcja zakłada minimalny wysiłek państwa, które jedynie tworzy ramy prawne i czuwa nad ich przestrzeganiem. Korzystać z nich Ukraińcy będą musieli sami. Taka koncepcja, która przeważa w Stanach Zjednoczonych: państwo wpuszcza imigrantów, ale muszą sobie sami radzić.

Druga koncepcja zakłada, że Polacy będą integrować Ukraińców tak, jak potrafią, według swojego widzimisię i zgodnie z tym, co sami uznają za najważniejsze potrzeby Ukraińców. To koncepcja paternalistycz-

na, bo traktuje „gości” prezydenta Dudy jako długotrwałych mieszkańców, którymi trzeba się opiekować. W świetle tej koncepcji Polacy mieli obowiązek zaprotestować przeciwko syrenom 10 kwietnia, bo mogły wywołać traumę u Ukraińców. W tym ujęciu obowiązek zapobiegania traumom Ukraińców spoczywa na Polakach.

Uderzające jest przy tym, że nie mamy praktycznie żadnych informacji, co sami Ukraińcy o tym sądzą. Ich nikt nie pytał. W Polsce głos mają ewentualnie przedstawiciele mniejszości ukraińskiej, ale ich interesy są nieco inne od Ukraińców z Ukrainy. Ci ostatni w Polsce głosu nie mają, bo nie zdążyli się jeszcze zorganizować. Jedno natomiast jest pewne: niemal wszyscy oczekują od ukraińskich uchodźców, aby się zachowywali w zgodzie z obecnie panującym w Polsce (i nie tylko tam) stereotypem: mają być biedni, skromni, wdzięczni i strumiatyzowani.

W międzyczasie już się rozniosło, że i Ukraińcy (niczym Syryjczycy na szlaku bałkańskim i uchodźcy uciekający przez Białoruś) mają smartfony, ubierają się dobrze, a czasami nawet elegancko, są zadbani i jeżdżą samochodami podobnymi do samochodów Polaków. Nadal jednak irytuje to sporo Polaków. Tak samo jak to, że większość ukraińskich uchodźców jednak nie jest strumiatyzowana. Oni nie uciekli podczas bombardowań, lecz przed bombardowaniami. Postanowili wrócić, kiedy się okazało, że szeroko zakrojona inwazja nie dojdzie do skutku i działania zbrojne ograniczają się do Donbasu i wybrzeża Morza Azowskiego. Więcej: ponieważ obecne przywileje (w porównaniu z innymi uchodźcami) przysługują tylko przybyłym po 24 lutego, niektórzy odczekali na granicy, żeby móc zabrać ze sobą tę cenną pieczętą, która daje prawo do PESEL-u, ubezpieczenia zdrowotnego, świadczeń socjalnych i do legalnej pracy.

O czym to wszystko świadczy? Po pierwsze, o tym, że Ukraińcy sobie na razie dobrze radzą. Po drugie, o tym, że muszą sobie sami radzić, bo wobec braku długofalowej polityki integracyjnej są zdani na siebie, na pomoc sąsiedzką i na wsparcie organizacji charytatywnych. Polska stała się krajem imigracyjnym, ale nie ma żadnej przydatnej do integracji infrastruktury. Nie wie-

my nawet, ilu i jakich imigrantów przebywa w Polsce, nie wiemy, kto z Ukrainy pojechał dalej na zachód, nie wiemy, kto wraca na Ukrainę, ani tego, kto powrócił z zachodniej Europy do Polski. I najważniejsze: nie wiemy prawie nic o Ukraińcach – poza naszymi stereotypami o nich.

Do 24 lutego Ukraińcy funkcjonowali w odbiorze społecznym w Polsce albo wcale, albo jako ukraińscy nacjonaliści. Ta sama partia, która tworzy rząd tak szeroko i mało biurokratycznie otwierający uchodźcom bramę do Polski, kilka lat temu uchwalila w Sejmie rezolucję określającą masowe mordy na Wołyniu „ludobójstwem” i do dziś obowiązującą ustawę, która karze więzieniem za zaprzeczenie owemu ludobójstwu. W ostatnich 30 latach od prawicy do liberalnego centrum przyjęło się uważać mieszkańców wschodnich, rosyjskojęzycznych obwodów Ukrainy za „głęboko zsowietyzowanych”, niechętnych reformom i zrusyfikowanych. Prawicowi i lewicowi publicyści o zachodniej Ukrainie pisali najczęściej jako o ostoju ukraińskiego nacjonalizmu, a minister spraw zagranicznych z ramienia PiS kilka lat temu zapowiedział weto Polski wobec integracji Ukrainy z UE, jeśli Kijów nie zmieni polityki historycznej i nie odzegna się od „banderyzmu”.

Odkąd Putin zaczął głośno używać takiego słownictwa, w Polsce zrobiło się o tym dziwnie cicho. Dawne uprzedzenia wyparowały, choć absolutna większość uchodźców w Polsce to właśnie ci „głęboko sowietizowani ludzie” ze wschodu (i po części z centralnej) Ukrainy. Z zachodu mało kto ucieka, mieszkający tam rzekomi nacjonaliści właśnie przyjmują innych uciekinierów ze wschodu i południa, i to nawet znacznie więcej niż Polska, bo około siedmiu milionów.

Ostatni raz opinia publiczna tak gwałtownie zmieniła stosunek do imigrantów podczas pierwszej wojny czeczeńskiej. Wtedy z dnia na dzień groźni muzułmańscy terroryści i gangsterzy (taki był stereotyp Czeczenów w mediach) stali się bohaterami walczącymi o wolność. W debatach o tym, skąd taka sympatia do Ukraińców i taka niechęć do uchodźców uciekających przez Białoruś, często pada argument, że to „zupełnie inni ludzie”. Jedni to „bliscy nam kulturowo Ukraińcy”, drudzy to „obcy nam kul-

turowo muzułmanie” i „sami młodzi faceci”. Ale przykład Czeczenów pokazuje, że tu nie o religię ani o pleć chodzi. W połowie lat 90. Polska przyjmowała prócz kobiet z dziećmi również mężczyzn, a kobiety w Czeczenii też bywały zamachowcami.

Jedyne, co się zmieniło, to nasze stereotypy o nich – co oznacza, że uprzedzenia mogą się też szybko odradzać. To, co mówimy o imigrantach, nigdy nie świadczy o nich, lecz o naszych wyobrażeniach. Można to obecnie obserwować w mediach społecznościowych. W wyobrażeniu wielu Polaków uchodźcy z 2015 roku to „sami młodzi faceci, którzy odbiorą nam kobiety”. Teraz wśród niechętnych Ukraińcom pojawia się odwrócona wersja tego stereotypu: „przyjechały same młode kobiety, które odbiorą nam naszych facetów”. Czy takie postawy świadczą o uchodźcach z Syrii i Ukrainach, czy o niskiej samoocenie i lęku ze strony tych, którzy to piszą, przed konkurencją?

Podobnie jest ze stereotypami o nacjonalistach i „sowietizowanych” mieszkańców Donbasu”, o których zapadła (chwilowo) cisza. Ukraińcy nie stali się ani mniej nacjonalistyczni (pod wpływem wojny każde społeczeństwo staje się zazwyczaj bardziej nacjonalistyczne), ani mniej „zsowietyzowani” – po prostu na moment te kategorie przestały być ważne i ustąpiły przed nowymi stereotypami: jawią się oni teraz „biednymi, strumiatyzowanymi gośćmi, którzy zasługują na naszą pomoc i nasze współczucie”. To sympatyczne? Nie, w tym właśnie tkwi cały problem.

W dyskursie władzy mamy prosty i jaskrawy podział. Po jednej stronie są uchodźcy z Syrii, Afryki i Azji, których Unia chciała rzekomo Polsce narzucić, po drugiej stronie są ukraińscy goście. Można tylko gdybać dlaczego: w kręgach sympatyzujących z PiS słowo „uchodźca” to obelga, którą dzieci straszą się na podwórku, a Ukraińcy to „ci dobrzy”, więc uchodźcami nie wolno ich nazwać, nawet jeśli w stu procentach odpowiadają definicji.

Nie po raz pierwszy władza zaplątuje się w własnej retoryce, ale to akurat mało ważne w tym kontekście. Ważniejsze, że Ukraińcy na pewno jednym nie są: gośćmi. Przebieg wojny wskazuje na to, że zostaną z nami na dłużej: albo dlatego, że ich domy

będą pod okupacją, albo dlatego, że zostały zrównane z ziemią. Na razie hrywna jest za- skakująco stabilna, choć ekonomiści zapo- wiadają spadek PKB Ukrainy o połowę, za- łamanie się eksportu najważniejszych pro- duktów i gigantyczny wzrost zadłużenia za- granicznego. Trudno oczekiwać, aby to po- zostało bez wpływu na kurs hrywny, a wte- dy Ukraińcy pracujący w Polsce będą mie- li jeszcze większą zachętę, aby zostać i zara- biał w Polsce.

Skoro państwo dalej woli udawać, że Pol- ska żadnym krajem imigracyjnym nie jest, to najbardziej skuteczny sposób integra- cji polega na tym, aby Ukraińców całkowi- cie równać w prawach z Polakami i dać im jak najszybciej obywatelstwo. Wtedy nikt nie musi się już martwić, czy jakieś działa- nie, rytuał, obyczaj albo prawo w Polsce ich traumatyzuje, nikt nie musi walczyć za ich prawa i państwo może likwidować kolejną usługę publiczną, czyli politykę imigracyjną.

Jeśli Ukraińcy będą pełnoprawnymi oby- watelami, sami będą mogli decydować, czy, kiedy, dokąd i na jakich warunkach wró- cą do Ukrainy. Polacy – obywatele RP pol- skiego pochodzenia – już nie muszą wal- czyć z innymi Polakami o to, czy ukraińska młodzież musi zdawać egzamin ośmioklasi- sty na podstawie tych samych pytań i lektur co polska młodzież i czy nie lepiej, aby się uczyła zdalnie po ukraińsku i według ukra- ińskiego systemu edukacji. O tym Ukraińcy sami mogą decydować i jeśli decyzja rządu im się nie spodoba, to mogą w następnych wyborach popierać opozycję.

W obliczu takiej sytuacji nasi politycy bę- dą się starać, aby zdobywać ich poparcie, partie będą przyjmować ukraińskich kan- dydatów na listy wyborcze, w samorządach zgłoszą się kandydaci ukraińskiego pocho- dzenia na radnych, burmistrzów i być mo- że nawet prezydentów. Zamiast Polaków broniących interesów Ukraińców przeciw- ko innym Polakom będziemy mieć Ukraiń- ców walczących o własne interesy i może- my spokojnie skończyć z obecnym pater- nalistycznym kiczem. Możemy rozmawiać i spierać się z nimi, zamiast we własnym gronie dyskutować o naszych wyobraże- niach o nich.

Nosi to w sobie jednak pewne ryzyko. Sprawa uchodźców z Ukrainy, dotąd niemal konsensualna w Pol- sce, może się stać przedmiotem polaryzacji i przyczyną nowych podziałów, ponieważ partie w różnym stopniu będą mogły liczyć na tych nowych wyborców. Prorosyjskie, antyukraińskie stracą, proukraińskie będą zyskiwać, w tym również PiS, ponieważ za- dba, aby Ukraińcy się dowiedzieli, kto im

Niemal wszyscy oczekują od Ukraińców, że będą biedni, skromni, wdzięczni i straumatyzowani

Skończmy z paternalistycznym kiczem i zacznijmy rozmawiać z nimi zamiast sami ze sobą o naszych wyobrażeniach

„dał” prawa: nie państwo, nie Polska, nie Polacy, lecz PiS. W pierwszych latach trze- ba się więc liczyć z tym, że taki ruch sprzy- ja PiS-owi bardziej niż nienacjonalistycz- nym partiom opozycji. Potem „głosowanie etniczne” stanie się coraz słabsze i zachowa- nia Ukraińców zaczną przypominać gło- sowanie innych obywateli.

Druga konsekwencja to fakt, że w Pol- sce przybędzie dwa miliony uprawnionych do głosowania i kampanie będą prowadzo- ne pod ich kątem – a wtedy okaże się, że Pol- lak to obywatel RP, ale niekoniecznie etnicz- ny Polak. Co dla PiS-u może być sporym wstrząsem, podobnie jak dla Kościoła.

Szkopuł w tym, że to i tak nie do unik- nięcia.

Albo dokładniej: gdyby obecny rząd chciał temu zapobiec, musiałby natych- miast i szybko zmienić ustawę o obywa- telstwie. Jeśli teraz nic nie zrobi i się obu- dzi za półtora roku, będzie za późno. Ponie- waż PiS jest znany z tego, że rozwiązuje na- wet te problemy, które sam stworzył, tylko w ostatniej chwili i na kolanach, to za dwa lata w Polsce będzie dwa miliony więcej Ukraińców uprawnionych do głosowania. I będziemy się cieszyć (albo oburzać) na to, że jedna z najbardziej ksenofobicznych par- tii po 1989 roku doprowadziła po ośmiu la- tach rządów do powstania „multikulti”, któ- re przez te osiem lat zwalczała.

O d kilkunastu lat Polska nie tylko dlatego jest krajem imigracyjnym, że ludzie z innych krajów tu się osiedla- ją, ale też dlatego, że ma bardzo liberalne przepisy dotyczące obywatelstwa. Powstałe w 2009 roku, weszły w życie trzy lata póź- niej, zupełnie bez rozgłosu. W przeciwień- stwie do innych krajów UE, gdzie imigranci mogą się ubiegać o obywatelstwo po pięciu latach legalnego zamieszkiwania, w Pol- sce można to robić znacznie szybciej. Dla imigrantów, którzy nie mogą się powołać na polskie pochodzenie, istnieją dwie ścieżki: prezydent może im przyznać obywatelstwo albo wojewoda może ich uznać za obywate- li. Można się o to ubiegać, jeśli mieszka się legalnie i nieprzerwanie w Polsce od trzech lat, zna język, ma się pracę i wystarczający

dochód. Jest to też możliwe po dwóch latach legalnego pobytu z małżonkiem polskim – albo jeśli się ma status uchodźcy. Dla wszystkich Ukraińców bez Karty Polaka, bez polskiego małżonka to najszybsza i naj- łatwiejsza ścieżka. Największa przeszkoda to zazwyczaj egzamin językowy, ale dla Syryjczyków i Afgańczyków, nie dla Ukraiń- ców.

Lecz prawie żaden Ukrainiec nie ma sta- tusu uchodźcy. Wszyscy wjechali albo przed wojną jako pracownicy, albo po wybuchu wojny jako „goście” na podstawie słynnej pieczętki w paszporcie, która dała im prawo do pobytu, pracy, opieki medycznej na pół- tora roku.

Na mocy „ustawy o pomocy obywa- telom Ukrainy” Ukraińcom po 9 miesią- cach (i przed upływem 18 miesięcy) poby- tu udziela się na ich wnioszek zezwolenia na pobyt czasowy na trzy lata. I tu jest pies po- grzebany: „zezwolenie na pobyt czasowy” to coś innego niż wymagane do wniosku o uznanie za obywatela RP „zezwolenie na osiedlanie się” albo „status uchodźcy”.

Z tego powodu administracja rządowa będzie mogła odrzucić wnioski o obywa- telstwo, mimo że pobyt na terenie RP ma tę samą funkcję jak status uchodźcy: chro- ni przed prześladowaniami ze strony Rosji. Trudno powiedzieć, czy to świadome działa- nie, czy wypadek przy pracy, ale wpuszcza- jąc Ukraińców w mało biurokratyczny spo- sób po 24 lutego i uchwalając potem przepi- sy o ich „pobyście czasowym”, większość sej- mowa budowała pułapkę dla tych, którzy po dwóch latach w kraju będą chcieli ubie- gać się o obywatelstwo polskie. Gdyby zło- żyli wnioski o azyl lub ochronę międzyna- rodową po przekroczeniu granicy, czekała- by ich długa procedura przed Urzędem do spraw Cudzoziemców bez prawa do pracy – ale po dwóch latach mogli się stać obywa- telami RP. Szybko dostali schronienie, ale – przynajmniej na razie – zamyka to drogę do obywatelstwa.

Chyba że teraz rząd im otworzy tę furtkę. Inaczej zrobią to za kilka lat sądy w wyniku masowych pozwów Ukraińców domagają- cych się uznania ich pobytu za równoważny z uzyskaniem statusu uchodźcy.

Za rozwiązaniem „obywatelstwo od rę- ki” przemawia jeszcze jeden powód: ow- szem, Ukraińcy mogą się zwrócić do prezy- denta o nadanie obywatelstwa. Ale rokrocz- nie prezydent przyznaje obywatelstwo oko- ło 4500- 5000 wnioskodawców. Zakładając, że po dwóch latach legalnego pobytu wystą- pi o to tylko milion Ukraińców, ostatni do- staną swoje decyzje w okolicach 2222 roku.

Zresztą zatorów w administracji i tak nie unikniemy. Pokazały to już kolejki po PESEL. Dzięki ustawie o pomocy Ukraiń- com gigantyczne zatory, jakie powstałyby, gdyby poddawano wszystkich przyjezdnych po 24 lutego procedurom Urzędu do spraw Cudzoziemców, nie zostały rozładowane, one tylko zostały przesunięte na 2025 rok, kiedy setkom tysięcy albo nawet milionom Ukrainek kończą się ich trzyletnie poby- ty czasowe. Wtedy albo będą składać wnio- ski o obywatelstwo, albo co parę lat parali- żować administrację wnioskami o przedłu- żenie pobytu.

P ostulat, aby za pomocą uproszczonej procedury obdarować wszystkich chętnych obywatelstwem, wcale nie jest tak radykalny, na jaki wygląda. Dla samych zainteresowanych to równie przyjazne jak dla przeciążonego aparatu państwa, którego kasy są puste, a zadłużenie coraz większe.

Taką drogę obrały władze tureckie wo- bec części uchodźców z Syrii, podobnie po- stępowały Węgry wobec obywateli krajów sąsiednich, którzy mają pochodzenie wę- gierskie. Niemcy już 20 lat temu ułatwiły wszystkim imigrantom dojście do obywa- telstwa, a ostatnio Wielka Brytania wpro- wadziła specjalną ścieżkę dla uchodźców z Hongkongu.

Nigdzie jednak nie dotyczyło to aż tylu ludzi naraz w tak krótkim czasie. I nigdzie zatory na drodze do legalnego pobytu nie były tak duże, jak będą w Polsce. ●



FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Klaus Bachmann

• politolog, historyk, publicysta, profesor nauk społecznych Uniwersytetu SWPS

Najzabawniejsza książka roku!

O starzeniu się bez liftingu, joggingu i tabu!

Ewa Winnicka i Magdalena Grzebałkowska, wybitne i wielce przy tym dowcipne repor- terki, twórczynie podcastu „Jak się starzeć bez godności” z reporterską przenikliwością i ciętym humorem piszą o starości i kryzysie wieku średniego, konfrontując się z własnymi problemami i stereotypami, jakie wiążą się z „wiekiem przedstarczym”. Fantastyczna opo- wieść o tym, jak być sobą i starzeć się na wła- snych zasadach.

JUŻ W SPRZEDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

PO PRAWDZIE

PO młodość, PO rozum

Lajki, retweety, Instagram, YouTube – Platforma musi się tego nauczyć albo młodzi uznają, że wybory są anachronizmem dla staruszków.

Agnieszka Kublik



Kampanie wirtualne to od kilku lat standard i wręcz obowiązek. W Ameryce Twitter to już zwykłe kampanijne narzędzie. Obama wygrał, zdaniem specjalistów, m.in. dlatego, że był na Twitterze.

Każdy spin doktor już od lat nie zastanawia się, „czy warto tam być”, tylko „jak zaistnieć jeszcze skuteczniej”.

Tusk już to wie. I zdaje sobie sprawę, że w przypadku jego kolegów z PO Twitter to porażka. Podczas ostatniego posiedzenia klubu Koalicji Obywatelskiej Tusk, mobilizując do walki o młodych, wyzłościł się na tych, którzy na Twitterze pod swoimi postami zdobywają trzy lajki, bo to znaczy, że wirtualnie są martwi albo ich asystenci niczego nie ogarniają. Jeśli się nie wie, jak łączyć konta, jakie są słowa klucze, jak moderować dyskusję, to można się nauczyć, naprawdę.

Z ciekawości zaglądam na Twittera.

- Tusk, rocznik 1957 – 1,5 mln obserwujących
- Radek Sikorski, rocznik 1963 – 1,1 mln
- Rafał Trzaskowski, rocznik 1972 – 713 tys.
- Borys Budka, rocznik 1978 – 250 tys.
- Grzegorz Schetyna, rocznik 1963 – 237,3 tys.
- Bartosz Arłukowicz, rocznik 1971 – 172 tys.
- Kidawa-Błońska, rocznik 1957 – 158,7 tys.
- Michał Szczerba, rocznik 1977 – 137,8 tys.
- Krzysztof Brejza, rocznik 1983 – 132 tys.
- Katarzyna Lubnauer, rocznik 1969 – 130,1 tys.
- Paweł Kowal, rocznik 1975 – 97,1 tys.
- Marcin Kierwiński, rocznik 1976 – 86,6 tys.
- Agnieszka Pomaska, rocznik 1980 – 78,2 tys.
- Izabela Leszczyna, rocznik 1962 – 74,7 tys.
- Tomasz Grodzki, rocznik 1958 – 68,4 tys.
- Klaudia Jachira, rocznik 1988 – 55,5 tys.
- Jan Grabiec, rocznik 1972 – 52,1 tys.
- Paweł Poncyłjusz, rocznik 1969 – 45,4 tys.
- Franek Sterczewski, rocznik 1988 – 32,7 tys.
- Monika Wielichowska, rocznik 1973 – 18,6 tys.

- Rafał Grupiński, rocznik 1952 – 8750
 - Jerzy Borowczak, rocznik 1957 – 1191.
- Jak widać, jedni potrafią, inni nie, i to nie jest kwestia wieku. Ale, ale. Młodzi dziś są na Instagramie, YT, FB i TikToku. A Platforma? Nędza. Trzeba umieć dopasować charakter przekazu do kanału komunikacji. Nie potrafią tego.

Tusk ma na Instagramie 266 tys. obserwujących, PO – niecałe 23 tys. Dla porównania – sam Szymon Hołownia ma 310 tys. A celebryci? Anna Lewandowska – 4,1 mln, Małgorzata Rozenek – 1,4 mln. Dla PO to nieosiągalne, ale może zawalczyliby o wynik podobny do Hołowni?

Na YT Platforma ma blisko dziesięć razy mniej subskrybentów niż sam Hołownia. Tusk na YT? Trzeba się postarać, żeby się dowiedzieć, że szef PO tam jest.

Wniosek: Platforma poprzez media społecznościowe do młodych nie dociera.

Kiedy to do nich dotrze?

A w najbliższych wyborach parlamentarnych to młodzi zdecydują, jaka będzie Polska – pisowska przez trzecią kadencję czy normalna. Młodych trzeba na nowo zmobilizować, bo po ich skoku w politykę jesienią 2020, gdy Trybunał Julii Przyłębskiej, zaostrożając prawo aborcyjne, wyciągnął dziewczyny i chłopaków na ulice, widać demobilizację. Badanie Kantaru pokazuje spadek deklaracji udziału w wyborach o 12 pkt proc. między listopadem 2021 a marcem 2022 r.

Wnioski prof. Jacka Raciborskiego, socjologa z UW, są dla PO fatalne: – W porównaniu z listopadem 2020 na dalszy plan zeszły kwestie ustaw antyaborcyjnych, wolności obywatelskich, wolnych mediów, a one żywo obchodzą młodych. Być może też upowszechniło się wśród młodzieży przekonanie, że wszystko, co ważne, rozgrywa się poza lokalną, krajową polityką. Nie mamy wpływu na wojnę, drożyznę i epidemię. To groźne zjawisko: upowszechnienie się przekonania, że wybory są anachronizmem interesującym staruszków.

Demobilizacja młodych jest korzystna dla PiS, bo na Kaczyńskiego w ostatnich wyborach najmłodszy głosowali rzadko.

PiS żyje przeszłością – pragnie Polski narodowej, tradycyjnej, katolickiej. Większość Polaków chce od takiej Polski uciekać, co pokazują badania. Skręcamy ku liberalizmowi tym szybciej, im bardziej PiS jest archaiczny i zacofany.

Platforma – jeśli chce jakoś dogadać się z młodymi, a wygląda, że chciałaby – powinna opowiedzieć im o ich przyszłości bez przeszłości PiS. Aby nie dołączyli do ugrupowań może i bardziej postępowych, fajniejszych, ale bez szans na odsunięcie Kaczyńskiego od władzy.

Media społecznościowe to kanał komunikacji równie kluczowy, co spotkania w terenie, chodzenie po domach, rozwieszanie plakatów, billboardów, roznoszenie ulotek. To codzienna wyborcza harówka.

Ale niech nie robią tego po swojemu (czyli po amatorsku), tylko po ekspercku. Młodzi lipę wyczują (Tusk coś powinien o tym słyszeć). ●

Wielka Sobota z małym Rudnickim

Włosy do kolan

Janusz Rudnicki

A dawno u mnie pana nie było, ostrzyć jak zawsze, nie? O sobie? No sama, sama żyję. Spotykałam się z takim jednym klientem, ale on... Ach, co tam gadać, kochać to dzisiaj nikt już nie chce, wszyscy chcą być kochani, bym rzekła.

Ja wolę, jak pan opowiada, no bo co tu, w Kędzierzynie? Na cmentarzu więcej się dzieje niż tu w centrum, rzekłabym. Można iść tylko do sklepów albo do fryzjera, ludzie nie mogą się doczekać, kiedy im włosy wyrosną.

Durne to nasze miasto. Widział pan tę wróżkę koło dworca? Przy samym wejściu jakaś babcia wróży z tabletek, stojący mówią jej, jakie zażywają, a ona im, co im dolega, zgadza się zawsze. A mnie się klienci pytają, czy wiem, jak się skontaktować z obojętnie jakim Norwegiem, żeby się pieniędzmi z nimi podzielił.

Ceny dziś takie, że lepiej w ogóle z domu nie wychodzić. Ja tam biorę tyle, co zawsze, mam tyle klientów, że nie mam kiedy włosy z podłogi zmieść, czasami pod koniec dnia to one prawie do kolan tu. Zanim kto dotrze do fotela, teren musi przeczesać. I jeszcze uważać trzeba na małe dzieci, żeby ich nie nadepnąć, bo się bawią w tych włosach i nie widać ich. Ale...

Ale co tu tak czuć? Tak jakby urną kota, ale jak, skąd? Nie no, nie wierzę, kot panu na marynarkę nasikał? I pan tak w niej chodzi? Tak pan będzie przez życie dalej iść? Pisarz znany na cały Kędzierzyn i nawet w Koźlu? Jak diabeł? Bo przecież to jak siarka jakaś capi. Jedną pan tylko ma? Do pralni chemicznej niech pan odda, mój fartuch panu pożyczę.

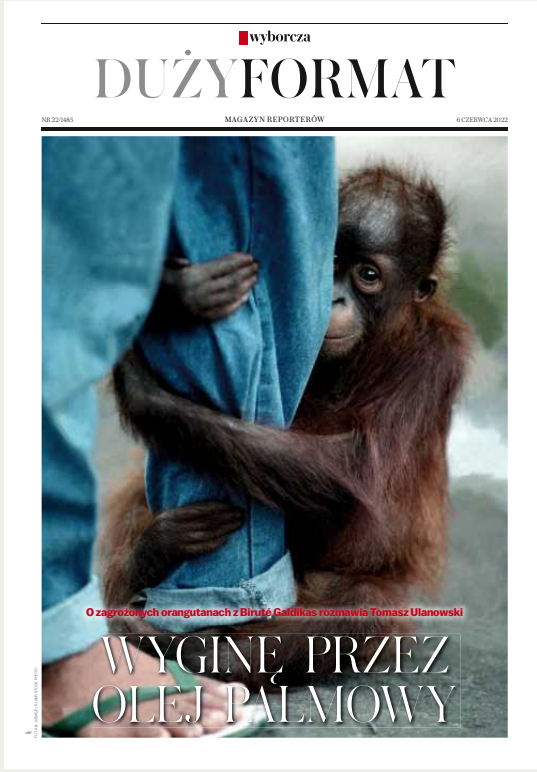
Kotów to ja nie cierpię. Niewiniątka o brudnych łapach. Wie pan, ile oni ptaków zabijają rocznie? Miliony. To jakiś mord masowy, ptasi Holocaust, niektóre gatunki mogą wymrzeć, miau Hitler! A jeszcze niektóre koty atakują gniazda, które ptaki zakładają na ziemi, te pisklęta w nich to zobaczą rodziców jak świnia niebo, włosy dęba stają, proszę pana. Proszę? Nie, nie te na podłodze, pan to ma humor. Taki kot jeden z drugim zżarłby i orla na sztandarze, gdyby mógł. Chociaż tu byłoby mi obojętnie, co za potworne ptaszysko.

Ale wie pan, jak tak z drugiej strony popatrzeć...

Dwadzieścia złotych, jak zwykłe.

...To po co tyle tych ptaków, tylko niebo zasłaniają. ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



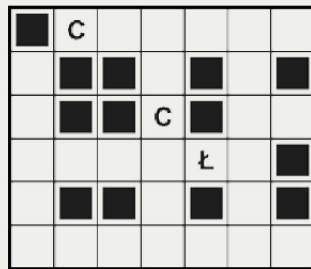
1 ORANGUTANY, LUDZIE LASU.

Patrzą tak, jakby chciały przewiercić ludzką duszę

2 UKRAIŃSKIE SUROGATKI NA WOJNIE.

Reportaż Ludmiły Anannikovej

3 jolka



Krzyżówka co tydzień w Dużym Formacie

Adam Michnik poleca

UNIwersytet IM. PUTINA

Jeśli do Rosjan docierają przypadkowe ułamki prawdy, nie umieją skleić z nich spójnej całości.

Andrzej Mencwel*

4 marca 2022 r., w dziewiątym dniu agresji Rosji na Ukrainę, opinii krajowej i światowej oznajmiono deklarację rosyjskiego „korpusu” rektorów wyższych uczelni, z moskiewskim MGU na czele. Jego szef, jak należy, prezyduje temu związkowi i deklarację podpisał pierwszy.

Tekst jest zaskakująco krótki jak na normalne poddańcze wielosłowie i składa się z paru akapitów. Zwartości tej deklaracji nie zawdzięczamy zapewne negocjacom między podmiota-

Nie da się tego rozstrzygnąć bez przytoczenia głównych reweransów deklaracji. Rektorzy oświadczają tedy, że zadaniem ich państwa jest „obrona przed narastającą groźbą wojny”, którą osiągnie się przez „zakończenie ośmioletniej konfrontacji Ukrainy i Donbasu oraz demilitaryzację i denazyfikację Ukrainy”. W tym celu trzeba nie tylko „poprzec nasz kraj i naszą armię”, ale także „naszego Prezydenta”, który podjął „najbardziej złożone zadanie w swoim życiu, wycierpiane [wystradannoje], lecz konieczne”.

To, że w deklaracji uczelnianych nominatów najazd wojenny jest najlepszym sposobem zapewnienia pokoju, nie powinno

wa Włodzimierz Putin, choć realizuje go przykładnie, ani Józef Stalin, arcy mistrz wszelkiego przeinaczenia, nawet nie Włodzimierz Lenin, jego nauczyciel i uświęcony przywódca. Rosyjscy rektorzy bowiem, dość bezwiednie, odsłaniają jego pradawne źródła i to w tym akurat fragmencie swego oświadczenia, który wydaje się najbardziej ludzki.

Solidaryzują się oni, rzecz jasna, z konieczną i słuszną decyzją swego Prezydenta (majuskuła bez nazwiska, jak Augusta lub Generalissimusa), a zwłaszcza współczują jego „cierpieniu”. Nie tylko znają więc racje swego władcy, ale przejmują także jego uczucia. Powiadają nas przeto, że



• Listopad 1992 r., Moskwa, kilka miesięcy po rozpadzie ZSRR tęskniący za komunizmem manifestują na placu Czerwonym FOT. WOJTEK ŁASKI / EAST NEWS

mi akademickimi, jeśli bowiem nie została ona podyktowana prezesowi, to w najlepszym przypadku napisał ją on sam, razem z zastępcami. Ponieważ wszyscy oni są wymienni, a zanim skończę ten esej, mogą zostać zastąpieni nową talią wyjętą z rękawa rządowego funkcjonariusza, więc ich nazwiska pomijam. Jak zwykle w reżimie autokratycznym od osób przypominających manekiny ważniejsza jest kwestia czasu i miejsca. Spóźnili się czy nie, uplasowali trafnie czy mylnie?

nas dziwić, gdyż twierdzą tak nie tylko rosyjscy politycy i propagandyści, ale również duchowni, z metropolitą Cyrylem, patriarchą Moskwy i całej Rusi, na świeczniku. Minister Ławrow, który bez drgnienia powieki i zmarszczki na czole oznajmia, że zdruzgotany rosyjskim nalotem szpital położniczy uległ ukraińskiemu samozniszczeniu, kłamie zawodowo, nie przypadkowo.

Paradygmatu prawdy będącej fałszem nie stworzył jednak mocodawca Ławro-

w Rosji nie wystarczy suwerena respektować, trzeba go jeszcze miłować, a właściwie ubóstwiać. Co odświeża „teorię Trzeciego Rzymu”, przyjętą w Moskwie kilkaset lat temu. Mimo wszystkich przemian dziejowych, których nawet wyliczyć nie sposób, wiara w światową misję Rosji i religijne namaszczenie jej władców jest wiecznie żywa.

Dzieje rosyjskie obfitują w niezliczone przykłady takiego ubóstwienia, co najmniej od czasów Iwana IV, zasłużenie

nazwanego Groźnym, pierwszego „cara Wszechrusi”. Niszczył on całe rodziny uznane za wrogie, aż do trzech pokoleń, delektował się widokiem tortur swoich skazańców, zabił w gniewie pierwotnego syna i stworzył opryszczkę, prototyp zabójcy stojącej ponad prawem policji politycznej. Pozostaje jednak ikoną rosyjskiego samowładztwa, Stalin kazał nakręcić o nim film apologetyczny, a genialny Sergiusz Eisenstein zdołał swym dziełem zadowolić despotę. Co prawda tylko jego pierwszą częścią, ale była ona ważniejsza, także dla mnie, bo tam, ponad pół wieku temu, usłyszałem o „Trzecim Rzymie”.

Jeśli Eisenstein tak empatycznie przedstawił *stradanija* [cierpienia] Iwana, dlaczego terazniejsi rektorzy nie mają współczuć Putinowi? „Kult Geniusza” zaprowadzono w Rosji sowieckiej, zanim Lenin zszedł z tego świata, Stalin nadał mu niebotyczne wymiary, a dzisiejsze rosyjskie dzieci, w mundurkach, rzecz jasna, śpiewnie obiecują „Diadi Wowie”: „Alasku wozwratim”. Jeśli prezydent jest „wujaszkiem”, to znaczy, że jest kochany – i tak ma być.

Nie wierzę w nieśmiertelną „duszę rosyjską”, ponieważ nie sądzę, żeby Pan Bóg trudził się tworzeniem narodów rzekomo przez niego wybranych. Podobnie jak nie wierzę w twarde i niezmienny charakter narodu, zrodzony samorzutnie przez nieskończenie płodną Naturę. Istnieje jednak historycznie uformowana, przez dziejowe procesy społeczne, swoista osobowość kulturowa, wyraźnie wśród Rosjan dominująca, choć nie jedyna.

Inne wzory osobowe, związane z republikańską tradycją miejską (legenda Nowogrodu Wielkiego), XIX-wiecznym demokratyzmem szlacheckim (od dekabrystów) oraz narodnickim rewolucjonizmem i konstytucyjnym liberalizmem czy współczesnym antytotalitytnym dysydemizmem (Sacharow i inni), niewątpliwie w Rosji działały, ale pozostawały marginalne, jeśli nie stłumione.

Tego, że panowanie nad całą widzialną przestrzenią, z jej ludźmi i rzeczami, jest konstytucyjną cechą rosyjskości, utrwalaną przez zwycięskie podboje, nieustające całymi wiekami, trzeba by dowiedzieć w osobnej rozprawie. Na pewno jednak wielkoruski nacjonalizm, imperializm i militarizm to znamiona charakterystyczne tej osobowości kulturowej, zbrodniczo teraz działające w ludzkiej i materialnej przestrzeni Ukrainy.

„Diadia Wowa” swoimi instrukcjami legitymizuje te ludobójcze okrucieństwa, a ponieważ dysponuje środkami zniszczenia globu, więc zmusza nas do myślenia o końcu świata lub jego przemianie.

Co do czasu oświadczenia rektorów – zostało ono wydane dopiero w dziewiątym dniu wojennym, więc dość późno. Uczelniani zarządcy, podobnie jak sam władca i jego zausznicy, sądzili zrazu, że wojna zostanie błyskawicznie wygrana, Ukraina „zdemilitaryzowana i zdenazyfikowana” i trzeba będzie spieszyć z triumfalnymi gratulacjami, witając odrodzenie Trójjednej Rosji – Wielkiej, Małej i Białej.

Ile czasu powinna, zdaniem najeźdźców, trwać wojna błyskawiczna na tak rozległym terytorium jak współczesna Ukraina? Można przyjąć, że dla nich – trzy do pięciu dni: zajmiemy Kijów, usadzimy swego namiestnika w stolicy, ogłosimy sukces „operacji specjalnej”, a reszta się podda, ucichnie i „znormalizuje”.

Szóstego dnia wojny jednak sam władca oraz jego poddani, w tym rektorzy, zaczęli pojmować, iż błyskawicznego zwycięstwa już nie będzie i trzeba się przeorientować. Prezydent popadł „w cierpienie” z powodu tej zwłoki i należało „czynnie wokół niego się zespolic”. Jedną lub dwie doby zajęło rektorom oswojenie tej złej nowiny, po czym usiedli, rozesłali i podpisali. Dziewiątego dnia od wszczęcia najazdu publikacja była gotowa – trafili więc w czas. Jeśli ogłosiliby się w pierwszym tygodniu wojny, był

by to akt niewiary w błyskawiczną wiktoryę; gdyby się o tydzień spóźnili, byłoby to występne i zapewne kosztowało posady.

W całej tej olbrzymiej Federacji i na tysiącu, jeśli nie tysiącach, rosyjskich uczelni nie znalazł się ani jeden rektor, który poddańczy „bumagi” nie podpisał. Do głównych znamion rosyjskiej osobowości kulturowej można zatem dopisać poddańczność.

Choć Uniwersytet Moskiewski powstał dopiero w 1755 r., jest więc o prawie 400 lat młodszy od Jagiellońskiego, to w trafianiu w czas jego zarządcy mają wielowiekową wprawę. Nie bez kozery zapewniają w swoim oświadczeniu, że „uniwersytet był zawsze podporą państwa”, nie zaś ostoją nauki niezależnej, jak zwykliśmy sądzić na Zachodzie, czyli tam, gdzie powstał.

Gdy politycy rosyjscy wyznają wiarę w Rosję jako nosiciela odrębnej, wielkiej cywilizacji euroazjatyckiej, recytują lekcję Dostojewskiego

Podobną rutynę rosyjscy rektorzy wykazują również, gdy chodzi o miejsce, ale najpierw trzeba wyjaśnić samą kwestię. Pamiętamy, że w reżimie sowieckim z miejsca zajmowanego przez ówczesnych dostojników na trybunach lub w prezydiach wnioskowano o ich znaczeniu politycznym. Nagle zniknięcie kogoś z nich oznaczało śmierć polityczną, jeśli nie fizyczną.

Ta szczególna gradacja personalna, do zbrodniczej perfekcji doprowadzona przez Stalina, nie została jednak wynaleziona w Związku Sowieckim, lecz miała głębokie i trwałe korzenie w państwie moskiewskim. Jest ona zresztą właściwa wszelkim reżimom autokratycznym i znaleźćlibyśmy dosyć jej przykładów na wersalskim dworze Króla Słońce, nie mówiąc już o Cesarstwie Bizantyńskim, będącym dla caratu trwałym wzorem. Warto przypomnieć, że panujący tam ustrój nazwano cezaropapizmem, ponieważ cesarz, władca świecki, był tam również najwyższym zwierzchnikiem Kościoła.

W dawnej Rosji istniała i działała norma społeczno-polityczna oryginalnie nazywana *miestnicestwo*. Określała ona pierwszeństwo w zajmowaniu wysokich stanowisk państwowych, w tym wojskowych, oraz miejsce u boku władcy i przy jego stole. Było ono uzależnione od rodowodu i zasług przodków, ściśle egzekwowane i przestrzegane.

Miestnicestwo trwało parę stuleci, a wyparła je później sławetna tabela rang, czyli *czynow* wojskowych i urzędowych, wprowadzona przez Piotra I, zwanego Wielkim. Naprawdę jednak hierarchia tych *czynow* przeformowała tylko odwieczne *miestnicestwo*, a przetrwało ono, w instytucjonalnej oraz zwyczajowej postaci, całe dzieje caratu, aby w Związku Sowieckim doznać pamiątkowego umocnienia.

Przedtem i teraz miejsce wobec władcy rozstrzyga w Rosji o istnieniu w świecie. Kiedy Putin, z tronowego dystansu, sztorcuje członków swojej rady bezpieczeństwa, to przypomina nam, że na jego dworze *miestnicestwo* ma się mocniej niż za schyłkowego Breżniewa lub bezradnego Gorbaczowa. Macron i Scholz dali się nabrać na takie poniżenie przestrzenne, zapewne dlatego, że znajomość Rosji oraz właściwych jej kultów nie była nigdy mocną stroną polityków zachodnich. Chociaż dociekliwą i miejscami ciągle aktualną książkę o Rosji

napisał Francuz, Astolf de Custine, 180 lat temu („La Russie en 1839”, wydana w 1843, tytuł polski „Listy z Rosji”): „Ustrój rosyjski to dyscyplina obozowa wprowadzona zamiast ładu społecznego, to stan obłężenia, który stał się normalnym stanem społeczeństwa”.

George Kennan, wybitny intelektualista i polityk amerykański, rzecz tę uważał za najlepszą z ksiązek o Rosji Stalina, którą znał na wylot. Był zawodowym dyplomatą, pracującym na wielu placówkach, także w hitlerowskich Niemczech i stalinowskiej Rosji, przed II wojną światową, podczas niej i po niej.

Prawdziwie historyczną zasługą Kennana był tzw. długi telegram, wysłany z Moskwy do Waszyngtonu 22 lutego 1946 r.

Związek Sowiecki, jak wiemy, był sojusznikiem Stanów Zjednoczonych w wojnie przeciw Niemcom i Japonii, a bezpośrednio po niej ludzono się, że alians ten da się utrzymać w interesie pokoju światowego, co legło u podstaw Organizacji Narodów Zjednoczonych.

George Kennan w swojej profetycznej, choć analitycznie beznamiętnej diagnozie przejrzał istotę sowieckiego ekspansjonizmu i skutecznie przestrzegł przed nim władze amerykańskie. Niektóre jego orzeczenia i zwroty można przytaczać jako nadal trafne („dogmat wrogiego zachodniego świata”, rząd jako „konspiracja w konspiracji”, propagandowa „autohipnoza”), tu wystarczy przypomnieć, że sowietyzm określał on jako nową wersję wielkoruskiego nacjonalizmu.

Ekspansjonizm był tradycyjnym sposobem działania tego nacjonalizmu, wzmocnionego teraz ideologią komunistyczną, a dzielenie i rozbijanie Zachodu jego praktyką strategiczną. Związek Sowiecki re-spektował, jego zdaniem, tylko „logikę siły”, dlatego winien napotkać twarde opór.

Takie, w minimalnym skrócie, były podstawy „doktryny powstrzymania”, przyjętej w marcu 1947 r. przez prezydenta Trumana, a obowiązującej właściwie do rozpadu państwa sowieckiego, czyli przez prawie pół wieku. Wyglądając kłęski zbrodniczego najazdu na Ukrainę, trzeba nam myśleć, podobnie jak Kennan, o przyszłości, co najmniej w nadchodzących dekadach.

Długą listę sygnatariuszy oświadczenia rektorów przeglądałem pobieżnie, tym bardziej że rosła ona z każdą godziną i sięgała setek, a potem i tysięcy podpisów. Po zastępcach przewodniczącego, przeważnie moskiewskich i petersburskich, pojawiali się zarządcy innych ośrodków akademickich, aż do Tichookieansko-gosudarstwiennogo Uniwersitetu, co uzmysławia od razu, że rosyjskie „podpory państwa” sięgają Oceanu Spokojnego, zresztą łącznie z Kamczatką i Sachalinem, skąd również dotarły podpisy.

Federacja Rosyjska formalnie składa się z 85 podmiotów politycznych i prezes jej związku rektorów zadbał o to, żeby ich akademicy reprezentanci poparli ten adres holdowniczy. Obok uczelni ze znanych europejskich miast rosyjskich, jak Smoleńsk, Tula, Woroneż, Rostów czy Wołgograd, podpisano także uniwersytety z Ta-

tarstanu, Buriacji, Baszkirii, Inguszetii, Dagestanu, Osetii Północnej i podbitej przez Putina Czeczenii. Wszystko to z „federalnym” naddatkiem, bo z szefami uniwersytetów niewątpliwie krymskich, mianowicie z Kercza i Sewastopola.

Dodatkowo zasmucili mnie rektorzy Bałtyckiego Uniwersytetu im. Immanuela Kanta w Królewcu, czyli Kaliningradzie, którego progi ongiś nabożnie przestąpiłem, oraz moskiewskiego Rosyjskiego Uniwersytetu Humanistycznego, w którym występowałem, a miał on renomę niezależnego. Pocieszyło natomiast to, że pośród licznych uczelni z miast syberyjskich widniał Omski Uniwersytet Państwowy, którego patronem okazał się Fiodor Michajłowicz Dostojewski.

Bez Fiodora Dostojewskiego bowiem trudno jest coś istotnego o Rosji powiedzieć, a zaczerniono tym już rzyzy papieru we wszystkich tzw. językach kulturalnych. Dopisywanie się do tej bibliografii jest nadmiernie ryzykowne i grozi popadnięciem w banały o „tajnikach duszy rosyjskiej”, hipnotyzującej pisarzy i czytelników zachodnich z minionego wieku. „Szczyty i otchłanie duchowości” oraz „piekielna samowola Podziemia”, „apostolstwo wiary i miłości” wobec „nihilistycznych zbrodni i socjalistycznych utopii”, czyli całą tę frazeologię fałszywej pokory i zastępczej krucjaty, możemy sobie od razu darować, pozostawiając ją „gryzącej krytyce myszy” (celny zwrot Marksa).

Uniwersytet Omski powstał w 1974 r., zatem w czasach sowieckich, patrona natomiast pozyskał niedawno, dla upamiętnienia katorgi Dostojewskiego w Omsku. Za głośne czytanie „Listu Bielińskiego do Gogola”, czyli krytyka do pisarza, podczas „kółkowego” spotkania w mieszkaniu prywatnym Dostojewski został skazany na śmierć, którą tuż przed kaźnią zamieniono mu na sybirską katorgę.

Ponieważ ciągle zastanawiamy się nad tym, jak dzisiejsi mieszkańcy Federacji Rosyjskiej przyjmują wojnę z Ukrainą, katorga Dostojewskiego przypomina nam, że wprowadzona teraz ustawa, grożąca latami więzienia za nazywanie wojny po imieniu, ma równie głębokie jak *miestnicestwo* korzenie w tradycji rosyjskiej. Cenzurę prewencyjną w Rosji zniesiono jedynie pod naporem rewolucji, w listopadzie 1905 r., na parę miesięcy, potem w 1917, równie przejściowo.

Bolszewicy po przejęciu władzy wprowadzili zaraz totalne restrykcje, piszący zaś dość szybko ścigali się w okazywaniu „rewolucyjnego entuzjazmu”. Podejrzewani o niezależność podlegali zabójczemu zesłaniu, jak Osip Mandelsztam, albo wyrokowi śmierci, jak Izaak Babel. Pokazowe procesy intelektualistów podczas stalinowskiej Wielkiej Czystki były wielokrotnie opisywane, kaganie się skazańców rozważano w rozprawach filozoficznych. Mniej pamiętane jest to, że przemilczanie aresztowanych sąsiadów oraz zapominanie wywiezionych znajomych było obyczajem powszechnym. Dzisiaj piętnuje się tych, którzy nie wykazują się obowiązkowym poparciem „operacji specjalnej”.

Czy Rosjanie boją się mówić prawdę? – często się pytamy. Żeby prawdę wysławiać, trzeba cokolwiek ją znać, a przytłaczająca większość mieszkańców tego olbrzymiego kraju zazwyczaj jej nie zna, i to nie dlatego, że wprowadzono teraz zaostrzoną cenzurę, również elektroniczną. Jeśli docierają do nich przypadkowe ułamki prawdy, nie umieją skleić z nich spójnej całości, gdyż podlegają innym niż poznawcze, odwiecznie wpajany nawykom.

Zaspokajanie oczekiwań zwierzchników jest tam nierównie silniejsze od poszukiwania zgodności z realiami, przeto prawdę odruchowo się oddala i patrzy wyczekującą w oczy władcy, które błyskają również we wzroku sąsiada lub kolegi z pracy. Paręnaście pokoleń mieszkańców Rosji było ćwiczonych w różnych odmianach takiego

posłuchu, więc ukształtowało to ich aprioryczne formy zmysłowości i umysłowości, w których ujmują świat bliższy i dalszy: Ukraińców jako „chachłów”, Polaków jako „palaczków”. Cudzysłowy oznaczają, że w każdą z tych obelg wkładają własną, ubijaną latami miazgę treściową.

Krótkie epizody „odwilży” czy „piere-strojki” pozwalały odetchnąć świeższym powietrzem, ale nie zmieniały jeszcze układu narządów oddechowych, przeto umysłowych. Kiedy Breżniew lub Putin rozpoczęli swoje „normalizacje”, przytłaczająca większość ich poddanych uznawała to za powrót do normalności, a tylko nieliczni dysydenci obstawali przy wolnościach obywatelskich i prawach człowieka.

Wielki pisarz ukraińsko-rosyjski Mikołaj Gogol, który przez jakiś czas był petersburskim czynownikiem najniższej, 14. rangi, nad swoją głową miał więc 13 stopni zwierzchnictwa, w obrazach tej antropologicznej osobliwości rosyjskiej jest lepszy od Dostojewskiego. Bohater jego opowiadania „Płaszcz” stał się symbolem nieszczęsnej doli małego człowieka w przytłaczającym systemie hierarchicznym, a Chlestakow porywająco odegrał Rewizora dlatego, że wszyscy mieszkańcy miasta tego oczekiwali. Putinowi wydawało się, że będzie superrewizorem współczesnej Ukrainy, ale się pomylił, zapewne dlatego, że nikt nie śmiał powiedzieć mu prawdy. „W Rosji jeden jedyny człowiek jest całym narodem i rządem” (ponownie de Custine).

Sowieckie społeczeństwo rosyjskie, utwardzane przez kilkadziesiąt lat, miało inną niż carskie, lecz analogiczną strukturę kastową, opartą na jawnej i tajnej hierarchii mianowańców, a w takiej strukturze każdy ma nad sobą jakiegoś zwierzchnika i jest nieustannie egzaminowany z lojalności i wierności, co łącznie oznacza służalczość: „Tisze jediesz, dalsze budiesz” – jest rosyjskim przysłowiem odwiecznym.

Nic też nie pozwala sądzić, że to się gruntośnie, czyli u podstaw, zmieniło w postsowieckiej Rosji, chociaż rozpoczęła ona istnienie od wielkopomnej likwidacji Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich, co obecny władca uważa za największą katastrofę polityczną XX wieku. Jeśli niecała dekada jelicynowska (1991-99) była czasem nowej smuty, czyli zamętu, w którym prawie wszystko było wolno, włącznie z grabieżą gigantycznego majątku państwowego (tam narodziny obecnej klasy oligarchów, współ-

na Ukrainę, Sąd Najwyższy Federacji Rosyjskiej podjął uchwałę o likwidacji, nękanego od dawna, stowarzyszenia Memorial. Czy zablokowano dokumentowanie zbrodni współczesnych, wiedząc, że mają one wkrótce nadejść, i to w masowej skali?

Ograniczanie wszelkiej działalności społecznej oraz prześladowanie aktywistów narastało od lat, a komedię z zamianą stanowisk prezydenta i premiera odegrało z aplauzem w latach 2008-12, czyli ponad dekadę temu. Wielu światowych ekspertów oraz komentatorów uznało tę przebiegłość za wyraz krzepnącej demokracji w Federacji Rosyjskiej. Tymczasem dawny kagebista zmierzał systematycznie do restauracji kolejnej, zbrodniczej, jak się okazało już w Czeczenii, autokracji w państwie rosyjskim, rdzennie nazywającej się samodziierzawiem. Jednak złudzenia dopuszczałnej przecież odmienności ustrojowej kulturuje się najmocniej tam, gdzie grają wielkie, kontynentalne, jeśli nie globalne interesy ekonomiczne.

Po niemiecku to się nazywało *Wandel durch Handel*, czyli zmiana przez handel. Właśnie widać jej skutki, nie widać natomiast myśli przewodniej na przyszłość, tak trwale jak wyrażona ongiś przez George’a Kennana.

Oksana Zabużko w przenikliwych esejach pisze, że wszechwładza tajnej policji w dzisiejszej Rosji jest mocniejsza niż w czasach ostatnich sekretarzy generalnych KPZR, a w sławetnych „koloniach karnych”, będących przecież łagrami, zamknięto więcej więźniów niż za późnego Breżniewa („Planeta Piolun”, wyd. Agora, 2022). Wtedy bowiem władze partyjne kontrolowały jednak działalność KGB, obecna Federalna Służba Bezpieczeństwa jest właściwie władzą jedyną, nierozdzielnie związaną ze swym osobistym zwierzchnikiem, którym jest samodzierżca.

Wszystko to przecież, czyli ustanawianie nowej rosyjskiej despotii, której kolejne etapy można teraz rysować na tablicy szkolnej, było już widoczne jakieś dziesięć lat temu, gdy hucznie oddano do użytku wspólne dzieło firm rosyjskich i niemieckich, czyli gazociąg Nord Stream 1. Krym zajęto podstępnie w roku 2014 i wzniecono też bunt dwóch rzekomych „republik ludowych”, a przelknęliśmy to właściwie milcząc, pozostawiając Ukrainę samej sobie.

Rektorzy uczelni popierający Putina zapewnniają, że „uniwersytet był zawsze podporą państwa”. Nie ostoją nauki niezależnej, jak zwykliśmy sądzić na Zachodzie

odpowiedzialnych za stan ich państwa), to następca Jelicyna wyłamywał świeżutkie i słabiotkie szczeble demokracji bezwzględnie, konsekwentnie i koherentnie.

Jest jasne, że jeśli mitologizuje się II wojnę światową jako rosyjską Wielką Wojnę Ojczyźnianą (choć była ona również ukraińska, białoruska, kazachska, gruzińska itp.), to zbrodnie stalinowskie muszą zostać pokryte niepamięcią następczą, a skoro niepamięć tę zaprowadza się wszelkimi środkami, to nie może w tym przeszkadzać jakieś samodzielne, na dodatek międzynarodowe, stowarzyszenie. I tak 28 grudnia 2021 r., na dwa miesiące przed najazdem

Wiadomości wywiadu amerykańskiego o rosyjskich przygotowaniach wojennych były przekazywane poufnie sojusznikom rządów, a od jesieni już jawnie, mimo to certyfikację Nord Stream 2 zatrzymano dopiero po otwartym najeździe Rosji na Ukrainę. Wcześniej bawiono się anegdotami o francuskim aktorze, który został faworytem Putina, prawie jak Diderot u Katarzyny II; ekscytowano przywódcą socjaldemokracji niemieckiej kupionym za rosyjskie pieniądze, jak polscy magnaci podczas rozbiórów Rzeczypospolitej.

Rozbicie Unii Europejskiej, a więc poniekąd jej rozbiór, nie było skrywanym ce-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Michaił Lermontow*

*Żegnaj mi, Rosjo nieumyta,
Ojczyzno panów i niewolnych,
I ty, mundurów ćmo błękitna,
I ty, narodzie im powolny.*

*Może kaukaskich gór zwaliska
Od twoich baszów mnie ustrzegą,
Od uszu ich słyszących wszystko,
Od oka ich wszechwidzącego.*

przeł. Anna Kamieńska

***Michaił Lermontow** (1814-41) – poeta, dramatopisarz, prozaik. Jeden z najwybitniejszych romantyków rosyjskich. Wiersz powstał prawdopodobnie w maju 1840 r. (czas wyjazdu poety na zesłanie na Kaukaz) albo w kwietniu 1841 (kiedy dostał nakaz opuszczenia Petersburga). Utwór za: Lermontow, „Wybór poezji”, Ossolineum, 1972, seria „Biblioteka Narodowa”.



FOT. WIKIPEDIA

lem polityki rosyjskiej, *business* jednak szedł *as usual* i nawet rządy polskie kupowały corocznie miliony ton węgla, ropy i gazu. Oświadczenie premiera Morawieckiego o zaprzestaniu tego importu wybrzmiało retorycznie, ale sprawdzi się w praktyce.

Skończyliśmy, warto wrócić do Dostojewskiego, aby przybliżyć szczególnie stosunek Rosji do Zachodu, współtworzący jej historyczną osobliwość. Autor „Zbrodni i kary” w swoich największych powieściach zmagał się dogłębnie z ideowym dziedzictwem Zachodu i dało im to ponadczasową, jak wolno sądzić, nośność. Prawdopodobnie zawsze sprawdzać będziemy dopuszczalny zasięg kalkulacji w naszym życiu, co było zbrodnią obsesją Raskolnikowa, i dlatego się nim przejmujemy. I zawsze też powinniśmy badać, czy z samego wnętrza naszego życia społecznego nie wyrastają, w wielu możliwych wcieleniach, „Biesy”, które będą nas podstępnie niszczyć.

W publicystyce natomiast Dostojewski był banalnie jednoznaczny i umacniał słowną palisadę „russkiego mira”. Współczesną sobie wojnę z Turcją błogosławił podobnie jak patriarcha Cyryl najazd na Ukrainę, wychwalał moc ludu zjednoczonego z carem i czcił Cerkiew jako jedyny prawdziwie chrześcijański Kościół. Zachodu, co prawda, nie utożsamiał z „paradami gejów”, bo o niczym podobnym wtedy nie słyszano, jednak Londyn lub Paryż przedstawiał jako siedliska fałszywego blichtru i bezecnej rozpusty.

Jego „Dziennik pisarza” krystalizuje ideologię rosyjską odtwarzaną współcześnie przez wielkoruskich nacjonalistów. „Zachód” to „Europa” – rzeczywistość cywilizacyjna Rosji obca i jej przeciwna: imperia-listyczna, kapitalistyczna, materialistyczna, liberalna i burżuazyjna, domena rozpasanej konsumpcji, bałwochwalstwo „złotego ciela”.

Nic to, że imperializm i kapitalizm mają się w dzisiejszej Federacji tak dobrze jak prostytutka czy pijaństwo w Petersburgu Dostojewskiego – religijnej cnoty „świętej Rusi” to nie skazi. Gdy politycy rosyjscy wyznają teraz wiarę w Rosję jako nosiciela odrębnej, wielkiej cywilizacji euroazjatyckiej, ostoję tradycjonalizmu nieskażonego żadną nowoczesną i promieniującego mesjańską obietnicą, to recytują właściwie lekcję Dostojewskiego.

Pisarz jednak jej sam nie wymyślił, wchłonął ją z rodzimego dziedzictwa, w którym misja „Trzeciego Rzymu” przypisana została Moskwie raz na zawsze i do końca świata, a lud rosyjski w chwalbach słowianofilów miał niezrównaną moc i cnotę. Autor „Dziennika pisarza” wierze tej dawał wyraz tak ekspresyjny, że aż żenujący: „Konstantynopol musi być nasz!”.

Ale nie za to jego oraz innych wspaniałych pisarzy rosyjskich cenimy i czytać będziemy. Dzisiaj, z wizji ocalenia świata przez prawdziwie chrześcijańską Rosję, zostały realnie mord i gwałt sprawiane przez jej żołdaków. Pamiętam jednak, jak z rosyjskimi przyjaciółmi śpiewaliśmy razem Okudżawę: „Wy słyszycie, grochocziut sapogi...”. I nie zamierzam tego zapomnieć. ●



FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Mencwel

• ur. w 1940 r. Publicysta, eseista, krytyk, historyk literatury i kultury.

Tekst to wstępna część eseju, który w wersji pełnej zostanie opublikowany w najbliższym (172/2022) numerze „Przeglądu Politycznego”. Tytuł: „Wyborcza” (tytuł autorski: „Ponad »russkij mir«”).

Oksana Zabużko, **„Badania terenowe nad ukraińskim seksem”, „Planeta Piolun”**, wyd. Agora. Książki do kupienia w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl.



GŁODNY NIE PYTA, SKĄD PŁYNNIE ZBOŻE

Rosjanie niszczą silosy, kradną plony, minują pola. Kiedy zabraknie zboża z Ukrainy, Chińczycy, Hindusi i Arabowie zapłacą każdą cenę za rosyjskie.

Z PROF. **JERZYM WILKINEM***
ROZMAWIA **KRYSTYNA NASZKOWSKA**

Prawdopodobnie z powodu tego, co dzieje się w Ukrainie, na świecie przybędzie ok. 50 mln ludzi niedożywionych i głodujących. Putin chce zagłodzić świat?

– Przybędzie znacznie więcej. Szef Światowego Programu Żywnościowego ocenia, że obecna liczba głodujących się podwoi, czyli ze 175 mln zwiększy się do prawie 300 mln.

Przed tą wojną liczba niedożywionych i głodujących systematycznie lekko spadała, z wyjątkiem rejonów objętych wojnami, jak Syria czy Jemen. Teraz mamy szokowy skok. Najbardziej zostaną dotknięte kraje afrykańskie, gdyż tam trafiała większość ukraińskiego zboża.

Światowy Program Żywnościowy dostarcza żywność dla 125 mln ludzi, a połowa zbóż, jaka idzie na realizację tego programu, pochodziła z Ukrainy. Wskutek wojny zboża brakuje, a to, które jest dostępne na świecie, tak zdrożało, że wiele krajów nie będzie stać na takie zakupy jak w poprzednich latach. Ceny poszybowały: jeszcze niedawno tona pszenicy w Polsce kosztowała ok. 800 zł, teraz przekracza 2000 zł. Na giełdzie w Paryżu cena tony przekroczyła 430 euro!

No i polscy rolnicy wstrzymują się ze sprzedażą zbóż. Licząc na dalszy wzrost cen, co automatycznie te ceny podnosi. Mamy się oburzać?

– Ich postępowanie jest racjonalne. Ale oczywiście mogą przestrzelić, zbyt długo wyczekać, a tymczasem ceny zaczną spadać. Nie wiemy przecież, jak ta wojna się potoczy. Natomiast państwo może ingerować, np. zwiększać rezerwy żywnościowe, kupując po wyższych cenach i sprzedając młynarzom po niższych. To schłodziłoby rynek, ograniczyło wzrosty cen pieczywa, mąki, a także mięsa, bo zboże to pasza dla zwierząt.

Jakie jest znaczenie Rosji i Ukrainy w produkcji zbóż na rynku światowym?

– Oba kraje łącznie są największymi na świecie eksporterami, choć najwięcej produkują Stany Zjednoczone – 421 mln ton, a Rosja z Ukrainą niecałe 190 mln. Dla porównania – Polska, też znaczący przecież producent, daje rocznie ok. 28 mln ton.

Rosja i Ukraina dają na przykład prawie 35 proc. światowych dostaw pszenicy. Ta pszenica idzie głównie do krajów afrykańskich i arabskich.

Nawet teraz w ukraińskich silosach jest zgromadzonych prawie 22 mln ton. Nie-

wiele mniej niż nasza cała roczna produkcja.

– I to zboże nie może z Ukrainy wyjechać, bo Rosjanie zablokowali porty. Do tego niszczą silosy, kradną zboże i wywożą do siebie. Zniszczyli bank nasion, minują pola uprawne, nie będzie możliwości zbiorów z ogromnej części obsianych jesienią pól, szacuje się, że zbiory będą mniejsze o 35 proc.

A swoje dolożą zmiany klimatyczne. Kraje afrykańskie, Indie, ale też Francję dotyka już teraz klęska suszy.

Żywność stała się bronią.

– Zaczęło się w 1979 roku, kiedy Rosjanie zaatakowali Afganistan. Wtedy USA zablokowały eksport swojej pszenicy do Rosji. Nazwano to „food weapon”, bronią żywnościową. To miała być jedna z sankcji na agresora. Okazała się mało skuteczna, a do tego społeczność międzynarodowa uznała działania Amerykanów za nieetyczne. USA się z tego wycofały i aż do teraz ten problem się nie pojawiał. Teraz Rosjanie sięgnęli po „food weapon”, żeby pozbawić Ukraińców poważnego źródła dochodów. Ukraina jest nie tylko dużym eksporterem pszenicy, ale też kukurydzy, rzepaku, oleju słonecznikowego. I z powodu zablokowania transportu nie może tego sprzedać.

Amerykani mogliby wysłać okręty na Morze Czarne do eskortowania statków z ukraińskim zbożem. Zorganizować taki konwój humanitarny, by ratować świat przed głodem

Komisja Europejska szacuje, że z powodu mniejszej produkcji w Ukrainie ceny żywności jeszcze w tym roku wzrosną o blisko 40 proc.

– Ludzie ubożsi przejdą na kupowanie żywności tańszej, często gorszych gatunków. Ale zamożniejsi też to odczują. W krajach rozwiniętych na żywność idzie ok. 10 proc. dochodów, w Polsce to prawie 20 proc. domowych budżetów. A ponieważ wydatki na żywność są dla ludzi priorytetem, to ich wzrost będzie oznaczał spadek wydatków na inne cele, np. kupno mieszkania, samochodu czy sprzętu elektronicznego. Mamy wzrost gospodarczy, więc na początku tego się nie odczuje, ale jeśli wzrost przyhamuje, spadnie popyt na dobra trwałe.

Generalnie Europa sobie poradzi, bo jest zamożna, natomiast ten wzrost cen żywności będzie dramatem dla krajów rozwijających się.

Ala czy stosując tę broń żywnościową, Rosjanie nie strzelają sobie w kolano?

– Strzelają. Ale odczują to później, teraz widzą tylko pozytywne skutki. Rosja ma teraz ogromne nadwyżki w produkcji, ceny po-

szły w górę, a rynki chiński, arabski, indyjski są chłonne. Rosjanie mogą zacierać ręce – mają komu sprzedawać ziarno i to po atrakcyjnych cenach.

Importerom nie przeszkadza, że to krwawe zboże?

– Potrzebujący nie pytają, skąd jest pszenica niezbędna do zaspokojenia podstawowych potrzeb społeczeństwa. Po prostu muszą ją kupić. A Rosja jest wielkim dostawcą. W ciągu ostatnich 20 lat produkcja zbóż w Rosji i w Ukrainie rosła w tempie niespotykanym nigdzie indziej. W latach 2000-20 w Polsce produkcja rolna wzrosła o 12 proc., średnio na świecie o 19 proc., a w Ukrainie o 40 i Rosji o 48 proc. A np. Grecja w tym czasie zanotowała spadek o 25 proc. Ten wielki wzrost odbywał się poprzez wprowadzanie zachodniego kapitału, nowych technologii, wiedzy. W Rosji pojawiły się wielkie firmy rolniczo-przemysłowe.

Ten kapitał zagraniczny skąd i dlaczego przyszedł?

– To skutek kryzysu żywnościowego w latach 2007-08. Wtedy ceny zbóż bardzo skoczyły i zaczęły się spekulacje produktami rolnymi. Kapitał międzynarodowy poważnie zainteresował się wówczas rolnictwem. Fundusze inwestycyjne, emerytalne zaczęły inwestować w rolnictwo tam, gdzie był potencjał rozwoju, czyli ziemia. To było nowe zjawisko. Inwestorzy z całego świata napłynęli do krajów takich jak: Ukraina, Rosja, Uzbekistan, Kazachstan, bo miały one wielkie obszary do zagospodarowania. Dziś np. w Kazachstanie działa holding, który dysponuje ponad milionem hektarów użytków rolnych, ma liczne zakłady przetwórcze.

Myślę, że po tej wojnie znacznie wzrosnie zainteresowanie produkcją rolną, stanie się ona priorytetem dla wielu krajów.

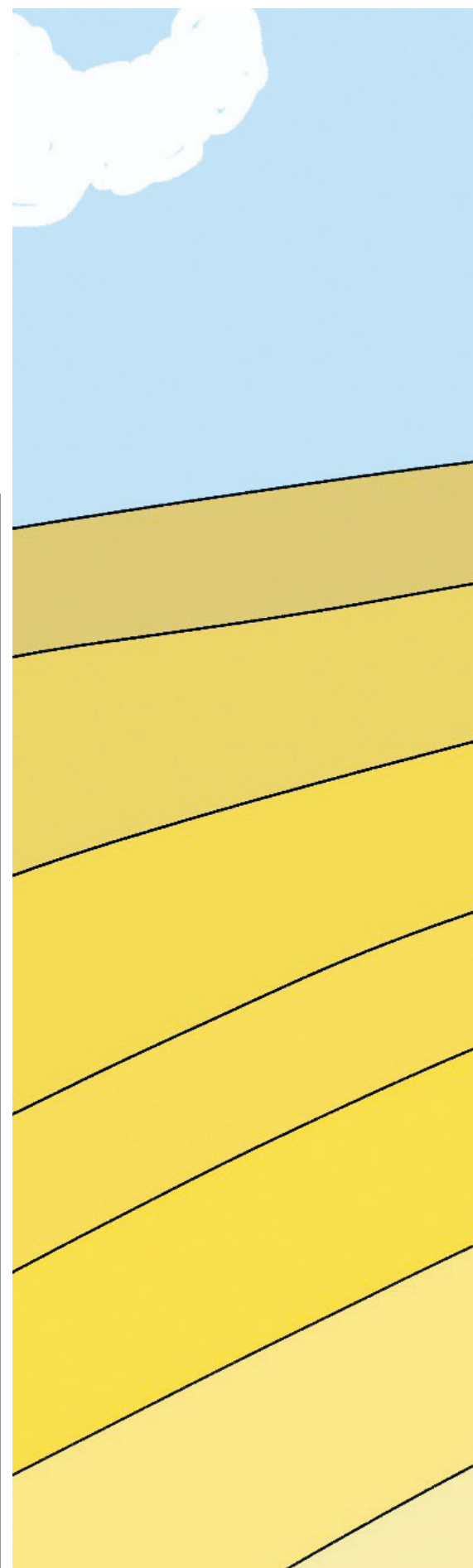
Amerykani w 1979 r. tylko ograniczyli sprzedaż swoich produktów i świat się oburzył. Teraz Rosja świadomie niszczy zapasy konkurenta, niszczy magazyny zbożowe, niszczy pola, by nie urosło nowe zboże.

– To polityka destabilizacji rynków żywnościowych na całym świecie. I próba podporządkowania sobie niektórych krajów. Rosja oferuje teraz dwa produkty – żywność i ropę – i w ten sposób chce zwiększyć swój wpływ polityczny na świecie. Dąży do czegoś takiego, co udało się zrobić Chinom w Afryce. Do większości krajów afrykańskich Chińczycy weszli ze swoimi inwestycjami w branżę wydobywczej, w infrastrukturę, kupili ogromne połacie ziemi, porty.

Rosję stać na takie inwestycje?

– Nie na taką skalę. Zresztą nie sędzę, by Chiny im pozwoliły. Wojna znacznie je wzmocni, w tej relacji Rosja jest na przegranej pozycji. Ja bym się nie dziwił, jeśli za kilkanaście lat okaże się, że Chińczycy są największym gospodarzem w dużej części Syberii. Tam brakuje kapitału i ludzi, a Chiny mają jedno i drugie. Już są na Syberii, a ta wojna im sprzyja.

A czy sprzyja Stanom?



– Amerykanie mają dylemat, jeśli chodzi o sankcje. Znaczne osłabienie Rosji oznaczać bowiem będzie wzmocnienie Chin. Być może mogliby bardziej teraz naciskać na Rosję, ale powstrzymuje ich właśnie ta obawa. Nie jest w ich interesie całkowite stłamszenie Rosji.

A co mogliby więcej zrobić?

– Na przykład wysłać okręty na Morze Czarne do eskortowania statków z ukraińskim zbożem. Zorganizować taki konwój humanitarny, jaki robi się dla ochrony ludzi, tym razem dla ochrony żywności, by ratować świat przed głodem. Oczywiście Rosjanie mogą zareagować nerwowo, ale nie sędzę, by strzelali do takiego konwoju, zresztą mają tam chyba tylko trzy okręty.

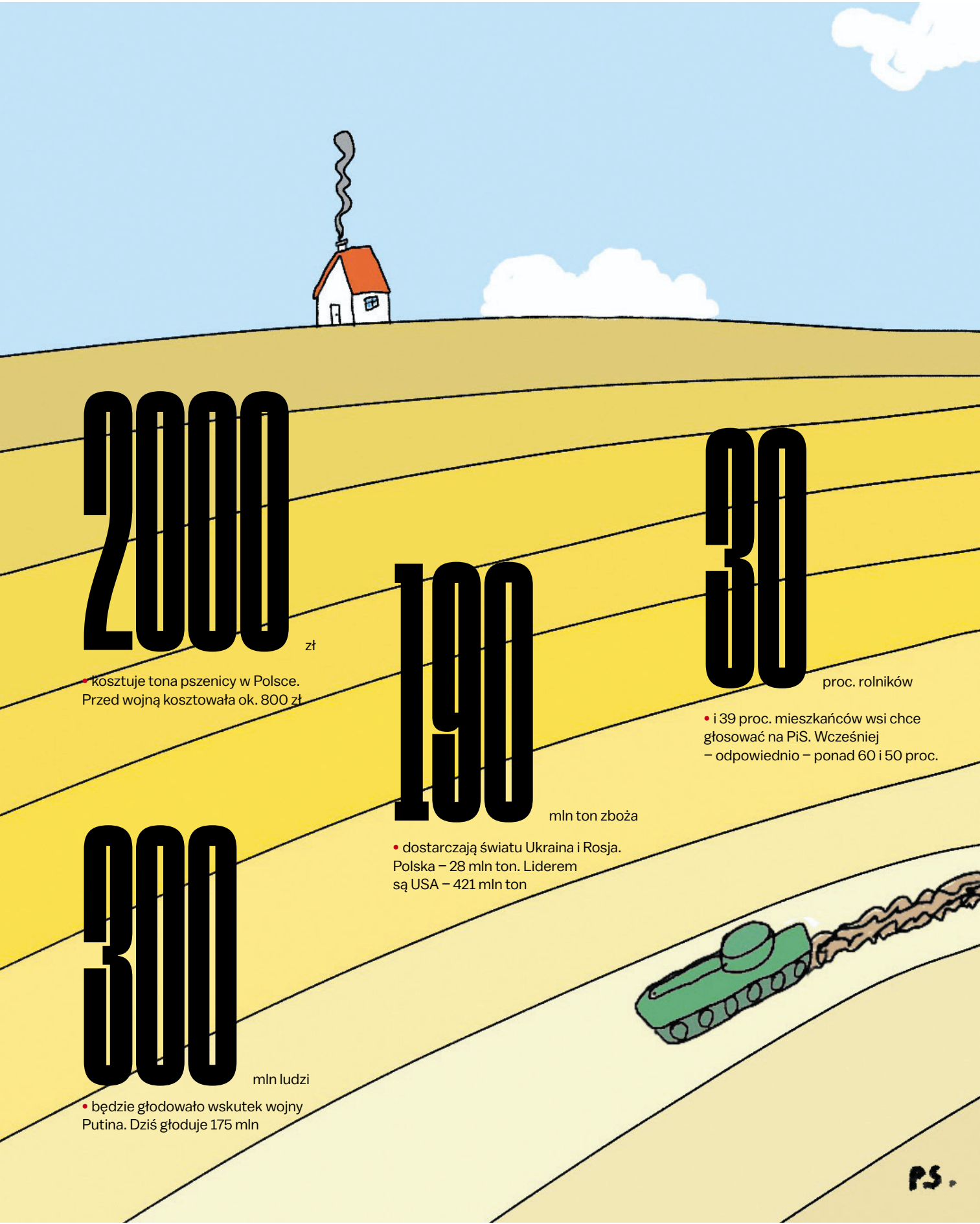
Porty są zaminowane.

– Ale można sobie z tym poradzić.

Wiele krajów szuka nowych źródeł energii i zbyt długo ropą Rosja grać nie będzie. Ale ziemi uprawnej nam nie przybędzie.

– W zasadzie tylko w Chinach zwiększa się powierzchnia użytków rolnych, ale

ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI



w większości krajów się zmniejsza, bo ziemia idzie pod infrastrukturę, przemysł, budownictwo. Świat może się ratować, intensyfikując produkcję rolną, zwiększając wydajność z hektara, stosując więcej nawozów, więcej środków ochrony, więcej roślin z GMO.

Ale przecież jest wielkie parcie, zwłaszcza w Europie, na produkcję bardziej naturalną, ma być mniej nawozów, mniej chemii, jest walka z roślinami GMO. W styczniu 2023 ma wejść w życie Zielony Ład, który ogranicza stosowanie nawozów i środków chemicznych do ochrony roślin, a to sprawi, że plony spadną dość dramatycznie.
– Dlatego moim zdaniem Zielony Ład w obecnej postaci w życie nie wejdzie. Nie zostanie wycofany, ale będzie rozmięczony. Zielony Ład zakładał np. zmniejszenie do 2030 roku produkcji gazów cieplarniach, czyli m.in. metanu. Ale to oznaczałoby ograniczenie w Unii hodowli zwierząt, bo metan jest w odchodach zwierząt. Wiele krajów zaczyna naciskać na Komisję Europejską, by się z tego wycofać.

Nawet jeśli Komisja wycofa się z Zielonego Ładu, to co najwyżej utrzymamy obecny poziom produkcji żywności.

– A w tym roku na pewno dotknie nas spadek. Dlatego podejrzewam, że już w najbliższych miesiącach czekają nas niepokoje w wielu krajach, czasem w ostrej formie. W końcu arabską wiosnę wywołał brak pszenicy i wysokie ceny w tych krajach. Tym razem arabska wiosna może rozlać się na cały świat.

Czeka nas szok rozwojowy, jakiego dawno nie było. Weźmy Polskę. Zawsze w okresach trudnych, kryzysowych ożywiały się formy małej produkcji, przyzagrodowej. Kiedy sytuacja w kraju się pogarszała, ludzie zaczynali siał pietruszkę czy marchewkę w ogródkach, sadzić kartofle. Teraz raczej nie zapewnimy sobie samozaopatrzenia, bo choć mamy 1,3 mln gospodarstw rolnych, to milion jest gospodarstwem tylko z nazwy. Właściciele dawno pozbyli się narzędzi, sprzętu, biorą tylko dopłaty, a ziemię uprawiają sąsiedzi. Więc u nas tego procesu, który dostarczyłby więcej żywności na rynki lokalne, nie będzie. Ale może się pojawić w wielu krajach biedniej-

szych i choć trochę złagodzić braki w dostawach żywności.

Do Unii napłynie fala emigrantów z biedniejszych krajów?

– Europa jest bardzo atrakcyjnym miejscem do życia.

I kraje Unii zajmą się problemem z uchodźcami, zapomną o sankcjach wobec Rosji? O to chodzi Putinowi?

– Nie sądzę, by był aż tak wyrafinowanym graczem i zaplanował to, ale teraz wykorzystuje sytuację, jaka powstała na skutek przeciągającej się wojny, by zmienić mapę polityczną świata.

Skoro żywność jest na pierwszej linii frontu, może to szansa dla chłopskich partii i organizacji na wzmocnienie swoich wpływów w elektoracie?

– Nie chcę o tym zbyt wiele mówić, ponieważ wkrótce przedstawimy najnowszy raport o polskiej wsi, który analizuje tę sytuację. Ale powiem, że wyniki ostatnich sondaży CBOS ze stycznia są niezwykle zaskakujące. Okazało się, że gwałtownie spadło poparcie dla partii rządzącej na wsi,

a zwłaszcza wśród rolników. Do tej pory rolnicy byli bastionem PiS – grubo ponad 60 proc. głosowało na partię Jarosława Kaczyńskiego. Robiło tak też ponad 50 proc. mieszkańców wsi.

Otóż w styczniu na PiS było gotowe oddać głosy mniej niż 30 proc. rolników i 39 proc. mieszkańców wsi. To nie jest spadek o 3-5 proc., ale prawdziwe tąpnięcie. Do tego znacznie większe w samym bastionie, czyli wśród rolników.

Z powodu?

– Mieszkańców wsi uderza inflacja i to ich zniechęca do rządzących. A rolników gwałtowny wzrost kosztów produkcji, za którym nie nadąża wzrost cen zbytu. Gigantyczny skok cen nawozów, środków ochrony, nasion, paliwa – rozwarły się nożyce między kosztami a zyskami.

I chyba rolnicy mają też poczucie osamotnienia, nie czują żadnego wsparcia ze strony resortu. Ministrowie rolnictwa zmieniają się prawie co roku, każdy coś tam zaczyna robić, ale następca nie kontynuuje i zaczyna coś nowego. Obowiązuje nas Wspólna Polityka Rolna, jednak każdy kraj ma liczne narzędzia, które w ramach WPR może wykorzystywać na swoim rynku do rozwoju rolnictwa. Nasz resort tego kompletnie nie robi, tylko zasłania się zakazami Unii.

Przecież premier załatwił dopłaty do nawozów.

– Owszem, ale zrobił to bez sensu – dopłaty są tylko do 50 hektarów, i do hektara, a nie do tony nawozów. To oznacza, że ci najważniejsi rolnicy, producenci, którzy zaopatrują nas w żywność i mają najwyższe koszty nawozowe, tej pomocy nie odczują.

Wyjechali ukraińscy mężczyźni, którzy pracowali na wsi, a przyjechały kobiety z dziećmi, które ich nie zastąpią. No i coraz częściej do rolników dociera, że z powodu działań rządu płatności rolne są zagrożone. A dostaje je około 1,3 mln rolników. Przez wiele lat to działało dość sprawnie, przywykli, że może być lekkie opóźnienie, ale na pewno pieniądze wpłyną na konto. Teraz ta pewność zaczyna się chwiać.

Co to oznacza dla najbliższych wyborów?

– Rząd może jeszcze odzyskać sympatię wsi, ale musi się postarać. Jeśli dogada się z Unią, wprowadzi Krajowy Plan Odbudowy i pokaże, jakie z tego napłyną korzyści dla rolników i mieszkańców wsi, np. w infrastrukturze, w służbie zdrowia, to może nieco poprawić nastroje.

A opozycja może coś zyskać?

– Może zyskać Michał Kołodziejczak i jego Agrounia, bo on już pokazał, że potrafi wykorzystywać niezadowolone społeczne. Choć nie wierzę w trwałość tej formacji, to efemeryda i nawet jeśli teraz wejdzie do Sejmu, to jednorazowo.

Na pewno jest zapotrzebowanie na partię ludową, która nie ograniczy się tylko do rolników. Oni mają swoje zawodowe stowarzyszenia, które całkiem dobrze działają. Ale swojej reprezentacji nie mają mieszkańcy wsi, czyli prawie 40 proc. ludności. Kiedy popatrzymy na polityczne wybory wsi, to tam ciągle następują duże zmiany. Był czas, kiedy lewica była tam mocna, był czas ludowców, nawet Platforma się liczyła, teraz dominuje PiS. Ale widać tendencję schyłkową.

To szansa chyba największa dla PSL. Tylko ludowcy muszą pokazać coś korzystnego, przedstawić ofertę dla tej społeczności. ●

***Prof. Jerzy Wilkin**

• ekonomista, członek rzeczywisty PAN, pracuje w Instytucie Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, był m.in. dyrektorem Ośrodka Studiów Amerykańskich UW, wiele lat kierował Katedrą Ekonomii Politycznej UW

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Ś

„Świat potrzebuje waszej wolności ducha!” – apelował Franciszek do polskiej młodzieży. Młodzi skorzystali z rady papieża i gremialnie uciekają z Kościoła. Ale czy to znaczy, że zrywają z religią? Nie potrzebują żadnej wiary?

W 2016 r. tłumy młodych ludzi witały Franciszka w Krakowie na Światowych Dniach Młodzieży. Premier Beata Szydło zachwycała się wtedy: – Młodzież uczestniczyła w wielkim święcie radości, religijnym święcie młodości, pokazała, że wartości, które związane są z wiarą, z Kościołem, są dla niej najważniejsze.

26-letni Kacper, który jako członek Ruchu Światło i Życie (oaza) był na ŚDM w służbie porządkowej i wśród 2,5 miliona rówieśników słuchał papieża podczas mszy na podkrakowskich Brzegach, dziś mówi: – To był szczyt moich możliwości religijnych. Naprawdę się zaangażowałem. Zastanawiałem się nawet, czy nie rzucić studiów i nie pójść do seminarium. Babcia i dziadek byliby zachwyceni. Dziś mój poziom zenady tym, co dzieje się z urzędnikami Pana Boga – proszę napisać z dużych liter z szacunku dla mojej przeszłości – osiągnął takie szczyty, że w żaden sposób nie mogę tego legitymizować. Mam wymienić? Proszę bardzo: pedofilia, stosunek do LGBT, arcybiskup Jędraszewski i jemu podobni pod rękę z polskimi nacjonalistami, tańce polityków na Jasnej Górze do „Abba, Ojcze”, pokazywanie seksu jako czegoś brudnego oraz grzesznego, gnębienie kobiet, hipokryzja, Radio Maryja, stopa życiowa niektórych księży. Niech pani napisze, że proboszcz mojej babci dwuletnią hybrydową toyotą jeździ. Cena rynkowa tak pod 180 tysięcy, a na naprawę ogrodzenia przy kościele chce pieniędzy od emerytów, bo tylko ci teraz chodzą do kościoła.

Moja dziewczyna po pierwszej komunii porzuciła praktyki religijne, więc ślub raczej będzie cywilny. Czy dzieci ochrzczimy? Raczej nie, będziemy je wychowywali poza religią. Przed pandemią okazjonalnie chodziłem do kościoła w niedzielę. Zagrożenie koronawirusem i głupie gadanie księży, że Pan Jezus choroby nie przenosi, to przerwało. Czy brakuje mi religii? Brakuje mi wspólnoty, bo całe lata biegałem na oazę. Jeździliśmy na rekolekcje. Wtedy potrzebowałem modlitwy, teraz – aż sam się sobie dziwię – w ogóle nie mam potrzeby relacji z Bogiem. Jakbym wyprowadził się do innego miasta i stare znajomości zostawił za sobą. Babcia kiedyś zapytała, czy nie boję się śmierci i braku rozgrzeszenia za odejście od wiary. Długo się zastanawiałem, co odpowiedzieć. Ale w ogóle nie ma we mnie takiego lęku. Jeśli czegoś się boję, to tego, żeby bliscy, przede wszystkim babcia, nie umierali ze świadomością, że jestem potępiony.

Apostazji na razie nie składam, choć ta decyzja we mnie dojrzewa. Mam jedno życie i chcę je przeżyć jak najlepiej. Nie będę zabijał, nie będę kradł, nie będę nikogo szkalował. Nie muszę być wierzącym, żeby zachowywać się moralnie.

Kacper to według socjologów mileniał (albo pokolenie Y), czyli ktoś urodzony między 1980 a 1996 r. Kończył szkołę, do której po czasach PRL-u wróciła katecheza, a do klas – krzyże. Gdy Polska przystępowała do Unii, starsze roczniki tego pokolenia mogły głosować w referendum akcesyjnym (2003 r.). Dorosłe życie zaczynali w III RP, mieli nielimitowany dostęp do paszportów, o czym ich rodzice mogli tylko pomarzyć, a internet zapewniał kontakt z całym światem.

Wśród mileniałsów porzucanie religii nie jest czymś niezwykłym. CBOS rok temu opublikował dane statystyczne, jak wygląda religijność Polaków od pokolenia dzisiejszych dziadków do wnuków (dane pochodzą z badań od marca 1992 do sierpnia 2021 r. włącznie; realizowane były na liczących około tysiąca osób reprezentatywnych próbach losowych). Wyniki okazały się szokujące, przede wszystkim dla księży. Arcybiskup Marek Jędraszewski grzmiał na-

MAGORZATA
SKOWROŃSKA

GENERACJA

A
JAK
APOSTAZJA

Dla młodych wchodzących w dorosłość Jan Paweł II to wciąż jeden z najważniejszych Polaków, zaraz po Robercie Makłowiczu. Jako źródło beki

FOT. GETTY IMAGES



wet w „Niedzieli”, że ci, którzy dziś porzucają Kościół, jeszcze za nim zatęsknią. Konserwatywny hierarcha, znany z gromienia gender i LGBT, pokusił się też o diagnozę, że na młodych ludzi wywierana jest presja, by odejść z Kościoła. Kto i dlaczego miałby ją wywierać, nie wyjaśnił.

Co wynika z badań, których wyniki wywołały ostrą reakcję metropolity krakowskiego? Przede wszystkim dane, które pokazują wyraźny spadek zaangażowania religijnego Polaków. W różnych grupach wiekowych zmiana jest inna – od powolnego w najstarszej do gwałtownego w najmłodszej – ale to trend, którego zignorować się nie da.

Religijność ma wiele wymiarów, nie wszystkie łatwo podlegają statystycznym analizom. CBOS skoncentrował się na „kościu”: deklaracjach wiary i praktyk religijnych (przede wszystkim chodzeniu do Kościoła). Prawie 30 lat gromadzenia danych to wystarczająco długi czas, by pokazać zmianę. I tak w marcu 1992 r. wierzący oraz głęboko wierzący stanowili 94 proc., a w sierpniu 2021 r. 87,4 proc.

Gdyby bazować tylko na tym wyniku, Kościół miałby prawo do umiarkowanego optymizmu. Jeśli dodać jednak, że powoli, lecz nieustannie rośnie odsetek niewierzących („raczej niewierzący” i „całkiem niewierzący”), aż do 12,5 proc. pod koniec 2021 r., lepiej zrozumiemy poirytowanie abp. Jędraszewskiego.

Stado owieczek topnieje najszybciej w dużych miastach: spadek wierzących z 91 proc. do 72,5 proc. przy 27,5 proc. niewierzących. To oznacza, że co czwarty mieszkaniec Warszawy, Wrocławia, Poznania, Krakowa czy Łodzi nie chodzi do kościoła. W mniejszych miejscowościach poziom religijności także spada – o mniej więcej 6 pkt proc.

W badaniach CBOS widać także coś, co jeszcze podczas Świątowych Dni Młodzieży, czyli nie tak dawno, bo sześć lat temu, było nie do pomyślenia: katolików ubywa najbardziej w grupach, które już są albo za chwilę będą rodzicami. Trudno oczekiwać od niereligijnych matek i ojców, by chrzcili dzieci, posyłali je do komunii i przygotowywali do bierzmo-

wania. W pokoleniu milenialsów (Kacper) przez niespełna 24 lata, czyli okres, gdy było uwzględniane w badaniach, regularnie praktykujących ubywało o 42,8 proc., a tych, którzy rezygnują z niedzielnej mszy, przybyło o 22,7 proc.

Milenialsi wkraczali w dorosłość z wiarą na nieco tylko niższym poziomie niż pokolenia rodziców (X oraz „Solidarności”), a także dziadków, ale mimo to wiarę tracili – spadek deklaracji wiary wyniósł w analizowanym okresie 10,5 proc. A jeszcze kilka lat temu, gdy Kościół podsumowywał pielgrzymkę Franciszka do Polski, twórcy raportu „Odbiór Świątowych Dni Młodzieży i jego kulturowe konteksty” cieszyli się: „Doświadczenie wielkiego zgromadzenia młodych katolików skutecznie podważyło dominujące w społeczeństwie stereotypy: Kościoła, do którego chodzą tylko starsze panie, i młodych ludzi bezmyślnie odrzucających Boga i zainteresowanych wyłącznie celami doczesnymi”.

To ostatni entuzjastyczny raport kościelny, jaki ujrział światło dzienne. Kiedy w marcu zeszłego roku Katolicka Agencja Informacyjna publikuje raport „Kościół w Polsce”, wyniki badań nie pozostawiają złudzeń: młodzież odwraca się od Kościoła. Poziom praktyk w ciągu trzech dekad spadł o połowę. Dobrze ten trend zilustrowały dane na temat tego, czy Kościół jest autorytetem instytucjonalnym dla studentów. Aż 50,7 proc. odpowiedziało, że nie. „To zjawisko nowe, które możemy nazwać zaburzeniem międzypokoleniowego przekazu wiary” – pisali autorzy analizy. Na pocieszenie dodano informację, że „utrzymuje się, a nawet nieco wzrasta procent głęboko wierzących młodych ludzi, choć stanowią oni niewielką mniejszość – wzrost z 6 do 8 procent”.

Opublikowane osiem miesięcy później badanie CBOS potwierdza kościelne analizy i szokuje wnioskiem, że najmłodsza Polska jest już niemal w jed-

nej trzeciej niewierząca. Chodzi przede wszystkim o pokolenie Z, czyli urodzonych w 1997 r. i później. Gdy w kwietniu 2005 r. agonię Jana Pawła II obserwował dzięki mediom niemal cały świat, najstarsi z tej grupy przygotowywali się do pierwszej komunii.

Ada: – Dobrze pamiętam to, co działo się tamtej wiosny. Mieszkaliśmy z mamą w Krakowie. Po rozwodzie rodziców przeprowadziliśmy się z Bydgoszczy do dziadków. Okno pod kurią zapamiętam do końca życia, bo wszyscy się w nie wpatrywali, a mnie od tego spoglądania w górę bolała głowa. Atmosfera była podniosła, mama płakała. Miesiąc po śmierci Jana Pawła II poszłam do pierwszej w życiu spowiedzi. Ksiądz zapytał, czy zachowuję się nieprzystojnie i czy mam brudne myśli. Serio, myślałam, że chodzi mu o to, że jem za dużo słodczy. Na szczęście był przygluchy, więc nie zareagował, gdy coś bez sensu mamrotałam. Puknął trzy razy w konfesjonał i mogłam odejść. Nie mam żadnej traumy, ale bezsensowność tego rytuału nawet mnie, małą dziewczynkę, wręcz uderzyła. Bardziej przeżyłam to, że moja mama, rozwódka, nie mogła razem ze mną przystąpić do komunii. Inne mamy kłękały obok dzieci i brały oplatek do ust. Moja, choć była i jest

*Na imprezach śpiewamy „Barkę”.
Jest też challenge, gdy trzeba podać
jak najwięcej religijnych fraz,
ale zmienionych.*

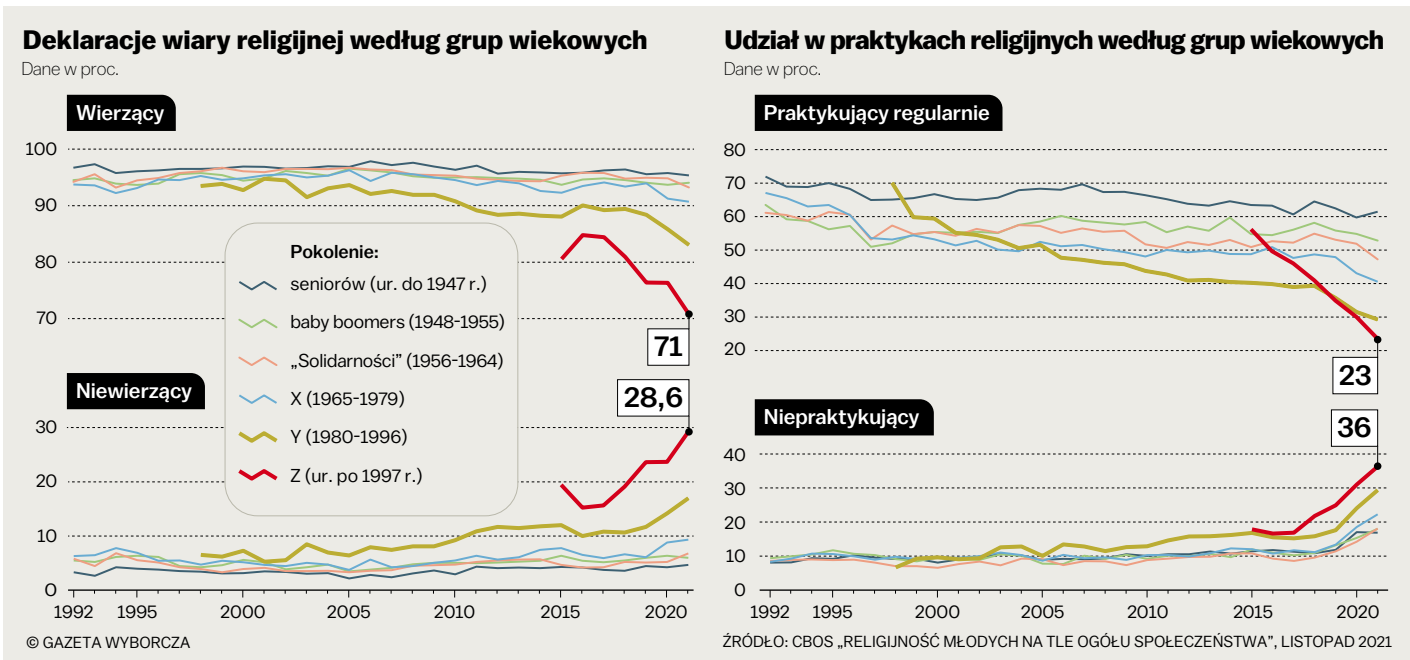
*„Anioł Pański z majstrował pannie
Maryi” albo „Baranku Boży,
który łazisz brzegiem świata”*

wierząca, nie mogła i stała jak kolek, gdy ja w białej albie kłęczałam przed ołtarzem. Pamiętam, że bardzo się wstydziłam przed koleżankami. Bałam się, co pomyślą, że uznają moją mamę za złodziejkę albo morderczynię, skoro nie mogła razem ze mną przyjąć Pana Jezusa. Odbębniłam biały tydzień i dziewięć pierwszych piątków, bo katechetka opowiadała, że to sposób na dostanie się do raju, a potem odpuszcłam sobie religię. Nic mi nie dała i nie zabrała. Wchodząc do kościoła, robię to często, bo jestem po historii sztuki, żadnego sacrum nie czuję i go nie potrzebuję. Życie jest wystarczająco męczące, żeby obciążać się jeszcze religią.

Ada to pokolenie Z. W tej grupie proces porzucania religii jest – jak to określa badanie CBOS – gwałtowny. W ciągu niespełna siedmiu lat (okres badania) regularnie praktykujących ubywało o 32,7 proc., a niepraktykujących przybyło o 18,4. – Najmłodsza kohorta wiekowa jakby odleciała od reszty społeczeństwa, od swoich rodziców i dziadków, od edukacji religijnej w szkole, od Kościoła – podsumowują analitycy CBOS.

Jeszcze wyraźniej spadek widać wśród dzisiejszych uczniów szkół średnich, którzy masowo porzucają katechazę. Pełnych raportów jeszcze się nie doczekaliśmy, ale te, które powstają, potwierdzają trend uchwycony przez CBOS.

W maju zeszłego roku krakowska Lewica postanowiła zbadać sytuację religii w szkołach. Do tamtejszych liceów trafiły ankiety z pytaniami o to, jak wygląda frekwencja na katechezie przez ostatnie kilka lat. Na 30 szkół ankiety wypełniło 20. We wszystkich widać radykalny wzrost liczby uczniów, którzy deklarują, że nie chcą uczestniczyć w lekcjach religii: to już prawie połowa krakowskich licealistów. Dla przykładu: cztery lata temu w XLIII LO w kate-



chezie nie uczestniczyło 6 proc. uczniów, w obecnym roku szkolnym jest 60 proc. W 2017 r. w XIII LO z chodzenia na religię zrezygnowało 25 proc., dziś jest 30 proc. W X LO niechodzących było 30 proc., jest 51 proc. W IX LO liczba odpuszczających religię wzrosła ze 105 do 231. W XXX LO z 26 do 169. W XLIV LO z 20 do 128. W innych miastach jest podobnie.

Cytowany przez „Wyborczą” maturzysta tamtejszego „Paderka” (VILO im. Paderewskiego): – Nigdy nie byłem zbyt religijny, choć wychowywałem się w katolickiej rodzinie. Kiedy byłem mały, to był raczej strach przed piekłem, końcem świata i innymi karami za grzechy. W końcu po prostu przestałem w to wierzyć, uczestniczyć w mszach i w ogóle w życiu religijnym. Ale pewnie na religię chodziłbym dłużej, gdyby nie jedna z katechez, chyba w piątej klasie podstawówki. Katechetka opowiedziała nam historię matki, którą podczas kolejnej ciąży poinformowano, że jeśli zdecyduje się na poród, jej życie będzie w niebezpieczeństwie. Zaproponowano jej usunięcie ciąży, ale odmówiła. Umarła w położu, a później podobno nawet została świętą. I jej postępowanie było nam, 12-latkom, przedstawiane jako model. W ogóle nie rozumiałem, dlaczego rozmawialiśmy o aborcji. Nie rozumiałem, dlaczego ta kobieta tylko dla swojego czystego sumienia pozostawiła dzieci bez matki i męża bez żony. I nie rozumiałem, dlaczego moje koleżanki miałyby postępować tak samo. Na moje pytania nigdy nie było odpowiedzi, wywoływałem tylko złość katechetki.

– Mówiło się kiedyś o pokoleniu Jana Pawła II, które po śmierci papieża miało nadawać ton w Polsce. Nigdy się go nie doczekaliśmy, ale za to mamy pokolenie dwa-jeden-trzy-siedem, dla którego Wojtyła i Kościół to niekończące się źródło „beki” – mówi Konrad Nakrzyk, teolog i socjolog (uczył katechezy przez cztery lata). Dodaje, że dla pokolenia Z Jan Paweł II to wciąż jeden z największych Polaków, zaraz po... Robercie Makłowiczu. Dla niewtajemniczonych – popularny dziennikarz i kucharz, odkąd za polityczne zaangażowanie podziękowała mu telewizja publiczna, stał się gwiazdą YouTube’a, a jego filmyki, m.in. o psie, który zjada koperek, biją rekordy popularności.

Dwa-jeden-trzy-siedem to godzina śmierci Jana Pawła II (21.37). Co zabawnego może być w tej godzinie? Anna (rocznik 2006): – Papieża jest tak dużo wszędzie, że trzeba odreagować. Wygląda to tak, gdy już jest za poważnie, a atmosfera jest dęta ponad miarę, ktoś wstaje i krzyczy: „Dwa-jeden-trzy-siedem” i już ściąga wszystkich na normalny poziom. Tak samo działa „Baraka”, którą teraz śpiewa się na imprezach, najlepiej o 21.37. Może być w jakiejś słownej lub muzycznej przeróbce. Jest też taki challenge, gdy trzeba podać jak najwięcej religijnych fraz, ale zmienionych. Na przykład: „Anioł Pański zmajstrował pannie Maryi” albo „Baranku Boży, który łazisz brzegiem świata”.

Niech pani napisze, że proboszcz mojej babci dwuletnią hybrydową toyotą jeździ. Cena rynkowa tak pod 180 tysięcy, a na naprawę ogrodzenia przy kościele chce pieniędzy od emerytów

– Znam, znam. Ktoś, kto natrafia po raz pierwszy na ten sposób reagowania na rzeczywistość religijną, może być zszokowany – mówi dr Sebastian Duda, filozof, teolog, publicysta związany z „Więzią”. Dodaje: – Nie jesteśmy przyzwyczajeni w Polsce do detronizowania prymatu Kościoła. Tymczasem wciąż obowiązujący model katolicyzmu i kapłaństwa urzędniczego kończą się na naszych oczach, wpisując się w ogólnosiwiatowy trend kryzysu religijnego.

Dr Duda zauważa, że odchodzenie młodych ludzi od chrześcijaństwa nie jest tylko polską domeną. – To dzieje się na całym świecie i związane jest z tym, że postrzegane jest jako coś nienaukowego. Argument płytki, ale chwytliwy. Poza tym Kościół przestał odpowiadać na ich potrzeby. Liturgia jest skostniała i w żaden sposób do nich nie przemawia, dlatego śmiesz i żenuje. Religia wydaje im się wydmuszką. To pokolenie nie ma problemu, żeby wyjść na ulicę z transparentem, autentycznie taki widziałem pod jednym z war-

szawskich kościołów: „Szkoda, że Maryja nie zrobiła aborcji”. Co ciekawe, pokolenie 30-latków czuje w sobie bunt przeciwko chrześcijaństwu, które idzie pod rękę z władzą i chce meblować ich świat. Tymczasem nastolatki już się nie buntują, bo po prostu nie mają problemu z religią. Pytanie, co się stanie, gdy ta grupa dobieje do czterdziestki, a po drodze zacznie doświadczać sytuacji granicznych. To będzie ogromny test dla chrześcijaństwa, czy znajdzie odpowiedzi dla tych, którzy będą szukali wsparcia.

Religijne zobojętnienie młodych ludzi dobrze widać w katolicyzmie. A co z innymi religiami? Przy tak dużej monokulturze duchowej i hegemonii Kościoła katolickiego w Polsce trudno im się przebić. To także powód, że w ograniczonym zakresie interesują się nimi badacze. Trudno o rzetelne najnowsze dane dotyczące np. religijności wśród wyznawców prawosławia czy luteranów.

– Nie jest nas wielu. W Bractwie Młodzieży Prawosławnej musimy postawić na jakość, a nie na ilość – mówi Gabriela Nowaszewska, prezeska. I dodaje, że modlitewne spotkania na Grabarce gromadzą 400-500 młodych ludzi.

Wszystkich wyznawców tej religii jest w Polsce około 600 tys., a religijność prawosławnych ma charakter instytucjonalny. Z analizy i badań, jakie prowadzi Wiesław Romanowicz, opublikowanych w kwartalniku Państwowej Szkoły Wyższej w Białej Podlaskiej, wynika, że Kościół prawosławny w pełni zaspokaja potrzeby religijne 49,7 proc. wyznawców, a ponad 50 proc. młodych prawosławnych chce utrzymania tradycyjnego obrządku (ponad 60 wciąż chce pozostać przy kalendarzu juliańskim).

– Nie prowadzimy zmasowanej akcji agitacyjnej. Stawiamy nie tylko na modlitwę, ale też relacje. Próbuje młodym ludziom, którzy należą do bractwa, zapewnić jakieś atrakcje w czasie wolnym. To bardzo ważne w budowaniu wspólnoty – mówi Nowaszewska i dodaje, że radykalnego

spadku religijności w swojej grupie nie zauważa.

– Da się zatrzymać młodych ludzi przy religii? – pytam księdza Łukasza z parafii ewangelicko-augsburskiej w Krakowie.

– Jeśli w domu nie będzie mądrego i czulego wychowania religijnego, a wizyta w kościele będzie czymś nudnym i w żaden sposób nieodpowiadającym na potrzeby kogoś, kto przekracza mury świątyni, nie ma szans.

Jeśli najbardziej widoczny w katolicyzmie spadkowy trend religijnego zobojętnienia młodych ludzi się utrzyma, w 2050 r. chrześcijaństwo przestanie być religią dominującą w Europie? Nie tak szybko. Do połowy XXI wieku liczba ludzi na Ziemi ma przekroczyć 9 mld (o prawie 2 mld więcej niż obecnie). Według przewidywań Pew Research Center z 2015 r., jeśli utrzymają się obserwowalne dziś tendencje demograficzne, na świecie jednak będzie przybywać chrześcijan, ale poza Europą, czyli tam, gdzie dzietność jest większa, a społeczeństwo tak szybko się nie starzeje. Na Starym Kontynencie chrześcijanie mają być wciąż w większości (ponad połowa społeczeństwa) poza wyjątkami takimi jak Czechy, Estonia czy Holandia. Ale przybywać też będzie niewierzących czy też, precyzyjniej: tych, którzy nie identyfikują się z żadną religią.

Właśnie o takim społeczeństwie postkościelnym mówią „Obraz/y uczuć” w reżyserii Krzysztofa Popiołka w Teatrze Ludowym w Krakowie. To przedstawienie o 20-40-latkach, którzy jeszcze pamiętają, jak to jest stać w kościele, na zmianę klękać i wstawać, śpiewać oazowe piosenki i wystawiać język, przyjmując komunię, ale już nie są ludźmi religijnymi.

Krzysztof Popiołek: – Bardzo mi zależało, żeby utrwalić moment przełomu, jaki jest widoczny w podejściu do wiary i religijności. Chcieliśmy zrobić zdjęcie rzeczywistości. Kiedy mówiłem, że robię spektakl o Jezusie, słyszałem: „Jezus Maria, no coś ty!”. A potem jednak ludzie chcą o religii rozmawiać, bo wychodzą z nas duchowe potrzeby. W przypadku mojego pokolenia, czyli dzisiejszych 30-latków, odchodzenie od religii ma wymiar kontestowania instytucji, która miała otwierać na wrażliwość metafizyczną, a tylko ją przysłoniła.

Jaka będzie duchowość i religijność młodych ludzi za trzy dekady? Wydaje mi się, że te zmiany idą w stronę synkretyzmu religijnego. Młodzi ludzie zawsze będą pytali o sens życia i śmierci, ale na swój sposób, bez podporządkowywania się instytucji. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna na Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają

się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dzie-

zinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na tamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

CO MNIE URZEKŁO

Mój własny transatlantyk

Jest zaprzeczeniem tego, co Kazimierz Kutz opowiadał o śląskiej dupowatości

JÓZEF KRZYK

S

Spytajcie kogoś w Zabrzu o Admiralspalast, a po odpowiedzi od razu będziecie wiedzieli, czy macie do czynienia z pniokiem, krzakiem czy ptakiem. Ptak (ptak), który dopiero co do Zabrza przyleciał i już zbiera się do dalszego lotu, pewnie tylko wzruszy ramionami. Krzok (krzak) – taki, który już trochę w tym miejscu pobyl, ale głębszych korzeni nie zapuścił, może się obruszy i poda inną nazwę, a nawet kilka. Z pniakiem macie jak w banku, że szeroko się uśmiechnie, a zaraz zapłacze. Chyba taki właśnie jest mój stosunek do niego.

Dla Zabrza jest trochę jak Pałac Kultury i Nauki pomnożony przez hotel Bristol. Z drugim wiąże go prestiż, którym się cieszył, i funkcja, jaką spełniał przez większość swojego istnienia. Do pierwszego upodabnia to, że służy za punkt orientacyjny i właściwie od dawna do niczego innego.

Wyszedł z mody, zanim jeszcze powstał, ale nic sobie z tego nie robi. Specjaliści od architektury cmokają z zachwytem nad jego modernizmem i elementami art déco, ale nawet w samym Zabrzu powstawały za jego czasów rzeczy nowocześniejsze. Z wysokości swoich 41 metrów pobłażliwie spogląda na tych, którzy muszą coś innym udowodnić. Jakby chciał powiedzieć: stać mnie, żeby tutaj stać.

Tak z pewnością powtarzał sobie Bruno Kretschmar, właściciel kawiarni w Chemnitz, gdy w 1924 roku przyjechał do Hindenburga (tak się nazywało Zabrze) i postanowił zbudować hotel. Wydał na to wszystkie pieniądze i zbankrutował. Do Saksonii podobno wrócił tylko z jednym łóżkiem. Na szczęście, zanim poniósł klęskę, Admiralspalast był już gotowy. Na parterze piwiarnia w bawarskim stylu, piętro wyżej restauracja i kawiarnia, na trzech następnych hotelowe pokoje. W sumie 48, a w nich 65 łóżek i w każdym umywalka z zimną oraz ciepłą wodą. Na każdym piętrze wspólny prysznic oraz telefon. Komfortu dopełniała winda, ale największą atrakcją była znajdująca się na dachu restauracja z podium dla orkiestry.

Obiekt oddawano do użytku stopniowo, zaczęto od piwiarni. Otwarcie mogłoby się kojarzyć z Oktoberfestem, gdyby nie wypadło w maju, ale piwo lało się wtedy równie długą rzeką. W dziesięć dni sprzedano go aż 36 tysięcy litrów, średnio po dwa duże kufle na każdego dorosłego mieszkańca (kobietom wtedy piwa pić nie wypadało).

Kretschmar zlecił zaprojektowanie hotelu dwójce architektów z samego Berlina. Richard Bielenberg i Josef Moser zbudowali tam już banki, domy towarowe i hotele. Każdy według innego stylu, chyba



FOT. DOMENA PUBLICZNA

w myśl zasady: klient płaci, więc ma prawo do własnych gustów. Niewykluczone, że to oni podpowiedzieli Kretschmarowi nazwę. Admiralspalast był im znany z Berlina – stanął w 1911 roku przy Friedrichstrasse – hotel, teatr i centrum rozrywki.

Hindenburg okazał się za mały i zbyt biedny na taki rozmach. Admiralspalast miał w dodatku za sąsiadów dwa drogie hotele, więc gdyby nie wykupiła go spółka (z udziałem magistratu), konkurencji by nie przeżył. Górował nad nią urdą, została mu do dzisiaj. Transatlantyk, który wpłynął na suchego przestwór oceanu, czysta poezja, choć wielu wieszczyło mu los „Titanica”. W restauracji na jego parterze, Fregacie (nie mogła mieć niemorskiej nazwy), opijałem z kolegami maturę. Świadectwo dojrzałości potraktowaliśmy jak przepustkę na jego pokład i snuliśmy w myślach plany o rejsie, w który nas zabierze. Każdego z nas wysadził na inny ląd i wyzwolił tych, którzy żyli kompleksami śląskiej prowincji.

On sam nigdy nie miał kompleksów wobec wyższych, nowocześniejszych, bogatszych. Zawsze był zaprzeczeniem tego, co Kazimierz Kutz pisał o śląskiej dupowatości, pokornego schylania karku przed każdym, nawet samozwańczym autorytetem i pogodzenia z tym, że to inni piszą historię. Inaczej w ogóle nie powinien stać tak ostentacyjnie na rogu głównej ulicy, zmuszając samochody i tramwaje do ostrego skrętu, chyba że by chciały się rozbić o jego burtę. Gdyby była w nim choć odrobina tej dupowatości, o której prawil Kutz, dałby się dawno rozebrać i ustąpił miejsca jakiemuś betonowemu klockowi. Albo by się przewrócił powalony uszkodzonymi górniczymi jak większość jego rówieśników i starszych braci w sąsiednim Bytomiu. Sam kusił los, skoro zdecydował się stanąć dokładnie nad wydrążoną jeszcze w XIX wieku na potrzeby górnictwa sztolnią. Twórcy solidnie go jednak zabezpieczyli. Wiedząc, że grunt w tym miejscu jest stokroć bardziej zdradliwy niż

oceaniczne wiry, wzmocnili go grubą na dwa i pół metra ławą z betonu.

Za polskich czasów był najpierw Prezydentem, potem Przodownikiem, a na koniec Monopolem. Spisał jak wszystko za PRL-u – z 65 łóżek zrobiło się 130. Potem już było tylko gorzej.

Po tym, gdy wyprowadzili się ostatni goście, jego reprezentacyjne pierwsze piętro przejęła na chwilę firma, która chciała urządzić salon bingo. Taki przybytek pasowałby do tętniącego życiem Hindenburga ostatnich lat Republiki Weimarskiej, ale nie do żyjącego ze sprzedaży rodowych sreber Zabrza. Dwie pierwsze kondygnacje wziął następnie w posiadanie bank. To wtedy zachodziłem tam po raz ostatni. Kolejny właściciel snuł różne plany, ale nie zrobił niczego. Przez dziury w dachu lała się woda, dobre przynajmniej tyle, że nie weszli tu złomiarze.

Wreszcie ojcom miasta przyszła ochota trochę go przypudrować i zapłacili za tynkowanie. Może liczyli, że znajdzie się jakiś poważny kupiec, aż na początku tego roku urząd sięgnął do własnej kieszeni i zapłacił za Admiralspalast 3 miliony złotych. Za tyle dziś nie zbuduje się nawet przestroniejszego domu, ale na tym wydatki się nie skończą. Z nałożonego kilka lat temu pudru – tynku odleciał ostatnio całkiem spory kawałek. Chodnikiem na szczęście nikt nie przechodził. Może Admiralspalast tak westchnął z uciechy na wiadomość, że znów będzie potrzebny? Wszak jego berliński imiennik przetrwał Honeckera i znów ma się dobrze.

Kocham go za to jego uparte trwanie, jest ze mną od zawsze jako dowód dawnego rozmachu miasta. Odkąd z sąsiednich kamienic wyniosła się większość sklepów, żywej duszy czasami tu nie uświadczysz nawet za dnia. W takiej właśnie chwili prawdziwie mnie urzekł. Popatrzyłem na niego i zobaczyłem, jak odbija promienie zachodzącego słońca. Jestem pewny, że robił to tylko dla mnie. ●

W cyklu „Co mnie urzekło?”

opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

Z SĘDZIĄ **BEATĄ MORAWIEC***
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Mogę zacząć od Ziobry...
– Proszę...

Bo wszystko się zaczęło od tego, że Ziobro chyba sobie panią upatrzył.
– Kraków sobie upatrzył. Kraków bardzo źle się kojarzy panu Ziobrze. Żle i z czasów studenckich, i z czasów aplikacji...

... z czasów studenckich...
– W czasie studiów podobno szantażowano go i grożono śmiercią. Ziobro podejrzewał o to kolegów ze studiów. Miał więc zastawiać na nich pułapki, nagrywać. Zgłosił szantaż na policję. Zostali aresztowani. Proces ciągnął się dziesięć lat. Ostatecznie zostali oczyszczeni.

Potem nie udało mu się odbyć aplikacji w Krakowie, musiał ją kończyć w Katowicach. Zresztą on nigdy nie prowadził żadnego dochodzenia, nie wydał żadnego orzeczenia, nigdy nie podjął pracy w zawodzie, jest papierowym prokuratorem.

Ja pojawiłam się tak całkiem przez przypadek. Jako osoba niepokorna nie kryłam poglądów co do sposobu, w jaki Ziobro próbuje przeprowadzić reformę wymiaru sprawiedliwości. Może go to ubodło?

A potem pojawiła się okazja, bo toczącej się postępowanie karne w krakowskim sądzie apelacyjnym dało mu asumpt do skierowania uwagi na Kraków. A do tego wszystkiego, no cóż, przyjaciółka potrzebowała stanowiska. Przyszła prosto z ministerstwa.

To była cała akcja, nie byłam pierwszą osobą odwołaną. Pierwszy był Przemysław Banasik, prezes Sądu Okręgowego w Gdańsku. Ponad sto osób wtedy zostało odwołanych bez uzasadnienia, poprzerywano im kadencje i pozmieniano stanowiska.

To był 27 listopada 2017 r., ale dzień wcześniej był telefon z ministerstwa z informacją, że pani będzie odwołana.

– Odwołano mnie faksem pod moją nieobecność. Byłam wtedy na wakacjach, na tygodniowym urlopie w Omanie. Nie mogłam natychmiast wrócić, Oman to nie Włochy czy Hiszpania, gdzie można bez problemu wsiąść w samolot i wrócić do kraju.

Mój wiceprezes ds. karnych i wiceprezes ds. cywilnych zostali odwołani razem ze mną. I prezesi sądów rejonowych też. Został tylko wiceprezes, który zajmował się sprawami gospodarczymi i rodzinnymi, Mieczysław Potejko. Sprawował urząd do stycznia 2018, gdy objęła go Dagmara Pawelczyk-Woicka, która właśnie została szefową drugiej neo-KRS.

Ale ja jako pierwsza się zbuntowałam, nie przyjąłam z pokorą decyzji pana ministra Ziobry.

Bo postawił pani ciężkie zarzuty.

– W uzasadnieniu odwołania zamieszczonym na stronie internetowej Ministerstwa Sprawiedliwości stwierdził, że nie sprawowałam w ówczesnym czasie – nadal nie wiem, w jakim – nadzoru nad dyrektorem Sądu Okręgowego Bolesławem Rauszem. To śmieszny zarzut, bo prezes sądu nie ma realnego nadzoru nad dyrektorem. Pracodawcą dyrektora nie jest prezes sądu, tylko minister sprawiedliwości. I dlatego, że powiązano mnie z zatrzymaniami dyrektorów sądów w Małopolsce, wystąpiłam z pozwem o ochronę dóbr osobistych.

Ale bardziej ubodło mnie to, że Ziobro powołał się na jakieś rankingi pracy sądów, których do dzisiaj nikt nie widział na oczy.

Rankingi?

– Jakieś statystyczne wyliczenia, z których miało wynikać, że źle wykonuję obowiązki. Ziobro nie potrafił odpowiedzieć na prośbę, co to były za wyliczenia, bo ich nie ma. To była taka fikcyjna podkładka.

Pani wygrała ten proces prawomocnie w styczniu 2021 r.

– Sąd Apelacyjny w Warszawie utrzymał w mocy wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie, który nakazuje przeprosić panu ministrowi Beatę Morawiec.

Ale Ziobro nie chce przeprosić.

– Tłumaczy, że to nie on musi przeproszać, tylko Ministerstwo Sprawiedliwości. Nieprawda. W wyroku sąd wskazał tekst przeprosin, a pod spodem napisano: „Minister Sprawiedliwości, imię i nazwisko”, a nie jakiś wirtualny urząd. No i Ziobro złożył kasację od tego wyroku.

Gwoli uczciwości muszę dodać, że w sądzie apelacyjnym sędzia sprawozdawca złożył zdanie odrębne. Dotyczyło tylko zadośćuczynienia, sędzia uważał, że Ziobro ma obowiązek mnie przeprosić, ale nie musi wpłacać na rzecz fundacji Domu Sędziego Seniora 10 tys. zł tytułem zadośćuczynienia.

Wróćmy do 2020 r. Wtedy, po pani odwołaniu, prokuratura wszczyna postępowanie.

– Wróciłam do domu, zadzwonił do mnie Paweł Figurski z „Wyborczej” i zapytał, czy wiem, że prokurator występuje z wnioskiem o uchylenie mi immunitetu. Nie wiedziałam. On dowiedział się z internetu, z jakiegoś komunikatu.

Byłam zaskoczona, bo przecież nikt mnie o nic nie pytał, nigdy w żadnej sprawie nie próbował przesłuchać. Do dzisiaj zresztą! Nawet nikt na notatkę służbową ze mną nie rozmawiał.

„Na notatkę”?

– Zanim prokurator postawił zarzuty, musi zebrać materiał dowodowy. A jeżeli ma jakiś materiał, który pokazuje sprawę z jednej strony, to musi go zweryfikować z drugiej strony. Przynajmniej ja po 35 latach pracy w wymiarze sprawiedliwości takie mam wyobrażenie, jak powinna wyglądać praca prokuratora. W moim przypadku nic takiego nie miało miejsca.

Próbowano mi postawić dwa zarzuty: przyjęcia łapówki w postaci telefonu z klapką i niesporządzenia opinii na zlecenie Sądu Apelacyjnego w Krakowie.

Próbowano?

– Nie postawili zarzutu. Jestem w tym śledztwie nikim, bo nawet świadkiem nie jestem.

Jeżeli chodzi o ten drugi zarzut, to szybko się z nim rozprawiłam, ponieważ szczęśliwie – za co jestem wdzięczna im do grobowej deski – informatycy mojego sądu okręgowego, wymieniając mi laptopa na nowszy, przegrali cały twardy dysk. I dzięki temu mogłam szybko odtworzyć, co się działo z tą opinią. Powołałam biegłego – sama zapłaciłam 3 tys. zł – który potwierdził, że w tym i w tym dniu, w takich i takich godzinach sporządzałam opracowanie, które zawierało tyle i tyle kart.

Prokuratura przyjęła te wyjaśnienia?

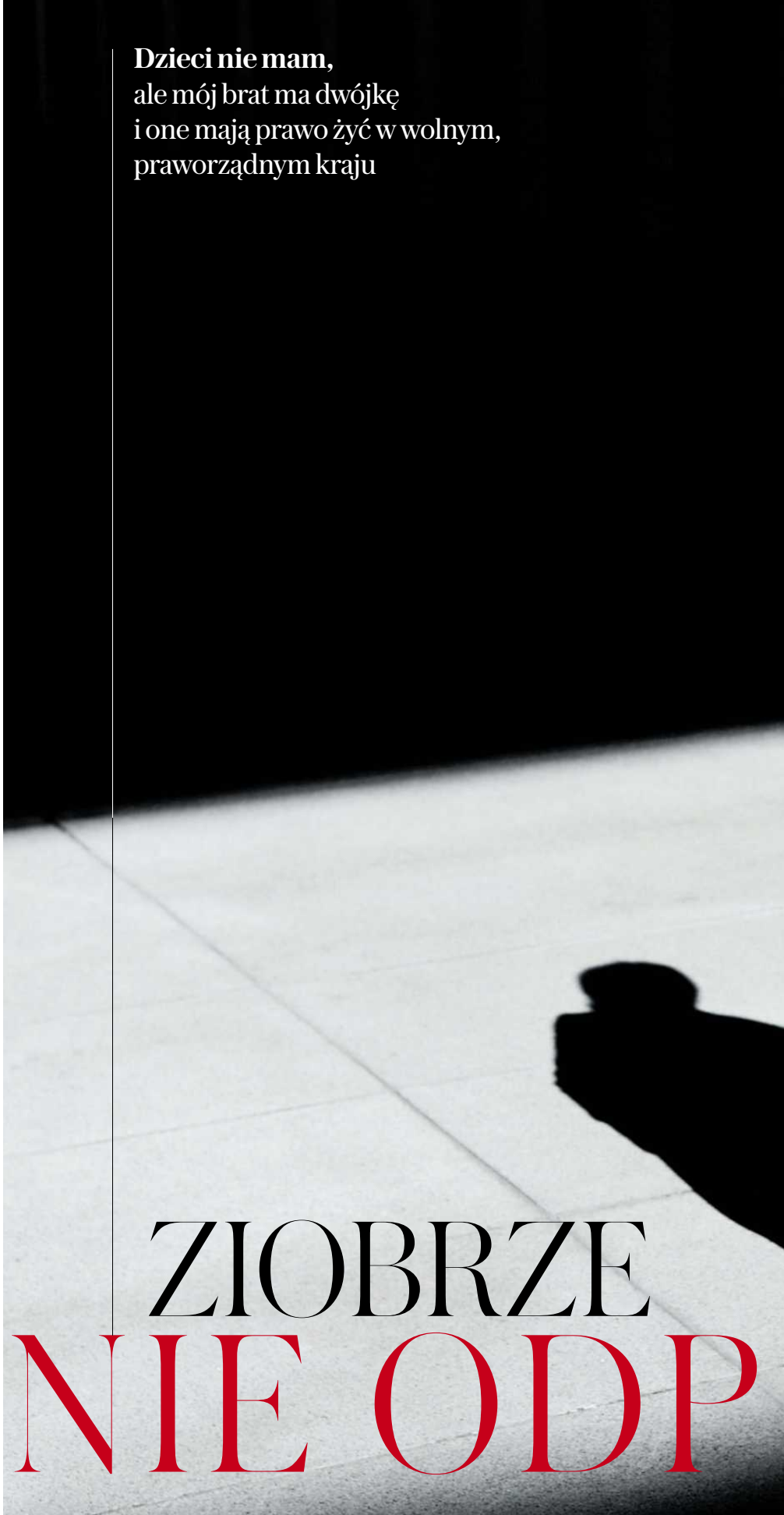
– Ależ skąd! Przedstawiłam opinię biegłego w Izbie Dyscyplinarnej SN, bo to wszystko działo się już po wszczęciu tam postępowania i skierowaniu wniosku o uchylenie mi immunitetu.

A z telefonem jak było?

– Znów do grobowej deski będę wdzięczna mojemu koledze śp. sędziemu sądu rejonowego Tadeuszowi Dąbrowskiemu, który był sprawozdawcą w sprawie, która wiązała się z tym telefonem. Wdzięczna za to, że napisał uzasadnienie, bo nawet bym nie wiedziała, o co chodzi.

No to o co?

– Jakiś pan Marek B., który był przedstawicielem T-Mobile i współpracował z dyrektorem Sądu Apelacyjnego w Krakowie, opowiadał, że przyszedł do sądu, pytał, czy można byłoby się ze mną skontaktować. Skierowali go do mnie niby w sprawie telefonu, bo nie mieli odwagi – tak twierdzi B. – umawiać się na spotkanie w sprawie toczącego się postępowania. B. miał przyjść niby z telefonami dla mojego zespołu.



Tylko że ja wtedy nie byłam żadnym szefem, byłam zastępcą rzecznika dyscyplinarnego, nikim nie zarządzałam.

B. miał przynieść sześć czy osiem telefonów, z których jeden miał być dla mnie. I miało to być już po wydaniu wyroku, z którego B. był bardzo zadowolony.

Jakiego wyroku?

– Właśnie dzięki uzasadnieniu śp. Tadeusza Dąbrowskiego. Panu B. postawiono zarzut znęcania się nad żoną. Prokurator odmówił kontynuowania dochodzenia, dwukrotnie umarzając dochodzenie, więc żona Marka B. wniosła prywatne oskarżenie – subsydiarny akt oskarżenia.

Sąd pierwszej instancji zmienił opis czynu i skazał go za to, że w 2011 r. uderzył żonę, co spowodowało obrażenia w postaci siniaka na ramieniu, zacerzwienia na twarzy, oraz za to, że naruszył tajemnicę jej korespondencji. Wymierzył mu za to karę grzywny. B. się odwołał. Odwołanie trafiło do sądu okręgowego, do składu, w którym byłam ja, Elżbieta Jabłońska-Malik i właśnie

Tadeusz Dąbrowski, sprawozdawca. Więc to nie była moja sprawa, to była sprawa Tadeusza. Z jego uzasadnienia wynika, że myśmy nie uwzględnili apelacji, żaden zarzut nie był zasadny, ale okazało się, że sąd pierwszej instancji popełnił podstawowy, szkolny błąd proceduralny.

Jaki?

– To wykład teraz pani zrobię...

Proszę bardzo...

– ...jeżeli wnosi się do sądu subsydiarny akt oskarżenia, to on nie może być szerszy niż to, co prokurator umorzył wcześniej. Jeżeli nie zarzucił, nie umorzył postępowania w przedmiocie naruszenia tajemnicy korespondencji, to w tym zakresie sąd w ramach subsydiarnego aktu oskarżenia nie może orzekać, bo brak skargi uprawnionego oskarżyciela – prokuratora.

Jeżeli prokurator tego nie rozważał, to samodzielnie pokrzywdzony nie może sobie wnieść sam aktu oskarżenia z zarzutem popełnienia przestępstwa ściganego z urzędu.

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Tadeusz zauważył, że prokurator nie prowadził postępowania w sprawie naruszenia tajemnicy, i w tym zakresie musieliśmy umorzyć postępowanie.

Nie dlatego, że B. nie pobił żony, tylko dlatego, że był błąd proceduralny?

– Tak, i tylko co do jednego zarzutu, czyli naruszenia korespondencji. Natomiast tam, gdzie chodziło o naruszenie czynności narządów ciała, została kara grzywny orzeczona przez sąd pierwszej instancji. Ponieważ był jeden siniak i zaczerwienienie, a B. nie był karany, uznaliśmy, że wystarczające będzie warunkowe umorzenie postępowania. I warunkowo umorzyliśmy B. to postępowanie na okres próby wynoszący, o ile dobrze pamiętam, dwa lata.

Czyli żaden z zarzutów apelacji nie został uwzględniony. Prokuratura nie mogła przesłuchać Tadeusza, bo Tadeusz półtora roku temu zmarł, dostał zawału w pracy. Elżbieta Jabłońska-Malik, która jest przewodniczącą wydziału odwoławczego, też nie została przesłuchana.

I pani też nie.

– Oczywiście, że nie. A przecież prokuratora twierdzi, że dostałam ten telefon, bo B. chciał mi podziękować za taki dobry wyrok. Jaki dobry wyrok? Nikt go nie uniewinnił, nikt mu nie uwzględnił apelacji. Zapadł po prostu sprawiedliwy wyrok.

Ale to nie koniec sprawy.

– Gdy Adam Tomczyński z Izby Dyscyplinarnej uchylił mi immunitet i zawiesił w czynnościach, a potem trzysobowy skład odmówił uchylenia immunitetu i przywrócono mnie do pracy, to prokurator wystąpił do sądu rejonowego o wydanie wyroku bez przeprowadzenia rozprawy w stosunku do Marka B. Postawił mu dwa zarzuty: pierwszy, podżegania do przestępstwa urzędniczego, czyli że namawiał mnie, żebym spowodowała korzystne dla niego rozstrzygnięcie, drugi – czynna lapówka.

Oba przestępstwa zagrożone są karą pozbawienia wolności do lat 10. Zgadnie pani, o wymierzenie jakiej kary jest wniosek?

10 lat?

– Tysiąc złotych grzywny! Dogadali się, nie wiem na jakiej zasadzie. Marek B. został potraktowany jak mały świadek koronny, tak mi to wygląda. Bo przy przestępstwach zagrożonych karą do lat 10 pozbawienia wolności wymierzyć grzywnę inaczej nie sposób. Nie znam dokładnie sprawy, bo mimo że zarzucono Markowi B. współdziałanie ze mną, w jego postępowaniu nie jestem nawet świadkiem – nie mam dostępu do akt. Wszystko, co wiem, pochodzi z rozmów z dziennikarzami, którzy z aktami się zapoznali.

To tego telefonu we wrześniu 2020 CBA szukało u pani w domu, mimo że miała pani immunitet.

– Od razu, gdy się dowiedziałam o postępowaniu prokuratury, powiedziałam kolegom, że to absurdałne zarzuty, wyciągnęłam laptopa i pokazałam tę opinię, niby nie-napisaną. Kazali mi ją zgrać na pendrive’a, na wszelki wypadek. Zartowaliśmy, w życiu byśmy nie przypuszczali, że służby specjalne mogą naprawdę podjąć jakieś kroki.

Minęły może dwa dni, sprawa zrobiła się głośna i mój obrońca Maciek Czajka mówił: – To może wybijmy im argument z ręki i opublikujemy to twoje opracowanie? Ja na to, że całość nie, bo jest duże, mnóstwo załączników, ale zrobmy zdjęcie pierwszej strony z datami. Puściliśmy to zdjęcie na FB

– Ależ skąd, o telefon mnie nikt nawet nie zapytał.

A wie pani, co mnie jeszcze denerwuje? Że to miał być telefon z kłapką, dla starszych ludzi, z dużą klawiaturą...

A przecież nie miała pani wtedy 50 lat.

– Zażądaliśmy numeru identyfikacyjnego tego telefonu, marki, operatora, który go obsługiwał. Marek B. mówił, że nie pamięta marki, nie wie, gdzie go kupił, ile zapłacił, tylko że był z kłapką.

W październiku 2020 „Wiadomości” pokazały materiał o tym, że Izba Dyscyplinarna uchyliła pani immunitet. Było o opinii i o telefonie.

– Rozpoczęto regularną nagonkę.

Prof. Piotr Oseka po 2015 r. analizował główne wydanie „Wiadomości” i zauważył, że wedle dziennika TVP w Polsce najczęściej kradną sędziowie.

– Nie oglądałam tego programu, bo i po co? Szkoda nerwów, ale znajomi mi opowiadali, co o mnie tam mówili.

12 października 2020 r. zostaje pani bez immunitetu i z połową pensji.

– Tego dnia miałam wokandę, odroczyłam wtedy wydanie wyroku na następny dzień. I ogłosiłam go 13 października o godzinie 12, uniewinniający zresztą.

Ziobro nigdy nie wydał żadnego orzeczenia, nigdy nie podjął pracy w zawodzie, jest papierowym prokuratorem

„Sędziowie krakowscy”, a następnego dnia o godzinie 6.30 rano miałam wizytę dwóch panów i jednej pani.

Z CBA.

– Tak. Gdybym miała wtedy innego prezesa sądu okręgowego, może bym zareagowała inaczej, powiedziałabym, że nie wydaję sprzętu, bo nie jest mój, został mi oddany w użytkowanie. Ale im ten laptop wydałam, bo wiedziałam, jakiego mam prezesa, nie mogłam liczyć, że zachowa się racjonalnie. Przyszli z postanowieniem prokuratora domagającym się wydania laptopa i wszystkich nośników danych, na których skopowane było sporządzone przeze mnie opracowanie, a w razie odmowy dobrowolnego wydania sprzętu pozwalającym na przeszkanie mojego domu, garażu, wszystkich pomieszczeń, które zajmuję.

Ale jak to, skoro pani miała immunitet?

– Też ich zapytałam, na co usłyszałam, że jest postanowienie i oni wykonują polecenia.

Był z nimi prokurator z Warszawy, nie autor postanowienia, tylko jakiś inny. Uważali, że wszystko robią zgodnie z prawem.

Nie miałam nic do ukrycia, dostali pendrive’a i laptopa, protokół napisali. Uprzedziłam ich, że na laptopie są treści objęte tajemnicą sędziowską i nie mogą tego dowolnie otwierać i zamykać. Mój adwokat pojechał z nimi do CBA do Katowic, gdzie zgrali twarde dyski i za jakieś dwa dni laptopa mi oddali.

Złożyłam zażalenie na postanowienie prokuratora.

Sąd Rejonowy w Warszawie stwierdził, że mogli mnie wezwać do wydania rzeczy, ale nie mogli dokonywać żadnych dalszych czynności w formie przeszukania, bo chroni mnie immunitet. Mam to na piśmie. Ale nic z tego nie wynika. To sytuacja „nie mam pani płaszcza i co mi pani zrobi”.

A telefonu szukali?

Przecież była pani zawieszona?

– Ale oni mi uchwały, która została ogłoszona po całym dniu procedowania ID o godzinie 22, nie doręczyli. Dostałam ją dopiero za dwa dni.

Co się stało z tym wyrokiem?

– Ogłosiłam go, choć mogłam wystąpić z pytaniem prejudycjalnym do Trybunału Sprawiedliwości UE, do Luksemburga. Ale popatrzyłam na tę sprawę nie z mojego punktu widzenia, tylko strony. Pytanie prejudycjalne byłoby dla mnie lepsze, bo od razu mogłabym zaatakować Izbę Dyscyplinarną i zapytać o mój status orzeczniczy w tym dniu, ale musiałabym zawiesić postępowanie w tej sprawie.

A ona była o wyłudzenie odszkodowania po wypadku samochodowym. Ten człowiek został skazany przez sąd pierwszej instancji, ale potem przedstawił dowody, na podstawie których go uniewinniłam. Więc zrobiłabym mu krzywdę, gdyby na ten wyrok musiał czekać nie wiadomo jak długo. Wiemy, jak powoli działają tryby sprawiedliwości UE.

Skutecznie go pani uniewinniła?

– Tak. To był sąd drugiej instancji, od orzeczenia przysługiwała tylko kasacja, więc moje orzeczenie z chwilą ogłoszenia stało się prawomocne.

Dopiero potem, jak się zorientowali, to wystąpiono do sądu apelacyjnego z wnioskiem o wznowienie postępowania, powołując się na to, że w chwili wydania orzeczenia nie byłam uprawniona do orzekania. Sąd apelacyjny nie uwzględnił tego wniosku i nie wznowił postępowania. A oni zaprzępaścili termin kasacji. Temat umarł śmiercią naturalną.

Co pani robiła do 7 czerwca 2021 r., kiedy Izba Dyscyplinarna drugiej instancji uchyliła wcześniejszą decyzję ID?

– Pojawiałam się w sądzie, ale odciepli mi dostęp do systemów komputerowych. Moje

sprawy zostały rozdzielone między innych sędziów. Przychodziłam, zgłaszałam gotowość do pracy, wzywałam mojego prezesa, żeby mnie do pracy przywrócił. Wystąpiłam z pozwem do sądu pracy o przywrócenie mnie do pracy. Byłam prezesem stowarzyszenia sędziów Themis. Zajmowałam się wszystkim, czym tylko mogłam, żeby nie siedzieć w domu i nie myśleć, co dalej.

Straszny stan. Nie wiadomo, czy można coś planować. Jest tutaj i teraz, ale co będzie jutro? Ale dlaczego, myślałam, skoro nie mam sobie nic do zarzucenia? Mam udowodnić, że nie jestem wielbłądem.

To jest dobra nauczka dla wszystkich, którzy wykonują taki zawód jak ja, żeby zrozumieć, jak się czuje człowiek, który pojawia się przed sądem w roli wielbłąda.

Chce pani powiedzieć, że może przez to wszystko stała się pani lepszym sędzią?
– Każde doświadczenie jest cenne, uczy pokory, dystansu do samego siebie. A ja jestem bardzo emocjonalna, moja mama mówi „nieokielznane ADHD”.

To jak pani wytrzymała, kiedy zabrali pani pracę?
– To była realna, bolesna kara. Ale cóż, trzeba było to przeżyć.

Decyzję Izby Dyscyplinarnej z czerwca 2021 ja i moi obrońcy odebraliśmy w kategoriach cudu. Nie wierzyliśmy, że ID rzetelnie pochyli się nad naszą skargą. Myśmy nawet nie czekali na ogłoszenie wyroku, bo była już godzina 19, byliśmy zmęczeni, głodni, a spodziewaliśmy się, jakie będzie orzeczenie.

Wsiadliśmy do samochodu i ruszyliśmy do Krakowa. Zatrzymaliśmy się w McDonaldzie, by coś zjeść, i wtedy się dowiedzieliśmy. Zareagowaliśmy jak małe dzieci, rzucaliśmy się sobie na szyję. Gdyby decyzja była inna, to byłabym w sytuacji nie do pozazdroszczenia, jak sędzia Igor Tuleya.

Dlaczego ID tak zdecydowała?
– Myślę, że zażądali akt od prokuratora. Tych, do których ani ja nie miałam dostępu, ani moi obrońcy, bo stwierdzono, że nie mogę zapoznać się z niczym więcej ponad to, co prokurator z wnioskiem o uchylenie mi immunitetu przesłał ID. W ID w II instancji poważnie podeszli do tematu i wszystko sprawdzili, przeczytali, przeanalizowali.

A może już wtedy sędziowie ID przestali się czuć tak bardzo pewni? Zaczęli się zastanawiać nad konsekwencjami swoich dalszych działań? Orientować się, że to niedobrze jest chodzić na pasku władzy? Że może warto rzetelnie wykonywać swoje obowiązki, nawet jeżeli się zostało wadliwie powołanym?

Oni nie orzekają, wyznaczają terminy rozpraw i odwołują. Może pozorują ruchy, żeby uzasadnić, za co biorą po 20 tys. pensji?

Ostatnio czytałam, że „sędziowie ID zaczęli się bać, tam się gotuje”.
– Tu chodzi o milion euro dziennie kary za zlekceważenie postanowienia zabezpieczającego TSUE.

Przecież TSUE i Europejski Trybunał Praw Człowieka uznały Izbę Dyscyplinarną SN za „niesąd”, jej prace powinny być prze-rwane.

Ziobro po ostatecznej decyzji ID w pani sprawie powiedział: „To rozstrzygnięcie po raz kolejny dowodzi, że środowisko sędziowskie nie jest zdolne do samooczyszczenia, nie jest zdolne do zdecydowanej walki ze złem i patologiami wewnątrz własnego środowiska, skoro nie zgadza się na decyzję instytucji, która jest do tego powołana, by taką sprawę wyjaśnić”.
– Czyli na decyzję pana Zbigniewa Ziobry. Człowiek instytucja.

I dalej: „oczekuje się, że osoby piastujące urząd sędziego będą reprezentowały najwyższe standardy moralne, gwaran-

owały obiektywizm i uczciwość rozstrzygania spraw”.
– Ja gwarantuję. A Ziobro?

W czerwcu 2021 r. wróciła pani do pracy. Dokąd?
– Do tego samego wydziału, w którym orzekałam. Na krótko. Pracowałam tam do 12 października 2021.

Cóż znowu pani „zrobiła”?
– Złożyłam oświadczenie po kolejnych zawieszeniach i postępowaniach dyscyplinarnych przeciwko sędziom, którzy zadawali pytania prejudycjalne albo odmawiali orzekania z neosędziami.

Zaatakowała pani Ziobrę?
– Wydaliśmy w Krakowie oświadczenie, że będziemy orzekać zgodnie z prawem europejskim i konstytucją. To atak, jak pani ocenia? Moi przełożeni ocenili, że był.
Zostałam przeniesiona, bez mojej zgody, do wydziału III Karnego Sądu Okręgowego w Krakowie, tym razem pierwszoinstancyjnego. Jeszcze kończę dwie sprawy, które zostały mi w wydziale odwoławczym. Przez jakiś czas orzekałam na dwóch pełnych etatach, w różnych wydziałach.

Została pani zdegradowana z odwoławczego do pierwszej instancji?
– To nie degradacja. Od 2000, przez 21 lat, orzekałam w wydziale odwoławczym, teraz

A teraz będę się z sądem sądziła o pieniądze.

O jakie pieniądze?
– Wyrównanie za okres zawieszenia dostałam globalnie, jedną kwotę za cały ten czas, więc nie byłam w stanie sprawdzić, ile za jaki miesiąc. Ale kiedy dostałam trzynaste wynagrodzenie – bo u nas jak w każdej budżetowce jest trzynastka – to się okazało, że dostałam połowę należnego mi z tego tytułu wynagrodzenia.

Więc grzecznie napisałam do księgowej SO, żeby mi podała podstawę prawną, na mocy której wyliczono podstawę trzynastej pensji. Byłam grzeczna, wskazałam, że może przez pomyłkę, może nie zwrócono uwagi, że w momencie odmowy uchylenia immunitetu okres zawieszenia uznaje się za niebyły, więc powinnam być traktowana jako osoba przywrócona do pracy, a skoro tak, to nabywam wszelkie prawa pracownicze z datą wsteczną – pełne wynagrodzenie i prawo do trzynastego wynagrodzenia. Wynagrodzenie mi wypłacono prawidłowo – wprawdzie bez odsetek, ale zapłacili – natomiast trzynaste wynagrodzenie zostało obniżone z powołaniem się na to, że nie świadczyłam efektywnie pracy.

Wystąpię do sądu pracy, żeby przeliczył te kwoty i żeby zwrócono mi pieniądze. Dla zasady, nie dla pieniędzy.

A odsetki? Należą się pani.

Dostępu do akt nie miałam ani ja, ani moi obrońcy, bo stwierdzono że nie mogę zapoznać się z niczym więcej ponad to, co prokurator z wnioskiem o uchylenie mi immunitetu przesłał Izbie Dyscyplinarnej

w wydziale pierwszej instancji tego samego sądu okręgowego. Rozstrzygam w całkiem innej kategorii spraw – zabójstwa, oszustwa, mienie wielkiej wartości, wielkie sprawy gospodarcze, afery narkotykowe, paliwowe. Jestem przygotowana merytorycznie, więc całkiem mi się to podoba, nie narzekam. Wbrew zamiarom wcale krzywdy mi nie zrobili.

Ile razy zostało naruszone prawo albo procedury w pani sprawie?
– Długo trzeba byłoby liczyć. Zwolnienie mnie z funkcji prezesa sądu okręgowego faksem, pod usprawiedliwioną nieobecność osoby bezpośrednio zainteresowanej, bez uzasadnienia, to już jest skandal.
Sposób prowadzenia przez prokuraturę postępowania przygotowawczego bez możliwości przedstawienia swojego stanowiska, przecież nie zostałam przesłuchana, potem wydanie postanowienia o przeszukaniu u mnie w domu, choć chronił mnie immunitet. Postępowanie Izby Dyscyplinarnej, która jest nielegalna.

A w październiku 2021 zostałam przeniesiona z wydziału do wydziału arbitralną decyzją bez możliwości odwołania się. To jest naruszenie mojego prawa do sądu. I podstawa do skargi do ETPC, znowu będę się sądzić z moim sądem okręgowym.

Mam już dwie skargi w ETPC. Jedna dotyczy tego, że w mojej sprawie orzekała nielegalna ID, a druga, że nie miałam możliwości odwołać się od decyzji prezesa przeniesienia mnie z wydziału do wydziału. Przeniesienia bez powodu, bo przecież deklaracja orzekania zgodnie z prawem nie może być powodem do represji.

– Myślę, że będziemy się o wszystko upominać. Ale wcale nie tęsknię do kolejnych spraw z moim pracodawcą. Nie mam kontaktu z panią prezes, zresztą ona generalnie unika kontaktów, poza wybranymi i mianowanymi przez siebie sędziami. Nasze kontakty są na piśmie.

Kiepsko.
– Opowiem, jak to było, kiedy CBA zatrzymało mi laptopa. Napisałam do prezes Dagmary Pawelczyk-Woickiej pismo: uprzejmie informuję, że w tym i w tym dniu CBA zabezpieczyło mój laptop, na którym znajdują się dane wrażliwe. Nie oczekiwałam niczego, chciałam ją tylko poinformować. Dostałam odpowiedź, że nie może się wypowiadać, ponieważ nie zna sprawy.

Ona jest silna-bezsilna, nie ma żadnej mocy sprawczej, jest tylko figurą. Moi koledzy się z tego śmieją, ale przez łzy, bo to wszystko jest porażające.

Zna pani kogoś z ministerialnej nieformalnej grupy „Kasta Watch”, która potajemnie organizowała kampanie przeciwko sędziom?
– Znałam Łukasza Piebiaka, choć bardzo słabo. On warszawski, ja krakowska, niewiele było kontaktów. Gdy zostałam prezesem sądu okręgowego, dwa razy byłam na szkoleniu w Popowie, nasze kontakty były raczej służbowe, na dystans.

Ziobro będzie zawsze bezkarny?
– Jak to mówią, cierpliwy zawsze się doczeka. Więc czekamy, że sprawiedliwość

dziejowa się kiedyś stanie i będzie okazja, żeby postawić mu zarzuty.

Jakie?
– Działania podejmowane bezpośrednio przez ministra i przez jego resort doprowadziły do totalnej zapaści wymiaru sprawiedliwości.
Egzamin sędziowski zdałam pod koniec 1989 roku. W 1990, chyba pod koniec października, dostałam asesurę. Nigdy nie orzekałam w innej niż wolna Polsce.
Całe dekadę walczyliśmy, żeby ograniczyć wpływ ministra sprawiedliwości na zarządzanie sądami, żeby sędziowie byli niezawisli, niezależni. W siedem lat zniszczono 90 procent tego, co myśmy przez 30 lat budowali.
Zawsze chodziłam do pracy z ogromną przyjemnością, zawsze chciałam być sędzią. Kocham swoją pracę. Moje życie to była praca.

Była?
– Nawet jeśli sprawy, w których orzekam, są ważne i sprawowanie wymiaru sprawiedliwości daje satysfakcję, muszę tu współpracować z ludźmi, których nie szanuję.
Jestem rozwódką, jestem sama, nie mam dzieci, całe moje życie to był sąd.

Plakała pani?
– Pewnie, że tak. Nikomu nie życzę takiej sytuacji, nawet najgorszemu wrogowi.

Nawet Ziobrze?
– ...
Wmawiam sobie, że szklanka jest do połowy pełna, bo jest o co walczyć. Dzieci nie mam, ale mój brat ma dwójkę i one mają prawo żyć w wolnym kraju, praworządnym, gdzie obywatel ma prawa, których władza nie może łamać.
Mówię frazesami, choć wcale nie chcę.

Komisja Europejska powinna dać się przekonać PiS, że przywraca w Polsce praworządność?
– Tak, o ile rzeczywiście i realnie rządzący podejmą kroki i zrealizują obietnicę przywrócenia praworządności.
Fikcyjna likwidacja Izby Dyscyplinarnej poprzez zmianę jej nazwy na Izbę Odpowiedzialności Zawodowej, z tymi samymi wadliwie powołanymi sędziami, już w strukturach Sądu Najwyższego – nie realizuje zalecenia likwidacji ID.
Przywrócenie do pracy jedynie Pawła Juszczyszyna nie realizuje zalecenia umożliwienia przywrócenia do pracy pozostałych sześciu aktualnie zawieszonych przez ID sędziów.
Dalsze obowiązywanie „ustawy kagańcowej” i brak realnych projektów zmiany przepisów nie realizuje zalecenia zmiany systemu odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów.
Myślę więc, że Komisja Europejska nie da się przekonać. ●

*Beata Morawiec

● absolwentka Wydziału Prawa i Administracji UJ, w latach 2015-17 prezeska Sądu Okręgowego w Krakowie. Odwołana pod koniec listopada 2017 bez podania przyczyn. Ministerstwo w komunikacie powiązało jej odwołanie z zatrzymaniem tego samego dnia przez CBA m.in. dyrektora Sądu Okręgowego w Krakowie. Morawiec miała zle sprawować nadzór nad dyrektorem sądu.

● Morawiec jest prezeską Stowarzyszenia Sędziów „Themis”, w 2019 „Dziennik Gazeta Prawna” uznał ją za 26. najbardziej wpływową prawniczkę roku, a w 2020 – 29. (za każdym razem ex aequo z Krystianem Markiewiczem) za zaangażowanie w protestach przeciwko zmianom w sądownictwie w Polsce.



FOT. ADAM STĘPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pierwszy raz się zdarzyło, że temat dostałem mailem. W swojej wiadomości pani Hanna pisze: „Późną jesienią, zimą i wczesną wiosną nie daje się uciec przed widokiem drzew obwieszonych gronami jemioli. Nie mogę na to patrzeć”. Co się stało, że jemiolę nagle widać wszędzie, jak okiem sięgnąć – we wsiach, miastach, miasteczkach, a nawet w lasach?

Zanim widok zaczął budzić niepokój, jemiola była rośliną stosowaną szeroko w medycynie ludowej i wywoływała jednoznacznie pozytywne skojarzenia. Uważano, że ma wielką moc, dlatego druidzi celtyccy zbierali ją w dzień zimowego przesilenia. Może pamiętają państwo, że w „Astriksie” jednym z najważniejszych składników napoju magicznego druida Panoramiksa była właśnie jemiola. W wielu kulturach była też poprzedniczką świątecznej choinki. Jemiola miała przynosić szczęście i dostatek, a zwyczaj całowania się pod nią gwarantował długi i udany związek. Napary sporządzane z liści i pędów stosuje się wciąż w regulowaniu ciśnienia krwi i przemiany materii.

Jak wiemy z „Ptaków” Hitchcocka, wszystko, co mile, w masie może być przerażające. Skąd w ogóle inwazja jemioli? Za jej sukces odpowiedzialni jesteśmy my sami, a konkretnie zmiany klimatyczne. Jemiole sprzyjają podnosząca się temperatura i słabe, krótkie zimy. Jest rośliną ciepłolubną i światłozadną. Kielkuje w koronach drzew i za pomocą haustoriów, czyli przekształconych korzeni, wysysa z nich sole mineralne, substancje odżywcze, a przede wszystkim wodę. Ogromne ilości wody. Jemiola jest rozrutna i nie zamyka w czasie suszy aparatów szparkowych, przez które para wodna wydostaje się na zewnątrz. W rezultacie drzewa usychają, ale jemiola może żyć na rachunek drzewa nawet 30 lat.

Wyznanie pani Hanny przypomniało mi, jak w styczniu ubiegłego roku wybrałem się z kolegą do Puszczy Kampinoskiej. Spadł akurat pierwszy śnieg, zaledwie przygrywka przed wspaniałą lutową zimą jak za dawnych lat. Chodziliśmy po sosnowym lesie i w tej uroczystej ciszy słyhać było tylko gderliwe terkoty paszkotów – ptaki były wszędzie. Ten duży brązowy drozd z czarno plamkowaną pierśią przepada za jemiolą, nie bez powodu nazywany był jemioluchą. Zimą koczuje zwykle przy oblepionych zielonymi kulami drzewach i wzięcie przepędza przysiadające w pobliżu ptaki. W kategorii „miłośnicy jemioli” może

PLANETA ZWIERZĄT, CZASAMI LUDZI

POCAŁUNEK ŚMIERCI POD JEMIOŁĄ

Morderca drzew pojawia się wszędzie, a miał zwiastować szczęście i dostatek. To skutek przemian klimatycznych

Stanisław Lubiński

z nim konkurować chyba tylko jemioluszka. Oba gatunki zjadają białe jagody jemioli i już po kilku minutach wydają nasiona otoczone śluzem, który łatwo przylepia się do gałęzi i pni drzew.

Wtedy właśnie, w zaśniężonym Kampinosie, pierwszy raz widziałem jemiolę na sośnie. Brzmi trochę jak gruska na wierzbie, ale od kilku lat taki widok na Mazowszu, w monokulturach lasów gospodarczych, nie jest sensacją. W Polsce spotykamy trzy wyspecjalizowane podgatunki jemioli: typową, rozwijającą się na drzewach liściastych, a także sosnową i jodłową. Najwięcej jemioli rośnie tam, gdzie jest najcieplej – na zachodzie, w centrum i na południu kraju, ale wszystko wskazuje na to, że inwazja nie ominie również północy i wschodu.

Jemiola to utrapienie leśników. Na stronach Lasów Państwowych przeczytamy, że „dbanie o nasze wspólne dobro, jakim jest las, oraz zachowanie go dla przyszłych pokoleń stanowi wyzwanie i zobowiązuje nas do podejmowania działań, które ograniczą rozprzestrzenianie się jemioli”. Patetyczna puenta wydaje się nieco przesadzona, bo zaatakowany przez jemiolę las przecież nie zniknie, a raczej przebuduje

się i odrodzi. To, co jest jednak niepokojące, to bez wątpienia fakt, że jemiola może prowadzić do obniżenia jakości, a więc i wartości drewna, a nawet do zamierania drzew. Trudno na taki proces i spodziewane straty w lasach gospodarczych patrzeć bezczynnym.

Oczywiście trudno mieć do jemioli pretensje, roślina zachowuje się zupełnie naturalnie – kiedy warunki jej sprzyjają, rozmnaża się i kolonizuje kolejne tereny. Profesor Grzegorz Iszkulo z Instytutu Dendrologii PAN i Uniwersytetu Zielonogórskiego porównuje ją do Robin Hooda. Jemiola zabiera bogatym i oddaje biednym. Bogaczami są w lesie drzewa – to one mają monopol na energię słoneczną i sięgają korzeniami głęboko po składniki mineralne i wodę. Biedne są rośliny runa – wiecznie w cieniu olbrzymów. Za sprawą jemioli drzewa jednak słabną, z czasem tracą gałęzie i konary, a to tworzy w koronach luki i przepuszcza światło do niższych pięter roślinności. Dodatkowo liście jemioli, pełne składników odżywczych, znakomicie nawożą dno lasu. I oczywiście paszkot się cieszy.

„W przypadku stwierdzenia występowania jemioli jedyną skuteczną metodą walki z tym półpaszożytem jest usuwanie opasnianych drzew” – czytamy na stronie Re-

gionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie. No właśnie, czy jedynie wycinka może uratować lasy gospodarcze? Jemiolę na sośnie zauważamy, kiedy jest już dobrze rozwinięta, czasem po kilku sezonach. Usuwanie drzew będzie prześwieślało las i tworzyło sprzyjające warunki do kiełkowania nasion pokrywających sąsiadujące drzewa. Walka z jemiolą nie jest łatwa, wszystkie znane metody mają pewne wady, są dość pracochłonne i na ogół niezbyt tanie. Niemniej w miastach, w przypadku drzew parkowych, przyulicznych czy pomników przyrody, taka inwestycja z pewno-ścią się opłaci.

Najprostszym sposobem pozbywania się jemioli jest oczywiście jej zrywanie albo ścinanie. Roślina odrośnie, ale przez jakiś czas jej wpływ na drzewo będzie dużo mniejszy. Skuteczniejszą metodą jest ścinanie gałęzi, na której wyrasta jemiola, sytuacja robi się jednak bardziej skomplikowana, kiedy zielona kula sterczy z dużego konaru albo pnia. W ranę po cięciu mogą wnikać grzyby i wtedy nasza kuracja będzie przypominała leczenie dżumy cholery. Duży konar miewa duże znaczenie dla całej statyki drzewa, usunięcie go może spowodować, że reszta przewróci się lub złamie przy jakiejś większej wichurze. Skuteczną metodą jest ścinanie jemioli i obwiązywanie miejsca, z którego wyrosła, ciemną włókniną ogrodniczą. Jemiola fotosyntezuje, potrzebuje dostępu do światła, bez niego w ciągu dwóch, trzech lat obumrze.

W Ameryce Północnej do zwalczania jemioli wykorzystuje się opryski chemiczne z popularnych w rolnictwie herbicydów, m.in. roundup, a także kwas 2,4-dichlorofenoksyoctowy, wynaleziony jako bojowy środek służący do niszczenia roślinności i masowo stosowany podczas wojny wietnamskiej. Stosowany w dawkach uznawanych za bezpieczne (brzmi to przerażająco względnie) nie niszczy części jemioli znajdujących się wewnątrz drzewa. Roślina po prostu odrośnie. Trzeba też zaznaczyć, że opryski chemiczne na dużą skalę mogłyby mieć katastrofalne skutki dla całego ekosystemu leśnego. A gdyby tak, jak proponuje prof. Iszkulo, tam, gdzie nie trzeba, w rezerwach i parkach narodowych, wcale nie walczyć z jemiolą? O podobne podejście apelowali naukowcy w Puszczy Białowieskiej, kiedy minister Szyszko upierał się, by wycinać porażone przez kornika fragmenty lasu. Może w takich szczególnych miejscach potraktować jemiolę jako sprzymierzeńca, który pozwoli przyrodzie zdecydować, w jakim kształcie odrodzi się las? ●

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



POŁĄCZYŁY NAS CZYLI MOTYLE

Z **RADKIEM RAKIEM**, PISARZEM I WETERYNARZEM, LAUREATEM NAGRODY LITERACKIEJ „NIKE” (2020), ROZMAWIA **MICHAŁ NOGAŚ**

Zacznijmy od ostatnich stron twojej nowej powieści. Piszesz do czytelników w podziękowaniach: „Mam nadzieję, że nie pogńiewacie się na mnie za to, że »Aglą« bardzo różni się od innych rzeczy, które napisałem”. Skąd potrzeba tego zastrzeżenia?

– Podejrzewam, że osoby, które znają moje poprzednie książki, a zwłaszcza „Baśń o węzowym sercu”, mogły się po mnie spodziewać czegoś zgoła innego. Przeważnie twórcy literatury gatunkowej z czasem próbują jakoś się wydostać poza. U mnie, jak zwykle, wszystko jest na odwrót. Do pisania literatury czysto gatunkowej musiałem po prostu dojrzeć – i w końcu napisałem „Aglę”.

Przez całe życie słyszałem, że pisanie fantasy jest rzeczą prostą. Głęboko się z tą narracją nie zgadzałem, czułem, że chciałbym stworzyć książkę, która zawierałaby w sobie to, co w tym gatunku najistotniejsze, próbowałaby się uporać z mitami, tematem duchowości. Czekalem, bo byłem przekonany, że jestem za młody, zbyt mało wiem, zbyt mało książek przeczytałem, zbyt mało się jeszcze w moim życiu wydarzyło, bym był gotowy do całkowitego zanurzenia się w fantastykę i stworzenia – na szerokim oddechu – wielkiej opowieści. Aż w końcu uznałem, że to już.

Tak nagle, z dnia na dzień?

– Po „Baśni o węzowym sercu” zostałem zaproszony na warsztaty literackie organizowane w Arktyce przez fundację Identitas. Pojechałem tam ze skaczącym z radości sercem – zawsze marzyłem o wizycie w tym miejscu.

Z kilkoma innymi osobami zajmującymi się szeroko pojętą kulturą i sztuką zna-

Każdy przechodzi w swoim życiu przez stadium zbliżone do poczwarki, takiej pozornej śmierci. Sam doświadczyłem czegoś takiego przynajmniej trzy razy, za każdym razem stając się kimś zupełnie innym.

leżyliśmy się na jednej z wysp archipelagu na północy Norwegii. Wokół było czarno, biało i niebiesko, niewiele ponad to. Ponieważ większość uczestników dyskutowała na bieżące tematy polityczne, które były, owszem, istotne, ale ja się w takich rozmowach zupełnie nie odnajdywałem, zacząłem wychodzić na samotne spacer. Na dalekie, samotne wyprawy mi nie pozwalano – w końcu to Arktyka – ale mogłem przechadzać się do miejsca, do którego przybija prom, i między budynkami bazy, przebywać w pustych pomieszczeniach. To wtedy wyklarował się w mojej głowie pomysł na „Aglę”, sam tekst zacząłem pisać nieco wcześniej, ale odłożyłem z przekonaniem, że musi we mnie dojrzeć. Wiedziałem, że Sofja Kluk, główna bohaterka, w pewnym momencie spotka Maję Uludę, czarodziejkę, mistrzynię Wielkiej Gnozy. Ale co dalej?

W Arktyce wszystko się odblokowało, opowieść nabrała kształtów. Biel, szarość, czerń, cisza przemówiły do mnie. Zrozumiałem, dlaczego w krajach skandynawskich powstaje tak wiele dobrej muzyki, także metalowej, której słuchałem namiętnie jako młody chłopak. W śpiewie oceanu usłyszałem black metal.

Gdy wróciłem do Polski, „Aglą” pisała się już sama. Jest opowieścią o podróży na Północ, o poszukiwaniu wolności.

Dlaczego właśnie wolność zdała ci się ważnym tematem?

– Przez wiele, wiele lat moje życie było poruszaniem się pomiędzy różnymi koniecznościami, o niewielu sprawach sam w rze-

czywistości mogłem decydować. Dlatego zadałem sobie pytanie: „Czego potrzebuję, by tę wolność w sobie znaleźć, czym ona powinna dla mnie być? Czy w ogóle jest możliwa?”. Do tej pory miałem raczej wrażenie, że życie polega na próbach utrzymania się na powierzchni, przeżyciu od pierwszego do pierwszego, na radzeniu sobie z trudnymi relacjami z innymi ludźmi. Świat, który mnie otaczał, uczelnia, praca, to wszystko jawiło mi się jako wrogi, nieprzyjazny. Wypełniałem obowiązki, robiłem to, co do mnie należało, by przeżyć. Ale nie czułem się człowiekiem wolnym. Dopiero w pewnym momencie wszystko to zaczęło się odwracać – i właśnie wtedy przyszedł czas na „Aglę”.

Wydarzyło się coś, co nazwałbyś przełomem?

– Nie ma tu sensu udawać – zwyczajnie dotarłem do takiego momentu w życiu, w którym dzięki jednej czy drugiej pracy mogłem się ustabilizować, uznałem, że nie muszę się martwić o to, czy w przyszłym miesiącu będę miał gdzie mieszkać, czy będę mnie stać na dentystę, czy będę w stanie pomóc swoim bliskim.

Wykonuję dwa zawody dające mi wiele radości i satysfakcji. Ale wiem też, że gdyby okoliczności mnie do tego zmusiły, podjąłbym się innych zajęć, by – wraz z bliskimi – przetrwać. Mam za sobą różne mało przyjemne doświadczenia, a jednak wciąż żyję, jestem. To chyba dość mocno łączy mnie z Sofją Kluk. Oczywiście, jej przydarzają się rzeczy o wiele gorsze, ale

też znam uczucie utraty, zawieszenia, niestabilności.

Nigdy nie byłem młodą, dojrzewającą dziewczyną, nigdy nie miałem i raczej nie będę miał takiego charakteru jak Sofja. Zdecydowałem się w „Agli” na test własnych umiejętności pisarskich: czy będę w stanie tak głęboko wnikać w odczucia, myśli, zachowanie innej osoby? Czy patrzenie na świat oczami kobiety mi się uda? Wydaje mi się, że przeszedłem tę próbę dość sprawnie, w wielu momentach doskonale się z Sofją rozumieliśmy, choć niejednokrotnie potrafiła mnie zaskoczyć. Uciekała mi znacznie bardziej niż wszyscy dotychczasowi bohaterowie – robiła rzeczy, o które jej nie podejrzewałem, nawiązywała relacje, których nie planowałem, cudownie było patrzeć, jak wybija się na niepodległość, staje się wolną osobą. Nie chciała być marionetką, i to już od pierwszej sceny, w której – w zastępstwie ojca – egzaminuje studenta.

Pisanie „Agli” to była jazda bez trzymanki. Miałem z początku szerokie plany rozpisane na całość powieści, ale gdy dziś na te notatki patrzę, bardzo mnie bawią. Właściwie tylko początkowe sceny zgadzają się z założeniami, wiem też, do jakiego zakończenia dążę, co chcę czytelnikowi opowiedzieć. Ale środek powieści – a będzie to trylogia, „Aglą. Alef” to dopiero początek tej przygody – to podróż wieloma równoległymi ścieżkami, czasem objawiającymi się po napisaniu konkretnego zdania. Co jakiś czas zbieram w jednym miejscu to wszystko, czego się już o bohaterach dowiedziałem, żeby się w tym wciąż rozbudowującym się świecie nie pogubić. Po raz pierwszy w końcu piszę książkę, którą można czytać wyłącznie na poziomie fabularnym – jako przygodową, młodzieżową powieść – bez konieczności sięgania do analogii, licznych nawiązań, różnorodnych koncepcji naukowych. Ta powierzchowność tekstu, być może zwodnicza, w ogóle mi nie przeszkadza. To jak z „Terrorem” Dana Si-

monsa – czytelnik może tę powieść odbierać jako historię marynarzy siedzących na dalekiej, skutej lodem Północy, ale może również znaleźć w niej opowieść o radzeniu sobie z własnymi demonami, alkoholizmem, pełną nawiązań do myśli wybitnych filozofów. Tak samo jest choćby w przypadku „Moby Dicka”.

Chciałem w końcu napisać taką książkę, która będzie atrakcyjna nie tylko na poziomie fabularnym, ale też na tym kolejnym – o ile czytelnik zechce zejść nieco głębiej.

Głębiej, czyli w jakie rejony?

– Poza historią czysto przygodową „Aglą” oparta jest na dwóch filarach.

Pierwszy z nich to temat przeobrażenia, holometabolii. To dlatego Sofja jest córką wykładowcy entomognozy, doktora od robaków i owadów, które przechodzą przeobrażenie zupełne. Od zawsze mnie to fascynowało. Na początku trzeciej dekady XXI wieku nadal nie mamy pewności, w jaki sposób zachodzi holometabolia, nie do końca znamy nawet biochemiczny mechanizm tego procesu. Gdybyśmy do tej wiedzy w końcu dotarli, być może dowiedzieliśmy się, jak dokładnie przebiegała ewolucja? Inna sprawa, że takie badania są już dziś w zasadzie nieopłacalne. Z wielu powodów cieszę się, że od lat nie mam już praktycznie żadnego kontaktu ze środowiskiem akademickim.

Ale są też inne ważne pytania: a może my, jako ludzie, też przechodzimy przeobrażenia, które następują w zupełnie inny sposób? Wydaje mi się, że każdy przechodzi w swoim życiu przez stadium zbliżone do stadium poczwarki, takiej pozornej śmierci. Sam doświadczyłem czegoś takiego przynajmniej trzy razy, za każdym razem stając się kimś zupełnie innym.

A drugi filar to eksperyment myślowy. Sporo zastanawiałem się nad tym, co by było, gdy to gnoza – a nie chrześcijaństwo – stała się dominującym kierunkiem myślowym w kulturze Zachodu. Jakimi byłibyśmy dziś ludźmi? Co ja sam bym myślał, gdyby ukształtowała mnie gnoza. Bo przecież jest ona przeświadczeniem, że człowiek do świata nie pasuje, że jest on dla niego miejscem obcym i nigdy nie przydarzy mu się w życiu moment, w którym poczuje się na świecie jak u siebie, nie zadamowi się. Najpewniej nie ma żadnego świata, do którego by pasował. Co wtedy?

To przeświadczenie, że świat jest człowiekowi ogólnie nieprzychylny, pojawiło się już w „Baśni o wężowym sercu” w postaci Złego Człowieka, było jednak jeszcze nieuświadomione, nie potrafiłem go chyba odpowiednio wyartykułować. Byłem jeszcze zresztą przed lekturą „Religii Gnozy” Hansa Jonasa, która wiele mi w głowie rozjaśniła.

Wspominam też w podziękowaniach o Robercie Pucku, o jego trzech książkach, przede wszystkim o „Senniku ciem i motyli”. Bo to także gnoza. Z panem Robertem miałem zresztą przyjemność nawiązać znajomość – leczyłem psa jego przyjaciółki. Zaczęliśmy z Puckiem do siebie dzwonić, rozmawiać, trochę jak ludzie, którzy nie do końca się rozumieją, ale lubią i szanują. On gnostyk, ja człowiek z arystotelicznym podejściem do rzeczywistości i prawdy, a jednak – w związku z holometabolią – połączyły nas ćmy, motyle i inne owady.

Książkę, w której przyglądasz się gnozie, miejscu człowieka w świecie, ukryłeś jednak pod pierwszą warstwą – powieści przygodowej. Jak byś nazwał świat, w którym żyją Sofja Kluk i inni bohaterowie „Agli”?

– Jest to oczywiście nasz świat, tylko zupełnie inny. Tak jak Śródziemie u Tolkiena. Pamiętam, że gdy czytałem po raz pierwszy „Władcę Pierścieni”, uderzyło mnie nagle, że hobbici widzieli te same gwiazdy, na które ja tego dnia spoglądałem przed własnym domem. To była chwila, w której poczułem, że świat z Tolkiena jest jednocześnie moim i że mogę się w nim bezpiecznie zadamować.

Akcja „Agli” dzieje się na początku XXI wieku, ale realia społeczne, technologicie, z których korzystają bohaterowie, to jednocześnie przeszłość i przyszłość.

Świat powieści poznawałem razem z Sofją. Powoli dowiadywałem się, kim jest Car, dlaczego rewolucja proletariatu, o której wspominają bohaterowie, została stłumiona, co sprawiło, że próba odtworzenia rzeczywistości kapitalistycznej czy postkapitalistycznej spaliła na panewce. Były też inne pytania: dlaczego wszystkim rządzi Bezpieka, dlaczego wszyscy – niejako bezwolnie – poddają się Carowi?

Co by było, gdy to gnoza – a nie chrześcijaństwo – stała się dominującym kierunkiem myślowym w kulturze Zachodu.

Jakimi bylibyśmy dziś ludźmi?

Rzeczywistość, w której żyje Sofja, jest więzieniem – podobnie jak więzieniem jest świat w wizji gnostycznej. Wszyscy jesteśmy spętani narzuconymi regułami, nad których sensem na co dzień nawet się nie zastanawiamy, podobnie zachowują się bohaterowie „Agli” – nie rozmyślają nad tym, dlaczego od dawna panuje Car na Hradzie, dlaczego karą za ewentualne nieposłuszeństwo jest zsyłka do łagru. Maja Uluda, czarodziejka, mówi wprost, że są takie sprawy, o których należy wiedzieć, ale nie należy o nich rozmyślać – jak Car czy śmierć.

Opresyjność świata opisanego w „Agli” ujawniała mi się bardzo powoli i pomimo że jest wrogi bohaterom, chciałem, by mieli w nim bezpieczne miejsca – a wraz z nimi czytelnik. Choćby Akademię, pierwszy dom Sofji, czy Dom pod Bazyliżkiem, schronienie, którego udzieliła jej Maja Uluda, gdy stało się jasne, że ojciec – doktor Kluk – raczej zbyt szybko nie wróci z wyprawy, przynajmniej oficjalnie naukowej, do Liwonii. Wydało mi się oczywiste, że w opowieści musi panować wewnętrzna równowaga, tak by nadmiar czerni nie przytłaczał, by co jakiś czas pojawiało się światło. Zupełnie jak w codziennym życiu, tu i teraz.

Zacząłem to wszystko rozumieć podczas pisania książki, bo jestem tak skonstruowany, że zwykle niewiele do mnie dociera. Dopiero gdy coś opiszę, przyswajam. Ponieważ dzielę z Sofją wiele doświadczeń, ta książka okazała się też dla mnie, co zaskakujące, podróżą w głąb siebie ukrytą pod pierwszą warstwą opowieści mocno przygodowej.

Nietrudno się zorientować, skąd pomysł na Tybil, państwo-miasto, w którym dorasta Sofja. Są w nim: Stare Miasto, Bazylika, Bracka, Wielka Huta, Planty, nad całością króluje Hrad spowity we mgłę.

– A może raczej w smogu?

Długo i starannie przygotowywałem się do własnego opisanie Krakowa, bo właściwie każdy kamień tego miasta trafił już do literatury. Mieszkalem w różnych miejscach, od Starego Miasta po Nową Hutę, i miałem wrażenie, że wszędzie potykam się o zasłyszane już opowieści.

Wiedziałem jednak od samego początku, że nigdy nie opiszę tego miasta tak wspaniale jak Wit Szostak w swojej trylogii, doszedłem zatem do wniosku, że miejsca, które znam, ludzi, których spotkałem,

umieszczę po prostu w zupełnie innych kontekstach i w zupełnie innej rzeczywistości.

Kraków jako Tybil jest o wiele bardziej kolorowy niż w rzeczywistości. Przez lata to miasto jawiło mi się wyłącznie jako brzydkie, śmierdzące, szare, z przekroczonymi w jesienne wieczory wszelkimi normami jakości powietrza. Wawel w smogu, niewyremontowany Szkieletor, dawna siedziba NOT-u, to wszystko były moje ścieżki, wiedziałem, że muszę te miejsca umieścić w książce, być może stworzyć na ich temat własne legendy. Któregoś dnia Wit Szo-

stak zabrał mnie na plac Wszystkich Świętych i pokazał okna z witrażami według projektu Wyspiańskiego. Pierwotnie miały się znaleźć w kościele Franciszkanów, ale tego projektu nigdy nie zrealizowano. Na jednym z witraży ukazany jest grobowiec Kazimierza Wielkiego i on sam taki, jakim go Wyspiański zobaczył po otwarciu sarkofagu. To król-szkielet dzierżący insygnia władzy. To był też jeden z momentów, gdy „Aglą” zaczęła rodzić się w mojej głowie – zacząłem się zastanawiać, co by było, gdyby taki monarcha władał Krakowem.

Skoro mowa o inspiracjach, duży wpływ na powstanie tej książki miała pandemia. To był – nie tylko dla mnie – czas bardzo dziwny. Przez puste miasto szedłem do kliniki, gdzie czekało na mnie trzy razy więcej pacjentów niż wcześniej. Nigdy nie byłem i na pewno nie stanę się wyznawcą jakichś spiskowych teorii, ale miałem wówczas poczucie, że wszystko to, co się nam przytrafia, nie ma nic wspólnego ze znanym nam porządkiem. A potem doszły jeszcze wydarzenia polityczne, przede wszystkim wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy aborcyjnej.

Mam wrażenie, że ostatnie dwa lata mocno przybliżyły nas do świata opisanego przeze mnie w „Agli”, świata Cara i Bezpieki. Zastanawia mnie, dlaczego tak wiele osób godzi się na oddanie wolności w imię złudnego poczucia bezpieczeństwa. To ślepa ścieżka, wolność łatwo się traci, a bezpieczni i tak raczej nie będą. Są w życiu rzeczy, których za nic nie należy oddawać czy przehandlowywać.

W „Agli” pełno jest postaci fantastycznych: czarodziejki, gobliny – stwory przypominające kamienie, raki, które czasem związują się z ludźmi, choć na co dzień są mocno odrażające, po ulicach jeżdżą nowoczesne dorożki – smrtły, a pod ziemią równie nowoczesny pociąg

Gdy czytałem po raz pierwszy „Władcę Pierścieni”, uderzyło mnie nagle,

że hobbici widzieli te same gwiazdy,

na które ja tego dnia spoglądałem przed własnym domem

– drah, z przeszłości wylania się wielki owadzi potwór. Jest to świat niechrześcijański, choć obok gnostyków funkcjonują w nim Jomowie, których dzielnica czy też getto może przypominać żydowski Kazimierz.

– Tak, Jomowie nie są Żydami, bo to zupełnie inny świat, choć pewne analogie nasuują się w oczywisty sposób. Ale skoro już o tym rozmawiamy, przyznam ci się, że właściwie od zawsze dziwiło mnie, że nie ma Żydów w literaturze fantastycznej. Gdy grałem ze znajomymi w RPG, oczywiście

w wersji tradycyjnej, często tworzyłem żydowskie postacie, co było niebywale inspirowujące.

Jomom udaje się unikać pogromów, mieszkają ze sobą, rozmnażają się, dbają o ciągłość. Sama ich liczba powstrzymuje innych przed dokonaniem ludobójstwa. Ciekawe zresztą, że w świecie „Agli”, mimo całej jego opresyjności, nie ma żadnych wojen między narodami, więcej – nie ma w nim żadnych państw narodowych! Nie ma w nim też Polski, co mnie zastanawiało przez długi czas i dopiero żona uświadomiła mi, że powód jest prosty. Nie ma chrześcijaństwa, nie ma więc i Polski takiej, jaką znamy.

Świat bez Polski. Odważnie.

– Nieraz już tak bywało. „Aglą” nie jest książką, która odmienia Polskę przez wszystkie przypadki. Po „Baśni o wężowym sercu” byłem już nią – ujętą w nawias – nieco zmęczony.

„Aglą” to, jak sam przyznajesz, książka o przepoczwarzaniu się, przemianie. Na oczach czytelnika Sofja staje się kobietą, odkrywa własną cielesność i seksualność, również nieheteronormatywność.

– Gdy zaczynałem pisać Aglę, nie miałem pojęcia, że główna bohaterka będzie osobą nieheteronormatywną, ona zresztą również nie. Po raz pierwszy zacząłem się nad tym zastanawiać przy pisaniu sceny spotkania Sofji z czarodziejką Mają Uludą, która spodobała się jej jako kobieta właśnie. Pozwoliłem jej kochać, kogo chce, iść własną drogą, moim zadaniem – autora tej historii – było wiernie za nią podążać. Przyznaję – z początku byłem nieco zaskoczony. Ale czy to w ogóle moja sprawa, że Sofji podobają się kobiety? Podkreślanie nieheteronormatywności, ukazywanie jej jako czegoś niezwykłego, jest szkodliwe i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością oraz tym, co wiemy dzięki nauce. Ona taka jest i nikomu nic do tego.

Brakowało mi, gdy byłem młody, książek, które poruszałyby tematy dojrzewania, odkrywania własnej seksualności w taki sposób, by nie wprowadzać czytelnika w stan zażenowania albo by dominujący nie okazywał się przekaz prawicowo-katolicko-narodowy. Chciałem w „Agli” uniknąć tych wszystkich rzeczy, zamarzyła mi się książka normalna, pokazująca młodych ludzi – Sofję i dwójkę jej przyjaciół, Chiarę i Haruna – w sposób prawdziwy, nieprzerysowany. Zachowują się jak wszystkie nastolatki, są pełni szaleństwa i wątpliwości, eksperymentują. To jedna z wielu bolączek literatury fantastycznej – nawet gdy już pojawią się w niej silne bohaterki, to nikt nie zastanawia się nad tym, że gdy wyruszą w podróż, prędzej czy później będą miały okres. Skoro już zdecydowałem się na uczynienie z Sofji głównej bohaterki, musiałem rzetelnie opisać jej dojrzewanie, problemy, pierwsze miłości. Jeszcze przed premierą „Aglę” czytały młode nieheteronormatywne kobiety. Odzew był pozytywny, odetchnąłem więc z ulgą.

„Aglą”, jak wspomniałeś, będzie trylogią. Tytuł serii zaczerpnąłeś z kabaly, to skrót od zaklęcia „AiethGadolLeolamAdonai” („Pan jest wielki na wieki wieków”). Podtytuł „Alef” to z kolei pierwsza, otwierająca alfabet hebrajski litera, u mistyków judaizmu symbolizująca jedność oraz nieskończoność, także Boga. Wiele tu odniesień do religii monoteistycznej, choć przecież przede wszystkim opisujesz świat, w którym triumfuje gnoza. Czy wiesz już, co wydarzy się w kolejnych tomach?

– Myślę o „Agli” jako jednej powieści, ale zbyt długiej, by zmieściła się w jednej książce. Sam pierwszy tom ma 640 stron. Nie będą to osobne historie – wszystko będzie się koncentrować wokół Sofji. Zgodnie z decyzją Bezpieki wyruszy na Północ, będzie próbowała odnaleźć ojca, ale przede wszystkim zachować wolność, najcenniejszy ze stanów. ●

KLEJ SERDECZNY

Jest specyficzny kult wdzięczności w niektórych rodzinach. Za herbatę, za kanapkę, za cokolwiek.

Z DR **MAGDALENA NOWICKA**, PSYCHOLOŻKĄ I PSYCHOTERAPEUTKĄ, ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

W Warszawie odbył się uroczysty przemarsz „Przyjaciele, dziękujemy. Ukraińcy – Polakom”. Nasza rzeczywistość wypełniła się wdzięcznością. – Badacze zajmujący się tym zjawiskiem podkreślają, że jest ona jednym z ważniejszych sposobów na budowanie relacji społecznych. Tworzy więzi. Jest klejem życia społecznego – widzimy to w tej chwili na przykładzie tego, co się dzieje między Polską a Ukrainą. Buduje zaufanie, powoduje, że ludzie są w stanie ze sobą współpracować. Może być emocją, może być specyficzną postawą życiową, którą psycholog Robert Emmons, intensywnie zajmujący się wdzięcznością, definiuje jako doceniającą przede wszystkim zdrowy styl życia. W kulturze europejskiej wdzięczność jest zakorzeniona: w mitach, bajkach, przekazach, w tradycji chrześcijańskiej.

To prawda, że baśnie są oparte na wdzięczności i wzajemności: jabłonka da jabłka z sadu, bo wcześniej bohater podlał ją wodą...

– Dokładnie tak. Dlatego jest obecna w naszych schematach myślenia i reagowania. Oczekuje jej się, ale także się ją daje.

Cytatów o wdzięczności jest prawie tyle samo, ile o miłości. Kubaś Puchatek: „Prosiaczek zauważył, że nawet jeśli miał bardzo małe serce, mogło ono zawierać dość dużą ilość wdzięczności”. Jak wdzięczność ma się do słynnej reguły wzajemności?

– Reguła wzajemności często wynika z wdzięczności, choć nie musi. Pamiętajmy, że oprócz wdzięczności rozumianej w kontekście emocji są normy i reguły życia społecznego, które na nas mocno wpływają. To, że ktoś mówi: „jestem wdzięczny” czy „postaram się pomóc w podobnej sytuacji”, wcale nie oznacza przeżywania wdzięczności na poziomie emocji związanych z empatią. Niektórzy badacze mówią, że mamy dwie wdzięczności: tę nazwijmy ją bardziej oficjalną, rozumianą jako postawę wynikającą z dostosowania się do reguł życia społecznego, jako swoisty realny rewanż, i tę drugą – uczucie, które się przeżywa gdzieś głęboko i prawdziwie. Wydaje się, że nie każdy jest w stanie wdzięczność odczuwać.

Wtedy nazywamy go egoistą?
– Niekoniecznie. Egoista to ktoś, kto dokonuje dosyć świadome-

go wyboru pomiędzy postawą wdzięczności a niewdzięczności. Myślę raczej o ludziach, którym udzielamy teraz pomocy i zmagamy się z ich problemami, stanami psychicznymi, które mocno utrudniają okazywanie wdzięczności. Doświadczanie PTSD, bycie w sytuacji stresu przez dłuższy czas to są stany, które mogą zamrażać emocjonalnie. Bywa, że dysocjacja emocjonalna jest formą mechanizmu obronnego, przetrwania w sytuacji traumy. Jeśli oczekujemy wdzięczności od osoby, która ucieka przed wojną, te ciężkie doświadczenia mogą być barierą do jej okazywania. Nie doświadczamy bowiem emocji w sposób wyizolowany, one są konsekwencją tych uczuć, które były przeżywane przed chwilą. Trudno więc się przestawić z trybu „przetrwanie” na tryb „wdzięczność”. Od jednej z pacjentek słyszałam właśnie taką historię „odroczonej wdzięczności”. Przyjmowała rodzinę uchodźców z Ukrainy. Po dłuższym czasie zaczęła się bać, ponieważ nie widziała w tych ludziach żadnych emocji. Widziała jednostki zamrożone, aemocjonalne. Ale doczekała się sygnału od nich. Wdzięczność pojawiła się po jakimś czasie i było to o tyle piękne, że ci ludzie zrobili coś, co aktualnie trafiało w jej potrzeby. Remont. Była im za to bardzo... wdzięczna.

No właśnie, to też jest chyba sztuka, żeby utrafić w potrzeby osoby, której chcemy się odwdzięczyć.

– Bo też wdzięczność nie jest zwykłą reakcją na bodziec. Wspomniany Robert Emmons wyznał kiedyś: nie spodziewałem się, że to tak skomplikowany proces. Bardzo często wdzięczność wymaga czasu. Jest też takim rodzajem doświadczenia, które jest w stanie dokonać wymiernych zmian w ludzkim życiu. Jeśli jest realna i prawdziwa – ma siłę zmiany sytuacji osoby, której się rzeczywiście odwdzięczamy. Przypominam sobie teraz jedną z moich pacjentek, która poczuła ogromny wstyd, ponieważ pewnego dnia wyrzuciła cioci brak wdzięczności. Cho-

dziło o to, że ona jej pomagała, ale nie doczekała się ze strony starszej pani żadnej reakcji. Ciocia z płaczem odpowiedziała: „Przecież się codziennie za ciebie modliłam, żeby udał ci się twój ostatni projekt”. Dla mojej pacjentki było to trudne doświadczenie, bo musiała przyznać sama przed sobą, że wdzięczność widziała tylko i wyłącznie w wymiarze materialnym czy werbalnym. Tymczasem ma ona także wymiar duchowy.

Jeśli oczekujemy wdzięczności od osoby, która ucieka przed wojną, te ciężkie doświadczenia mogą być barierą do jej okazywania

Akcja społeczna Kulczyk Foundation, „Wysokich Obcasów” i Fundacji „Gazety Wyborczej”. Z uwagą i czułością przyglądamy się naszym relacjom – tym rodzinnym i tym z nami samymi – aby je uporządkować i z nową energią stworzyć świat po pandemii. Rozmawiamy o lękach, które towarzyszą wielu z nas, o podziale obowiązków i pomysłach na to, jak przygotować siebie i swoich najbliższych na nowy świat.

Chcemy tworzyć nową rzeczywistość. Chcemy rozmawiać o wolności kobiet w sferze świadomości, cielesności i bytu.

KULCZYK FOUNDATION

czułość wolność

Wdzięczność wymaga uznania swojej bezsilności. Pracownicy ośrodków pomocy dla cudzoziemców i wolontariusze mówią: bywa, że brak wdzięczności jest jedynym gestem z ich strony na pokazanie swojej autonomii i tożsamości, tego, że mają jeszcze na coś wpływ. Czy pani się z tym zgodzi?

– Istotnie, może się taki mechanizm pojawić. Aby być wdzięcznym, trzeba uznać, że w jakimś obszarze (czasem całego życia) jest się kompletnie bezradnym. Uznanie własnej bezsilności może mieć daleko idące konsekwencje w kontekście mechanizmów radzenia sobie. Ci, którzy chcą i muszą sobie radzić, często nie akceptują bezsilności, a więc wdzięczności. Natomiast bardzo ważne jest zachowanie równowagi w kontekście wdzięczności. Zbyt wielkie podziękowania czy wyrazy wdzięczności nieadekwatne do udzielonej pomocy mogą nie spaść, a wręcz odwrotnie – rozdzierać. Najlepiej, kiedy jest poczucie, że po obu stronach mamy podobne emocjonalne/materialne porcje dawania i brania.

Dobrostan psychiczny wynikający z poczucia wdzięczności robi zresztą teraz sporą karierę w nurcie tzw. psychologii pozytywnej. Mówi on o zgeneralizowanej wdzięczności wobec wszystkich doświadczeń życiowych, wszystkiego tego, co się w życiu spotyka. Wynika z badań, które mówią: ludzie, którzy są wdzięczni w sposób realny i prawdziwy, są po prostu szczęśliwsi. Lepiej radzą sobie w trudnych sytuacjach. Częściej w trudnych sytuacjach uzyskują coś, co się nazywa tzw. wzrostem potraumatycznym czy wzrostem pokrzyzowym. Wydają się bardziej wytrzymali na przeciwności losu. Stąd bardzo duża popularność tzw. praktyk wdzięczności.

Dla kogo jest praktykowanie wdzięczności?

– Jest to na pewno droga donikąd dla ludzi, którzy mają problem z doświadczaniem wdzięczności. Podobnie jak niektórzy ludzie nie czerpią satysfakcji z medytacji czy

mindfulness, bo po prostu to nie jest praktyka dla nich. Nie wyniosą nic z takiej praktyki wdzięczności ludzie, którzy doświadczają emocji w sposób bardzo płytki lub mało intensywny. Nie wyniosą z niej wiele ludzie racjonalni, przetwarzający świat poznawczo, a nie emocjonalnie.

W przypadku doświadczania wdzięczności mamy spore różnice płciowe. Kobiety częściej jej doświadczają. To wynika pewnie z różnic biologicznych – na przykład budowy mózgu, ale też poziomu hormonów oraz socjalizacji w rolach społecznych. Dla kogo na pewno jest praktykowanie wdzięczności? Dla ludzi, dla których ona ma wartość (nie wszyscy są/byli socjalizowani w poczuciu, że wdzięczność jest ważna), którzy potrafią dostrzec i zrozumieć emocje osoby, która daje. Doceniać czystość tych emocji, poświęcenie, współodczuwanie. Proszę zauważyć, że nie jesteśmy wdzięczni, kiedy ktoś nam rzuca pieniądze, robi dziwną minę i jest niedostępny emocjonalnie. Inaczej jest w przypadku, kiedy widzimy na twarzy jakąś formę współczucia, współodczuwania. Warunkiem wdzięczności jest przekonanie, że ktoś rozumie sytuację osoby potrzebującej pomocy. Praktykowanie wdzięczności wpływa na wzrost poziomu empatii, dlatego ważne jest kształtowanie postawy wyrażania jej u dzieci. I nie potrzeba do tego żadnych wykładów czy rozmawiania. To, co warto podkreślać: wdzięczność nie jest warunkiem pomagania. Częsty błąd wychowawczy: mówimy dzieciom – „jeśli pomogłaś/leś koleżance, a nie była ci wdzięczna, to więcej tego nie rób, nie warto”. Wdzięczność warunkowa nie jest w moim przekonaniu czymś właściwym. Jako coach umiejętności rodzicielskich widzę też dosyć niezdrową postawę rodziców: często oczekują wdzięczności od dzieci za wszystko. Jest specyficzny kult wdzięczności w niektórych rodzinach. Za herbatę zrobioną, za kanapkę, za cokolwiek. Tymczasem w tego typu relacjach wdzięczność jest procesem, który się po prostu dzieje cały czas. Niekoniecznie polega na tym, że o tej wdzięczności mówimy i ciągle ją okazujemy. Wdzięczność jest funkcją miłości człowieka. Pamiętajmy, że my naprawdę rzadko pomagamy z motywów altruistycznych. Pomaganie polepsza nam humor. Pomaganie daje siłę. Wobec tego, jeżeli wiemy, że nasza pomoc jest właściwa, ale nie spotyka się z wdzięcznością – bądźmy po prostu wdzięczni samym sobie. To będzie taka „self-wdzięczność”: za siłę, za zasoby, za dobrą wolę i serce. Ona może być bardzo satysfakcjonująca. ●

***Dr Magdalena Nowicka** zajmuje się psychologią różnic indywidualnych. Interesuje ją, w jaki sposób ludzie wpływają na swój nastrój. Na Uniwersytecie SWPS prowadzi zajęcia z psychologii różnic indywidualnych, psychometrii i wywiadu psychologicznego.

FOT. CAROLYN KASTER/AP



GÓRY, JEDYNI PRZYJACIELE KURDÓW

A jeśli Turcja z ich powodu
naprawdę zawetuje członkostwo
Szwecji i Finlandii w NATO?

KONSTANTY GEBERT*



• Rok 2016, Szirin i Kaziwar, kurdyjskie żołnierki, na patrolu 40 kilometrów od Rakki, nieformalnej stolicy tzw. państwa islamskiego

FOT. DELIL SOULEIMAN / AFP / EAST NEWS

Czy kwestia kurdyjska zablokuje rozszerzenie NATO? I jaki będzie, w świecie, który wspierając Ukrainę, potwierdził prawo narodów do samostanowienia, dalszy los największego narodu bez własnego państwa?

Mocarstwa lubiły góry: były one naturalną granicą, zza której łatwiej było się bronić przed mocarstwem z drugiej strony lub szykować nań napaść. Zamieszkujący je górale z reguły różnili się od mieszkańców jednych i drugich nizin kulturową i językiem. Sami byli też podzieleni: każdą dolinę zamieszkiwał inny klan, ze swoją odrębną tradycją, każda perć była wewnętrzną linią podziału.

Choć górali jednoczyła wspólna odrębność od mieszkańców nizin, to i oni się na nizinach osiedlali, tworząc własne ziemie, których czasem musieli bronić przed najazdem z drugiej strony gór, w tym i przed służącymi obcemu władcy rodakami. Na co dzień jednak więcej ich łączyło z podobnie mówiącymi góralami z drugiej strony przełęczy niż z obcojęzycznymi mieszkańcami nizin. Własnych państw górale z reguły nie zakładali: góry chroniły ich lepiej niż zamki warowne.

Pireneje przez wieki były trwałą granicą między Francją a Hiszpanią, a Baskowie nauczyli się żonglować między lojalnością wobec klanu, narodu i obu monarchii. Umiejętność ta pozostaje przydatna także po demokratycznych transformacjach obu państw, umożliwiających poszanowanie baskijskiej odrębności. Po ciągu terrorystycznych starć Baskowie nauczyli się korzystać z tej możliwości.

Góry Zagros na pograniczu osmańsko-perskim odgrywały podobną jak Pireneje rolę. Upadek Wysokiej Porty sprawił, że zamiast jednej granicy Kurdów dzieli teraz ich wiele: z ruin imperium osmańskiego powstała nie tylko republikańska Turcja, ale też Irak i Syria, a imperium perskie stało się Iranem. Te państwa wiele dzieli, ale łączy jedno: sprzeciw wobec idei niepodległości dla Kurdów, których szacuje się łącznie na od 30 do 45 mln.

marksistowska i terrorystyczna Partia Pracujących Kurdystanu; w konflikcie zginęło po obu stronach ok. 85 tys. ludzi, więcej niż w konfliktach izraelsko-arabskich w tym samym czasie.

Moskwa wspierała PKK, by zdestabilizować NATO-wską Turcję; to obce poparcie oraz radykalizm polityczny i społeczny formacji (ateizm czy program reformy rolnej) sprawiły, że konserwatywna część społeczności kurdyjskiej zwróciła się przeciwko niej i wojna miała też bratobójczy charakter.

Ale opowiedzenie się przeciwko PKK nie oznaczało poparcia dla Ankar. Za prasę czy książki w języku kurdyjskim szło się do więzienia. Karano za samo mówienie po kurdyjsku, nawet we własnym domu.

W latach 90. rozmawiałem z gen. Kazakcioğlu, byłym szefem operacji antykurdyjskich na wschodzie, a wówczas gubernatorem Stambułu, który dzięki ogromnej migracji biednych chłopów do miast stał się miastem o najwyższej liczbie kurdyjskich mieszkańców.

Spytałem, dlaczego nie można pozwolić Kurdom mówić po kurdyjsku. Generał odparł, oburzony: – A wie pan, co będzie potem, jak się raz ustąpi? Będą chcieli kurdyjskich gazet, radia, a może nawet... – i tu się zawahał, bo sam pomysł musiał mu się wydawać całkowicie absurdalny – ...nauczania kurdyjskiego w naszych tureckich szkołach!

Dziesiątki tysięcy Kurdów lądowały w więzieniach, gdzie byli bici i torturowani. Inni wybierali emigrację: to dlatego Niemcy mają największą, poza Bliskim Wschodem, populację Kurdów, od 1,2 do 1,5 mln. We Francji jest ich 150 tys., a nawet w Szwecji 80 tys.; ten ostatni fakt okaże się bardzo istotny.

W demokracjach zachodnich Kurdowie mają swobodę działania: protestują przeciw tureckiej opresji, apelują do władz swoich krajów, by interweniowały w Ankarze. Dla tureckich rządów były to koronne przejawy antypaństwowej działalności diaspory, a ich tolerowanie przez zachodnie rządy – działalnością antyturecką. Tym bardziej że w samej Turcji nie dyskryminowano wszak „górskich Turków”. Turgüt Özal, który skrywał swe pochodzenie, został nawet prezydentem.

Ale dla Kurdów system pozostał zamknięty. W latach 90. kurdyjskiej Partii Demokracji udało się wprowadzić kilku posłów do parlamentu. Wszyscy

Walka zbrojna zaś uwikłana była w międzynarodowe relacje Turcji. Gdy upadł ZSRR, rolę sponsora PKK przejęła Syria, gdzie organizacja prowadziła obozy szkoleniowe i skąd wysyłała oddziały, by atakowały w Turcji cele nie tylko wojskowe, ale też cywilne. Od ataków terrorystycznych nie stroniła, co budowało poparcie dla kampanii wymierzonych w Kurdów po prostu jako bazy społecznej PKK. Jedną czwartą ofiar tureckiej armii to kurdyjscy cywile. Dla młodych tureckich Kurdów wstąpienie w szeregi PKK coraz częściej było jedyną drogą pomszczenia krzywd.

Zarazem jednak droga ta była dla syryjskich Kurdów zamknięta. Dyktatura Hafeza al-Asada wprowadziła nie traktowała Kurdów wyraźnie gorzej niż innych Syryjczyków – np. za nauczanie rodzimego języka nie karano – ale Kurdowie, jako nie-Arabowie, traktowani byli równie podejrzliwie jak Żydzi. Części z nich odmawiano np. prawa do posiadania telefonu, przez który mogliby wszak przekazywać tajne wiadomości. PKK nie reagowała w trosce o funkcjonowanie jej obozów, ale gdy w końcu w połowie lat 90. Turcja zagroziła Syrii wojną, o ile nadal będzie wspierała Kurdów, obozy zostały zlikwidowane.

W 1998 r. wódz PKK Öcalan został zmuszony do opuszczenia Syrii. Schronił się zrazu w Rosji, a potem we Włoszech, skąd Turcja chciała go ekstradować. Rzym odmówił i Öcalan wrócił do Rosji, która jednak wołała dobre stosunki z Turcją i nakazała mu opuszczenie kraju. Wyjechał do skłóconej z Turcją Grecji, ale i tu presja Ankary okazała się zbyt mocna: schronienia udzieliła mu w końcu grecka ambasada w Nairobi. Tam przywódca PKK został uprowadzony, przy współpracy wywiadu Izraela, który utrzymywał wówczas z Turcją bliskie stosunki. Skazano go na dożywocie, które odsiaduje w pojedynczej celi.

W więzieniu wyrzekł się kurdyjskiej niepodległości i twierdzi, że PKK powinna jedynie walczyć o prawa polityczne dla Kurdów. Gotów jest się do tego przyczynić, ale rząd turecki odmawia mu wszelkiej trybuny.

Po wybuchu wojny domowej w Syrii tamtejsi Kurdowie wywalczyli sobie status trzeciej siły, pomiędzy reżimem i opozycją. Umiejętnie rozgrywali obie strony,

takich operacji nie prowadziła, a całą jej działalność skupia się na obronie interesów kurdyjskich w Syrii.

Kurdowie zajęli tam długą strefę wzdłuż granicy tureckiej, od granicy irackiej do obszarów na zachód od Eufratu, i utworzyli autonomiczny obwód, niezależny od władz w Damaszku, ale też nietoczący z nimi wojny. Na tych obszarach Kurdowie stanowią większość, ale tamtejsi Arabowie przywykli, że większością w kraju są oni, i źle znoszą kurdyjskie panowanie.

Dla Turcji zaś wizja autonomicznego obszaru kurdyjskiego w Syrii, który mógłby się przerodzić w państwo kurdyjskie, jak w Iraku, była nie do zaakceptowania. W 2014 r. Turcja odmówiła YPG pomocy w walce z siłami ISIS o przygraniczne miasto Kobane; dopiero pod presją USA Ankara dopuściła, by siły YPG zostały wzmocnione przez peszmergów z irackiego Kurdystanu. Bitwa o Kobane, zakończona w 2015 r., stała się punktem centralnym martyrologicznej historii YPG i scementowała sojusz bojowy z USA.

Bitwa ta potwierdziła też, że Turcja pozostaje wrogiem Kurdów. Dwie tureckie inwazje, w 2018 i 2019 r., przerwały ciągłość enklawy. W tureckich strefach okupacyjnych doszło do masowego zabijania Kurdów i czystki etnicznej; zostali oni zastąpieni przez niekurdyjskich uchodźców syryjskich, którzy wcześniej schronili się w Turcji. Prezydent Trump uznał, że w polityce USA Ankara się liczy, Kurdowie zaś nie, i odmówił interwencji w obronie niedawnych towarzyszy broni Amerykanów.

Ta zdrada potwierdziła Kurdom stare przysłowie, że za przyjaciół mają tylko góry.

W obliczu tureckiej inwazji oraz zwycięstw wspieranej przez Rosję strony rządowej w syryjskiej wojnie domowej YPK nawiązała bliższą współpracę z reżimem. Okrojony kurdyjski okręg autonomiczny funkcjonuje nadal i trwają w nim właśnie przygotowania do obrony przed zapowiedzianą przez Tayyipa Erdoğan trzecią inwazją na Syrię, której celem ma być definitywna likwidacja autonomii i czystka etniczna Kurdów, których ma zastąpić milion Syryjczyków z Turcji. Jednym z celów operacji ma być obronione wcześniej heroicznie przez Kurdów miasto Kobane. W obliczu wrogości irackiego Kurdystanu do PKK, a więc i YPG, rozpatrywana jest ewakuacja syryjskich Kurdów do Iranu.

Turcja pomogła setkom tysięcy uchodźców z irackiego Kurdystanu, gdy po pierwszej wojnie w Zatoce Saddam Husajn krwawo stłumił ich powstanie, ale kategorycznie nie godziła się na powstanie w Iraku kurdyjskiego Piemontu. Powstał jednak i tak, w postaci autonomicznego regionu chronionego przez egzekwowaną przez NATO strefę zakazu lotów, a następnie po drugiej wojnie w Zatoce przekształcił się w quasi-państwo.

Zanim jednak doszło do powstania KRG (Kurdyjskiego Rządu Regionalnego), dwie główne siły irackich Kurdów – reprezentująca klan Barzanich Partia Demokratyczna Kurdystanu (KDP) i reprezentująca klan Talabanich Unia Patriotyczna Kurdystanu (PUK) – stoczyły krwawą wojnę domową. Gdy PUK, mające od lat dobre stosunki z Teheranem, zyskało poparcie sił irańskich, KDP zdumiewająco poprosiła o pomoc rzeźnika z Halabdy.

W 1988 r., gdy kończyła się już wojna irańsko-iracka, reżim Saddama rozpętał kampanię przeciwko Kur-

Na liście osób, których ekstradycji domaga się Turcja od Szwecji, jest irańska Kurdyjka, posłanka do szwedzkiego parlamentu

Niepodległość ta raz tylko była Kurdom formalnie obiecana: w traktacie pokojowym zawartym po I wojnie światowej między aliantami a imperium osmańskim. Ale nowy turecki przywódca Kemal Pasza obalił sultana i pokonał aliantów w Turcji, i traktat się unieważnił.

Sprzeciw ten jest najbardziej bezwzględny w Turcji, na której wschodnich ziemiach zamieszkuje połowa narodu kurdyjskiego (jedna czwarta ludności kraju). Republika siłą tłumila wszelkie niepodległościowe aspiracje.

Po 1978 r. walkę o niepodległość podjęła utworzona przez Abdullaha Öcalana i wspierana przez Moskwę

skończyli w więzieniu za „wspieranie terroryzmu”. Posłanka Leyla Zana dopuściła się tego „wspierania” tym, że do ślubowania poselskiego dodała jedno zdanie po kurdyjsku: „Ślubowanie to składam w imię braterstwa narodu kurdyjskiego i tureckiego”.

Partia została rozwiązana, a do ordynacji wprowadzono zaporowy 10-proc. próg: choć następne partie kurdyjskie wygrywały w tureckim Kurdystanie, nie miały szans zdobyć 10 proc. wszystkich głosów. Tym samym Kurdowie nie mieli szans na udział w demokratycznym życiu kraju. Do wyboru mieli jedynie walkę zbrojną albo wynarodowienie.

kultywując bliskie więzi i z Rosją, która widzi w nich jeden z punktów oparcia w próbie powrotu do roli jednego z głównych bliskowschodnich rozgrywających, i z USA, ze względu na decydującą rolę, jaką YPG odegrało w rozgromieniu ISIS w Syrii.

Dla Turcji jednak, która widzi w YPG jedynie awatar PKK, stanowisko Amerykanów to nóż w plecy. Jest prawdą, że YPG powstało na podstawie struktur PKK po wygnaniu przez reżim Asada tureckiej organizacji kurdyjskiej z kraju. Członkowie YPG uczestniczyli też jako członkowie PKK w niektórych jej operacjach w Turcji. Ale sama YPG nigdy

dom, oskarżanym o sprzyjanie Teheranowi. W miejscowości Halabdzá od 3 do 5 tys. cywili zginęło w ciągu godziny na skutek irackiego ataku gazowego. Pamięć o tym nie przeszkodziła jednak Barzanim wezwać na pomoc irackie czołgi, by zapobiec zwycięstwu Talabanich.

straszył przez granicę, tureckie czołgi wyszły z bazy na całkowicie bezprawnie okupowanym kawałku Iraku – i KRG powrócił do granic sprzed wojny z ISIS, ale pod wzmacnioną kurtelą i rządu, i sąsiadów.
A zwłaszcza Turcji. Jako cenę za powstrzymanie się od bezpośrednie-

Kłeska NATO-wskich aspiracji Szwecji i Finlandii byłaby dla Rosji sukcesem tak wielkim, że wynagrodziłby jej gorycz bayraktarów

Oskarżenia Saddama były w 1988 r. bezpodstawne, ale zaledwie kilkanaście lat wcześniej i Iran, i Irak wspierały Kurdów po drugiej stronie granicy, a Izrael, wówczas bliski sojusznik dynastii Pahlawich, szkolił oddziały i PUK, i KDP.

Gdy w 1975 r. szach Reza Pahlawi zawarł z Saddamem pokój, izraelscy instruktorzy zostali wycofani z Iraku, ale więzi pozostały. W Izraelu mieszka do pół miliona Żydów z Kurdystanu, którzy z reguły traktowani byli przez Kurdów przyjaźnie, niezależnie od prześladowań, jakich doznawali od arabskich władz w Bagdadzie. Oba niearabskie narody upatrywały w Arabach zagrożenie, co dodatkowo, przed rewolucją islamską, zbliżało Izrael z Iranem. Kurdowie zaś, których języki należą do irańskiej grupy językowej, czuli się w Iranie stosunkowo bezpiecznie.

W irackim Kurdystanie, oprócz KDP i PUK, które w końcu podzieliły się władzą i do dziś wspólnie kierują coraz bardziej skorumpowanym reżimem KRG, działała także PKK. W górach Kandil utworzyła główną bazę i ani myślała się podporządkować władzom irackim czy KRG. Przeciwnie – została wygnana z Syrii, to z Kandilu właśnie zaczęła przeprowadzać operacje przeciw Turcji. Turcja prowadziła odwetowe naloty i okresowe inwazje, by rozprawić się z zagrożeniem; ginęli iraccy Kurdowie i czasem też iraccy niekurdyjscy wojskowi.

Podczas wojny przeciwko ISIS Turcja wprowadziła do północnego Iraku wojska na stałe, ignorując protesty Bagdadu. Nie odegrały wielkiej roli w pokonaniu kalifatu: to było dziełem peszmergów z KRG, którym udało się zająć miasto Mosul, stolicę regionu bogatego w złoża naftowe.

W euforii zwycięstwa KDP postanowiła przeprowadzić na całym swym, powiększonym o Mosul, terytorium referendum w sprawie niepodległości. Rząd w Bagdadzie tolerował kurdyjskie quasi-państwo. Formalnej secesji by jednak nie zaakceptował, choćby ze względu na utratę części złóż ropy.

Kategoryczne weto zgłosiła oczywiście Ankara. Amerykanie ostrzegli, że nie będą swych sojuszników chronić przed skutkami ich decyzji. Premier KRG Masud Barzani jednak zarzykował – i przegrał. Nie referendum, bo ponad 90 proc. uczestników opowiedziało się za niepodległością, ale Kurdystan. Armia iracka, przy wsparciu PUK, zajęła Mosul, Iran po-

go udziału w obalaniu KRG Ankara zażądała wolnej ręki w walce z PKK – i ją otrzymała. Barzani nie miał wyboru: kurdyjska ropa, główne źródło dochodów KRG, jest eksportowana przez Turcję. Tureckie firmy robią w KRG krociowe interesy. A im bardziej Turcja tłumi PKK, tym bardziej eksponuje dobre stosunki z KRG.

Doszło wręcz do tego, że Erdoğan podjął Barzaniego w stolicy tureckiego Kurdystanu Diyarbakirze, pozwolił na wywieszenie zakazanych flag irackiego Kurdystanu, a nawet użył w przemówieniu ściśle w Turcji zakazanego słowa „Kurdystan”.

Zarazem tureckie strefy okupacyjne, jak w Syrii, rosną, liczba ofiar nalołów i ataków też. Ankara zapowiedziała właśnie kolejną operację w górach Kandil, która ma „definitywnie rozwiązać” problem PKK.

Romans z KRG był reakcją na fiasko procesu pokojowego z PKK. Dojście do władzy islamistów Erdoğan paradoksalnie otworzyło szanse na rozwiązanie kryzysu kurdyjskiego. Inaczej niż jego świeccy poprzednicy, Erdoğan zrazu był bardzo daleki od tureckiego państwowego nacjonalizmu. Odwoływał się raczej do ummy, islamskiej wspólnoty wiernych, do której Kurdowie, w większości sunniccy muzułmanie, wszak należą.

W 2012 r. PKK zaakceptowała zawieszenie broni, żołnierzom PKK obiecano amnestię. Ale w 2014 r. reakcja kurdyjska na bitwę o Kobane pokazała, że ich uczuć narodowych nie da się przekształcić w islamską pobożność. A w następnym roku Demokratyczna Partia Narodów (HDP) młodego kurdyjskiego polityka Selahettina Demirtaşa zdobyła 13 proc. głosów w wyborach do parlamentu, przełamując próg 10 proc. i pokazując, że świecka, lewicowa i kurdyjska partia może zyskać poparcie także wśród etnicznych Turków. Dla Erdoğan oba te fakty były wypowiedzeniem wojny.

Rząd wycofał się z procesu pokojowego. W odpowiedzi PKK ogłosiła powstanie ludowe. Kurdyjskie wsie i miasta budowały okopy, a na ulicach rządzili młodzi bojownicy PKK. Ankara odpowiedziała wojskiem, które przystąpiło do podboju Kurdystanu z użyciem ciężkiej artylerii. Starożytne śródmieście Diyarbakiru zrównano z ziemią. Wojna trwała rok i zakończyła się nieuchronną kurdyjską przegraną.

Gdy zaś w 2016 r. doszło do nieudanej próby zamachu stanu, o której

zorganizowanie Erdoğan oskarża, bez przekonujących dowodów, swego byłego sojusznika, przebywającego na emigracji w USA kaznodzieję Fethulaha Gülena, dało to pretekst do represji na niespotykaną skalę.

Aresztowano do dziś około 100 tys. ludzi, 150 tys. – w tym sędziowie, prokuratorzy, profesorowie, policjanci, oficerowie wojska – straciło pracę. Wśród skazanych, z dowolnych oskarżeń o terroryzm, są i Demirtaş, i setki wybranych w lokalnych wyborach burmistrzów z jego partii.

Erdoğan przekształcił ustrój Turcji z parlamentarnego w prezydencki i rządu żelazną ręką. Ale opozycja depcze mu po piętach: partia rządząca przegrała wybory lokalne w wielu wielkich miastach, od Stambułu poczynając, i prezydent może w przyszłorocznych wyborach stracić większość w parlamencie.

Zapowiedzi nowych ataków w Syrii i Iraku mobilizują wprawdzie żelazny elektorat, ale niekoniecznie są popularne wśród pozostałych wyborców: zbyt wielu żołnierzy wraca w trumnach.

Lecz Amerykanie patrzą na tureckie lokalne agresje przez palce, bo niezbędna jest im pomoc Turcji w powstrzymywaniu rosyjskiej inwazji na Ukrainę.

I choć Ankara popiera integralność terytorialną czarnomorskiego sąsiada i dostarcza mu słynnych już bayraktarów, to nie dołączyła się do sankcji i usiłuje mediować między Moskwą a Kijowem. Erdoğan od dawna gra na zbliżenie z Kreml, kupując system rakietowy S-400 nawet za cenę amerykańskich sankcji, z których najboleśniejsze było wykluczenie z programu budowy i zakupu myśliwców F-35.

Erdoğan mógł Rosję i USA uwodzić i straszyc, ale zakres jego wpływów był ograniczony. Tymczasem decyzja Szwecji i Finlandii o chęci dołączenia do NATO nagle dała mu do ręki czarodziejską różdżkę. Decyzja o rozszerzeniu Paktu musi zapaść jednomyślnie – i prezydent oświadczył, że ją zawetuje, o ile nie zostaną spełnione jego warunki: Szwecja i Finlandia muszą przestać „wspierać terror”, pozwalając działać organizacjom kurdyjskim oraz ruchowi Gülena, ekstradować 33 „terrorystów” do Turcji oraz znieść embargo na broń, nałożone w odpowiedzi na turecką inwazję na Syrię.

Są to warunki nie do przyjęcia. Tymczasem głównie Szwecji; Finlandia jest dużo mniej w kwestii polityki kurdyjskiej aktywna. Ale Szwecja, która jako pierwsze po Turcji państwo uznała PKK za organizację terrorystyczną, przez lata oskarżała ją o odpowiedzialność za zamordowanie w 1986 r. premiera Olofa Palmego. Dopiero w ostatnich latach oskarżenie zostało wycofane i Sztokholm, i tak wycofany na prawa człowieka, udziela teraz szerokiego poparcia swej kurdyjskiej społeczności; sześciu Kurdów to posłowie do parlamentu. Jest wśród nich irańska Kurdyjka, której nazwisko, choć nie ma ona z Turcją nic wspólnego, znalazło się na liście

osób, których ekstradycji Ankara się domaga, obok pisarzy, dziennikarzy i aktywistów. Nikomu nie udowodniono związków z PKK; jedna z osób nie żyje od siedmiu lat.

Trudno sobie wyobrazić, by Sztokholm czy Helsinki zgodziły się, by państwo naruszające prawa człowieka miało kontrolować ich politykę obrony tych praw.

Ale Erdoğan chce jeszcze więcej – zniesienia amerykańskich sankcji nałożonych po zakupie rosyjskich rakiet oraz sprzedaży myśliwców F-16 i modernizacji tych, które Turcja już posiada.

Ewentualna kłeska NATO-wskich aspiracji obu skandynawskich państw byłaby dla Rosji sukcesem tak wielkim, że wynagrodziłby jej gorycz bayraktarów. Co więcej, po wcie członkostwo Turcji w NATO, nawet jeśli nie wystąpiła z Sojuszu, stałoby się fikcyjne: inne państwa nie mogłyby już mieć do Turcji zaufania. Byłby to dla Moskwy nie sukces już, lecz triumf. Kreml zachęcać będzie Erdoğan, by trwał przy swoich groźbach.

Dla tureckiego prezydenta najważniejsze są jednak względy wewnętrzne. Postawienie się Amerykanom jest zawsze w Turcji dobrze przyjmowane. Koalicjant Erdoğan Devlet Bahçeli namawia go, by po prostu wystąpił z NATO, a przywódca opozycji Kemal Kiliçdaroglu – by przynajmniej zabronił USA dostępu do ich największej tureckiej bazy w Incirlik, gdzie przechowują m.in. broń atomową.

Przy takich krajowych reakcjach i nadziejach na wymuszone szantażem międzynarodowe sukcesy Erdoğanowi trudno będzie odłożyć magiczną różdżkę. Zbyt wiele miałby do stracenia.

A Kurdowie? Pozostają im góry, ich istotnie jedyni prawdziwi przyjaciele. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Konstanty Gebert

• publicysta Kultury Liberalnej (Kulturaliberalna.pl).

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



N A S Z A E U R O P A

Ukraina się broni

ARMIA KOBIET

Posłanki chwyciły za broń, pracownice metra opiekują się cywilami, lekarki stały się wojskowymi chirurgami. Psycholożki próbują pomóc ofiarom gwałtów.

Margaux Benn

LE FIGARO

Ukryta w jamie wykopanej w ziemi i osłoniętej plandeką Tetiana Czornowol lornetką przeczesuje horyzont. To była dziennikarka, potem posłanka, wreszcie żołnierka – dziś dowodzi małym oddziałem zajmującym strategiczną pozycję na północ od Kijowa z zadaniem ostrzeliwania czołgów nieprzyjaciela, gdyby znów szturmowały stolicę. – Do tej pory oboście załatwiłam dwa – mówi z dumą uśmiechnięta 42-latka. Czornowol przywykła walczyć na różnych frontach. Jako reporterka śledcza w 2013 r. padła ofiarą zamachu po opublikowaniu materiału ujawniającego afery korupcyjne z udziałem członków rządu Wiktora Janukowycza. Rok później wyrosła na jedną z czołowych postaci rewolucji Majdanu, podczas której zginęły lub odniosły rany setki proeuropejskich demonstrantów. Po rewolucji została pełnomocniczką rządu ds. walki z korupcją, lecz po kilku miesiącach złożyła rezygnację z powodu, jak stwierdziła, braku dobrej woli Kijowa, który nie myślał wtedy o rzeczywistym rozwiązaniu tego problemu.

Ale to nie była najcięższa walka, jaką stoczyła. – W 2014 r. mój mąż, żołnierz, zginął, walcząc z prorosyjskimi separatystami. Nie tylko straciłam męża, ale też zostałam sama, by wychowywać nasze dwie córki – mówi, pokazując mi zdjęcie w komórce.

Teraz nosi mundur armii ukraińskiej. – To była naturalna decyzja – rzuca. Zawsze ma pod ręką kałasznikowa swego poległego męża, który „jest jak amulet”. Pod koniec 2021 r. przekonana, że Moskwa szykuje ofensywę, zaciągnęła się do wojska. Szkolenie w posługiwaniu się bronią przeciwpancerną skończyła ledwie dwa dni przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji.

– Głównym powodem, dla którego nie chciałam służyć w piechocie, był strach przed spojrzeniem wroga w oczy – wyznaje. – Łatwiej celować w duży stalowy pojazd niż w młodego człowieka niewiele starszego od moich córek. A poza tym łatwiej mi zachować zimną krew i nie martwić się, kiedy wyobrażam sobie na przykład, że walczę ze stalowymi smokami.

Kira Rudyk – platynowa blondynka, włosy spięte, w uszach perłowe kolczyki, różowy żakiet, staranny makijaż – wygląda jak bizneswoman w drodze do biura. Z jedną

różnicą – ta 36-letnia kobieta składa w swoim salonie karabin. Do pomocy ma dwóch olbrzymów w mundurach. – To Andriej i Maksim – przedstawia. Pierwszy z ogoloną głową, gęstą brodą i wytatuowanymi ramionami jest weteranem ukraińskich sił specjalnych. Na koszulce ma wypisane: „Zero tolerancji dla najeźdźców”. Drugi, uzbrojony w karabin AK-74 i pistolet, służył w oddziałach specjalnych Gwardii Narodowej. Od początku inwazji Andriej i Maksim pełnili funkcję straży przybocznej Kiry Rudyk, a przy okazji także instruktorów strzelania. Za stołem Kira powtarza czynności, których ją nauczyli: „Stój pewnie, przeładuj, celuj” – To AK-SU – tłumaczy Rudyk. – To dość kompaktowa broń, wolę ją od innych, cięższych. Doradzili mi ją Andriej i Maksim.

Miesiąc temu Kira Rudyk nie miała pojęcia, jak nazywa się ten karabin, i nie sądziła, że będzie wiedziała, jak go obsługiwać. Entuzjastka informatyki przed kilku laty współtworzyła firmę produkującą systemy alarmowe, wkrótce sprzedaną Amazonowi za miliard dolarów. Z biznesu przeszła do polityki, weszła do parlamentu, by – jak mówi – „poprowadzić cyfrową transformację Ukrainy”. Razem ze swoją partią Hołos przeformowała w parlamencie kilka stosownych ustaw.

– A potem przyszli Rosjanie – kontynuuje. – Pierwszego dnia inwazji, 24 lutego, zbraliśmy się o 5 rano w parlamencie z innymi posłami. W ciągu dwóch godzin uchwaliliśmy stan wojenny i wiele innych awaryjnych przepisów – wspomina. Potem musieli „zrobić więcej”. – Wprawdzie nikt z nas nie umiał strzelać, ale podczas wojny sama polityka nie wystarczy.

Rudyk zorganizowała więc w swoim ogrodzie lekcje strzelania prowadzone przez instruktorów wojskowych i policyjnych. Nieformalna 30-osobowa grupa weszła wkrótce w skład wojsk obrony terytorialnej. – Musieliśmy być gotowi do kontrataku na wypadek,

gdyby Rosjanie wkroczyli do Kijowa. Póki żyję, będę bronić swojego miasta – przysięga Kira Rudyk.

Rozmawialiśmy w marcu, armia rosyjska ostrzeliwała wtedy dzielnice Kijowa. Nagle zadzwonił telefon. Rosyjski pocisk uderzył w kompleks mieszkalny. Rudyk wskoczyła na siedzenie terenówki, ja za nią. Na miejscu: oszołomieni ludzie snują się jak w apokaliptycznym spektaklu. Jedni mają twarze we krwi, inni są ciągle w piżamach. Wybuch pozrywał fasady, pozbawione zewnętrznych ścian mieszkania są jak zięjące rany na ciele budynków, w których jeszcze parę godzin temu żyli ludzie.

Olga i jej trzytygodniowa córeczka, które właśnie wylonily się z dymiących gruzów, ocalały. Kiedy rozległa się eksplozja, 27-letnia kobieta rzuciła się na dziecko, żeby osłonić je przed odłamkami. – Ocalała jej życie – szepcze Ira, pielęgniarka kijowskiego szpitala Ochmatdyt, do którego trafiła piątka rannych w ostrzale. Opuszkami palców sprawdza bandaż na głowie Olgi, zlepek włosów i gazy. Ogłuszona wybuchem matka karmi piersią niemowlę, które niemal straciła wraz ze wszystkim w jednej strasznej chwili.

Irze towarzyszy chirurg Inna Szuljak. To była połowa marca, a obie kobiety nie wychodziły ze szpitala od początku inwazji. Spały na materacach, żywiły się suchym prowiantem donoszonym przez wolontariuszy i miały nadzieję, że nie będą celem kolejnych ataków. Mąż Inny także jest lekarzem. W tej sytuacji musieli wysłać kilkunastoletnią córkę do dziadków mieszkających na zachodzie kraju, gdzie jest bezpieczniej. – Zmieniło się nasze podejście do pracy – opowiada 38-letnia Szuljak. Praca ma pierwszeństwo przed wszystkim innym. Teraz to nasi współpracownicy stali się naszą jedną wielką rodziną.

Jednak trudno znieść zamknięcie i udrękę oczekiwania na niespodziewany atak. – Nie mówiąc już o tym, że nigdy dotąd nie

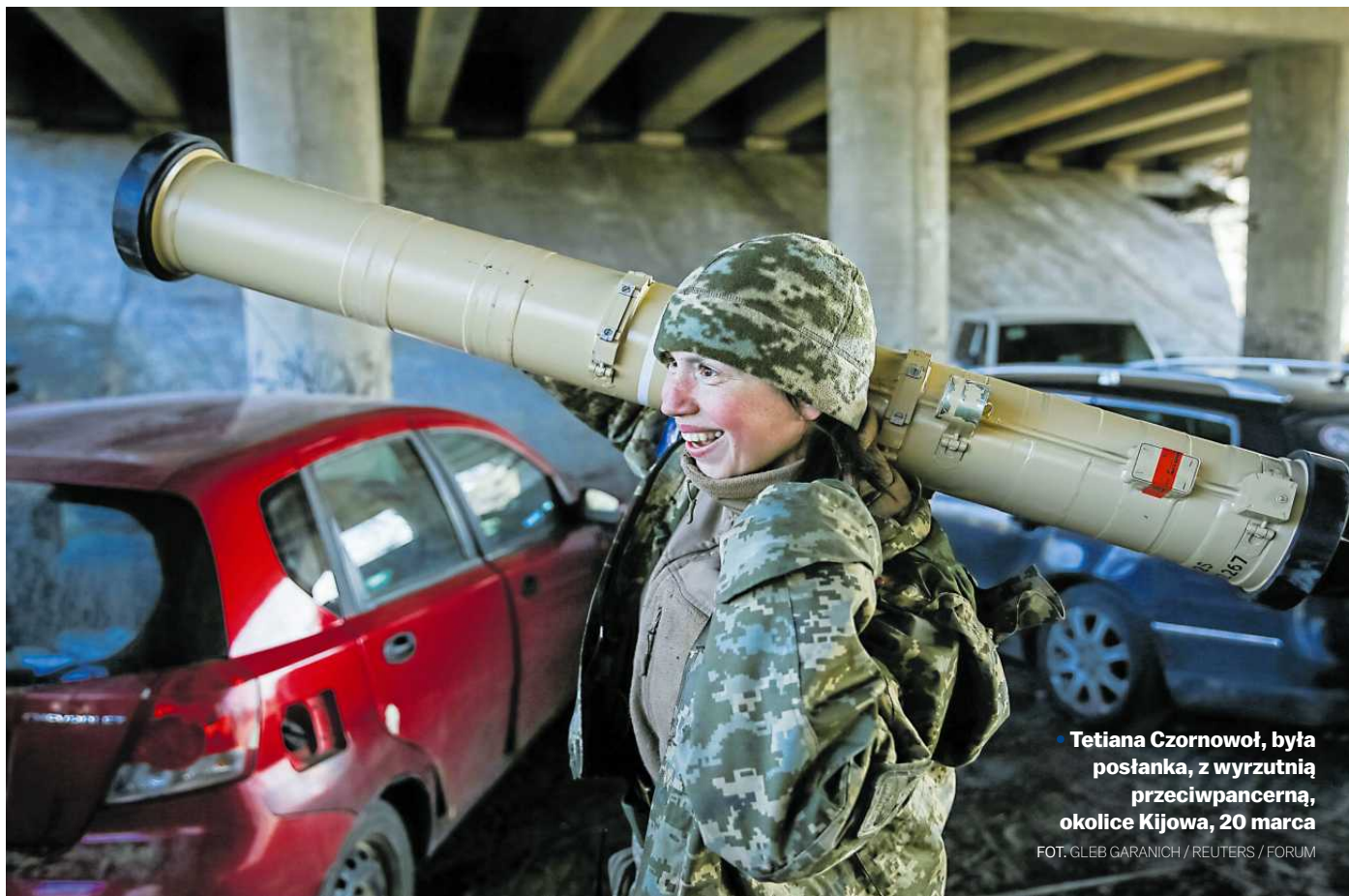
widziałam ran zadanych na wojnie, dzieci z kończynami oderwanymi przez artyleryjskie odłamki, kobiety jak ja, które mogły być naszymi siostrami, córkami czy matkami, po prostu nierozpoznawalne, bo gdzieś jakiś Rosjanin nacisnął guzik uwalniający pocisk.

Szpital Ochmatdyt specjalizował się w onkologii dziecięcej. – Jesteśmy przyzwyczajeni do smutnych historii, niesprawiedliwości, ale nie do przyjmowania dzieci zbrzydzanych krwią ich matek – mówi Inna. Olga, młoda matka, będzie uratowana i za tydzień wyjdzie ze szpitala. Wielu innych nie miało tyle szczęścia.

Setki osób chroniły się przed bombardowaniami stolicy w piwnicach, suterrenach, na stacjach metra i w innych prowizorycznych schronach. Stacja Obolon należy do największych. Od marca chroniły się tu dziesiątki mieszkańców przerażonych atakami rakietowymi. Dwie postawne kobiety po pięćdziesiątce stoją przy bramkach, odgrywając rolę strażniczek, i jak policja notują nazwiska wchodzących. One i tylko one mogą dzwonić do dyrektorki metra. Dzwoni telefon jednej z nich na melodię ukraińskiej pieśni patriotycznej. – Pani dyrektor zgodziła się was przyjąć.

Nella Charajczuk ma 57 lat i szczyci się, że całe zawodowe życie spędziła „w metrze”. – Pamiętam mój pierwszy dzień, byłam kontrolerką, to było 13 stycznia 1983 r.

Na początku wojny została poinstruowana, żeby przyjmować wszystkich chętnych, w pierwszej kolejności rodziny z dziećmi. Stoimy pośrodku wejścia do metra, z zawieszonym na słupie telewizora przemawia prezydent Zelenski. Podłogę zaścielają materace piankowe przyniesione przez wolontariuszy. – Przed wojną dbałam o sprawne kursowanie pociągów, czystość toalet, wentylację. Teraz organizuję rozdzielnię żywności i wody, dbam o bezpieczeństwo. Ludzie przychodzą ze zwierzętami. Widziałam nawet papugi w klatkach...



Tetiana Czornowol, była posłanka, z wyrzutnią przeciwpancerną, okolice Kijowa, 20 marca

FOT. GLEB GARANICH / REUTERS / FORUM

NASZA EUROPA

Netflix i inni w pułapce

Wojna kulturowa wkracza w biznes

Kadra menedżerska w USA dotąd rzadko wypowiadała się na tematy polityczne. Teraz już nie może dłużej ich unikać – bo wojna kulturowa weszła na wyższe obroty. Ale to pole minowe, bo każda decyzja oznacza jakieś konsekwencje, także ekonomiczne



Stefan Beutelsbacher

Welt

Tylko 184 słowa, ale mogą oznaczać początek nowej ery. Można je przeczytać na stronie Netflixa w zakładce „Kultura organizacyjna firmy”. Nie można ustalić, kiedy dokładnie została opublikowana, ale na pewno po 20 kwietnia.

To wiadomość dla pracowników i kandydatów do pracy w firmie. W skrócie: jeśli masz problem z tym, że jakiś serial jest „sprzeczny z twoimi osobistymi wartościami” – piszą menedżerowie Netflixa – lepiej poszukaj innego pracodawcy.

CZY PLATFORMA STREAMINGOWA POWINNA MIEĆ POGLĄDY

20 kwietnia to była posepna data dla Netflixa. Tego dnia serwis streamingowy ogłosił, że w pierwszym kwartale zanotował – po raz pierwszy – spadek liczby abonentów. Czegoś takiego nie było od dziesięciu lat. Współwłaściciel firmy Reed Hastings obwinął o to popularną opcję udostępniania haseł dostępu wśród przyjaciół i krewnych. Ani słowa o konkurencji, a tym bardziej o mniej oczywistych powodach.

Z kolei Elon Musk – przedsiębiorca, miliarder i samowznający bojownik o swobodę wypowiedzi – zarzucał Netflixowi, że jest zbyt „woke” – zbyt czujny w kwestii dyskryminacji. Ale w tym tygodniu Musk pochwalil nowy zapis w regulaminie firmy. „Dobry ruch” – napisał na Twitterze.

Czy Netflix stał się zbyt lewicowy? Niektórzy konserwatywniejsi Amerykanie widzą to właśnie w ten sposób, mówiąc o nim wręcz „Wokeflix”. Odnoszą się np. do serialu „Bridgertonowie”, który opowiada o intrygach w londyńskich wyższych sferach z początku XIX w. i tworzy swego rodzaju historyczny równoległy wszechświat, w którym angielska królowa jest czarna, w quasi-wiktoriańskim Londynie panuje różnorodność etniczna, a jeśli występuje jakaś dyskryminacja, to raczej klasowa.

Znacznie głośniejsze w USA kontrowersje wzbudził również słynny czarny komik Dave Chappelle. W swoim programie w Netflixie „The Closer” Chap-

pelle opowiadał niewybredne dowcipy o transpłciowości, co skłoniło dziesiątki pracowników do odejścia z pracy.

OD WOKE DO CANCEL

Termin „woke”, „obudzony”, znalazł się w centrum wojny kulturowej. Dla jednych oznacza coś jednoznacznie pozytywne: społeczeństwo wreszcie zajmuje się na serio i otwarcie społecznymi konsekwencjami takich zjawisk jak rasizm i seksizm – po długim okresie ignorancji, obojętności i milczenia. Jednak dla innych „woke” oznacza także negatywne zjawiska: nadęte moralizatorstwo i cancel culture, czyli wyrzucanie z dyskursu publicznego osób, które mówią rzeczy identyfikowane jako obraźliwe albo zaledwie niepasujące do obowiązującej w mainstreamie narracji.

Teraz o tym wszystkim muszą myśleć także amerykańscy menedżerowie. Kiedyś konsekwentnie unikali wypowiedzi politycznych, ale dziś, kiedy muszą odpowiadać w czasie rzeczywistym przed milionami obserwatorów na Instagramie, Facebooku i Twitterze, jest inaczej.

Amazon wzywa więc na swojej stronie internetowej do poszanowania praw społeczności LGBTQ, Starbucks rozdaje swoim baristom koszulki z napisem „Black Lives Matter”, a American Airlines krytykuje reformę prawa wyborczego w Teksasie.

Firmy te, niemal jednym głosem, wzywają do zaangażowania się w walkę ze zmianami klimatycznymi, a w czasie pandemii jednoznacznie poparły wymóg szczepień przeciwko koronawirusowi.

Jak pokazują badania, aż siedmiu na dziesięciu obywateli USA chce, by prezesi ważnych firm zajmowali jasne stanowisko w sprawach politycznych. Jednak ci, którzy się z tym spieszą, narażają się na ryzyko. Ci po staremu niechętni – także.

„Amerykańskie firmy – mówi Jonah Goldberg z waszyngtońskiego think tanku American Enterprise Institute – muszą dwa razy zastanowić się nad deklaracjami. Ci, którzy opowiadają się po jednej ze stron politycznej barykady, dzielącej Amerykę zapewne bardziej niż kiedykolwiek od czasu wojny secesyjnej, powinni liczyć się z tym, że spotkają się z gniewem klientów i pracowników z drugiego obozu” – mówi. Przy tym Goldberg przypomina, że ta historia nie zaczęła się wczoraj: przywołuje przykład gwiazdy koszykówki i twarzy firmy Nike Michaela Jordana, który w latach 90. od-

mówił poparcia czarnego kandydata Demokratów do Senatu, oświadczając: „Republikanie też kupują buty sportowe”.

ABORCJA W BILANSIE ZYSKÓW I STRAT

Jonah Goldberg twierdzi, że to, czym grozi zabieranie głosu w drażliwych kwestiach przez kluczowych przedstawicieli kadry kierowniczej, ilustruje przypadek Disneya. W marcu republikański gubernator Florydy Ron DeSantis podpisał ustawę, która stanowi, że nauczyciele nie mogą rozmawiać z młodszymi uczniami o orientacji seksualnej i tożsamości płciowej.

Disney początkowo milczał, ale potem pod wpływem własnych pracowników wydał oświadczenie. Firma skrytykowała ustawę – a w odpowiedzi DeSantis wycofał wiele ulg podatkowych w ważnym dla bilansu Disneya stanie Florydy. „Disney dostał po łapach – mówi Goldberg. – I może to być mrożąca nauczka dla innych amerykańskich firm” – dodaje.

Amerykańscy menedżerowie stoją przed rosnącym dylematem. Nowe pokolenie pracowników i konsumentów domaga się „różnorodności” i zrównoważonego rozwoju uwzględniającego wyzwania ekologiczne oraz oczekuje publicznych oświadczeń, deklaracji, a nawet zobowiązań w tej sprawie. Ale gdy tylko firmy wybierają głos, z kolei konserwatywni politycy i klienci oburzają się na „woke kapitalizm” i grożą bojkotami.

„Nic tak nie porusza obecnie amerykańskich działów PR jak tocząca się debata na temat aborcji – mówi Allen Adamson z nowojorskiej firmy konsultingowej Metaforce. Jest wiele kwestii, które polaryzują, ale ta jest matką wszystkich kontrowersji. Ludzie w Ameryce – przekonuje Adamson – są wręcz fanatycznie nastawieni albo w jedną, albo w drugą stronę.

Według sondaży 35 proc. obywateli USA popiera marki, które domagają się liberalnego prawa do aborcji. 28 proc. jest bardziej skłonnych poprzeć zwolenników radykalnych restrykcji. Obowiązuje stare „prawo Jordana”: jeśli zajmiesz jasne stanowisko, zrazisz do siebie część klientów.

Do tej pory aborcja była dozwolona w całym kraju do momentu osiągnięcia przez płód zdolności do przeżycia poza łonem matki (z medycznym wspomaganiem), czyli do około 24. tygodnia. Podstawą tego jest orzeczenie Sądu Najwyższego z 1973 r., znane jako Roe versus Wade. Teraz jednak SN, po nominacjach Trumpa zdominowany przez konserwatywnych sędziów, najwyraźniej zamierza uchylić to orzeczenie. Wtedy poszczególne stany musiałyby przyjąć własne przepisy. A kilku konserwatywnych gubernatorów już zapowiedziało, że wprowadzą całkowity zakaz aborcji.

Jak reaguje na to biznes? Wiele z tych firm, które zwykle szybko zabierają głos, jak Netflix, Microsoft, Apple, Meta i JP Morgan, milczy. Za to np. Citigroup chce pokrywać koszty podróży pracowników, które musiałyby lecieć do innego stanu, aby dokonać aborcji. Korporacja ogłosiła to jednak nie w prasie czy social mediach, ale na 20. stronie długiego raportu dla... swoich akcjonariuszy. Bankierzy prawdopodobnie nie chcieli wywoływać zamieszania, ponieważ znają reguły gry: republikanie również używają kart kredytowych. ●

weekendówka

4



Autorem wielu haseł jest **Jacek Szcerba**

Polacy nie gęsi i swe Orły mają

W poniedziałek, 6 czerwca, w Teatrze Polskim po raz 24. wręczone zostaną Orły – Polskie Nagrody Filmowe przyznawane najlepszym rodzimym produkcjom. W tym roku najwięcej szans na statuetkę – taśmę filmową na marmurowym cokole, która przechodzi w rozpostarte skrzydła orła – ma obraz Jana P. Matuszyńskiego „Żeby nie było śladów”. Aż 13. To ekranizacja reportażu Cezarego Łazarewicza o Grzegorzu Przemyku, maturzyście, pobitym na śmierć przez milicjantów w maju 1983 roku.

10 nominacji dostało „Wesele” Wojtki Smarzowskiego – oba te obrazy powalczą oczywiście w najbardziej prestiżowej kategorii dla najlepszego filmu.

Przy okazji 24. Gali Orłów sięgnąłem zawodną pamięcią wstecz – na tyle zawodną rzecz jasna, że mus było posilkować się internetowymi źródłami – i sprawdziłem, który film królował podczas premierowej „orlej” gali 21 czerwca 1999 roku.

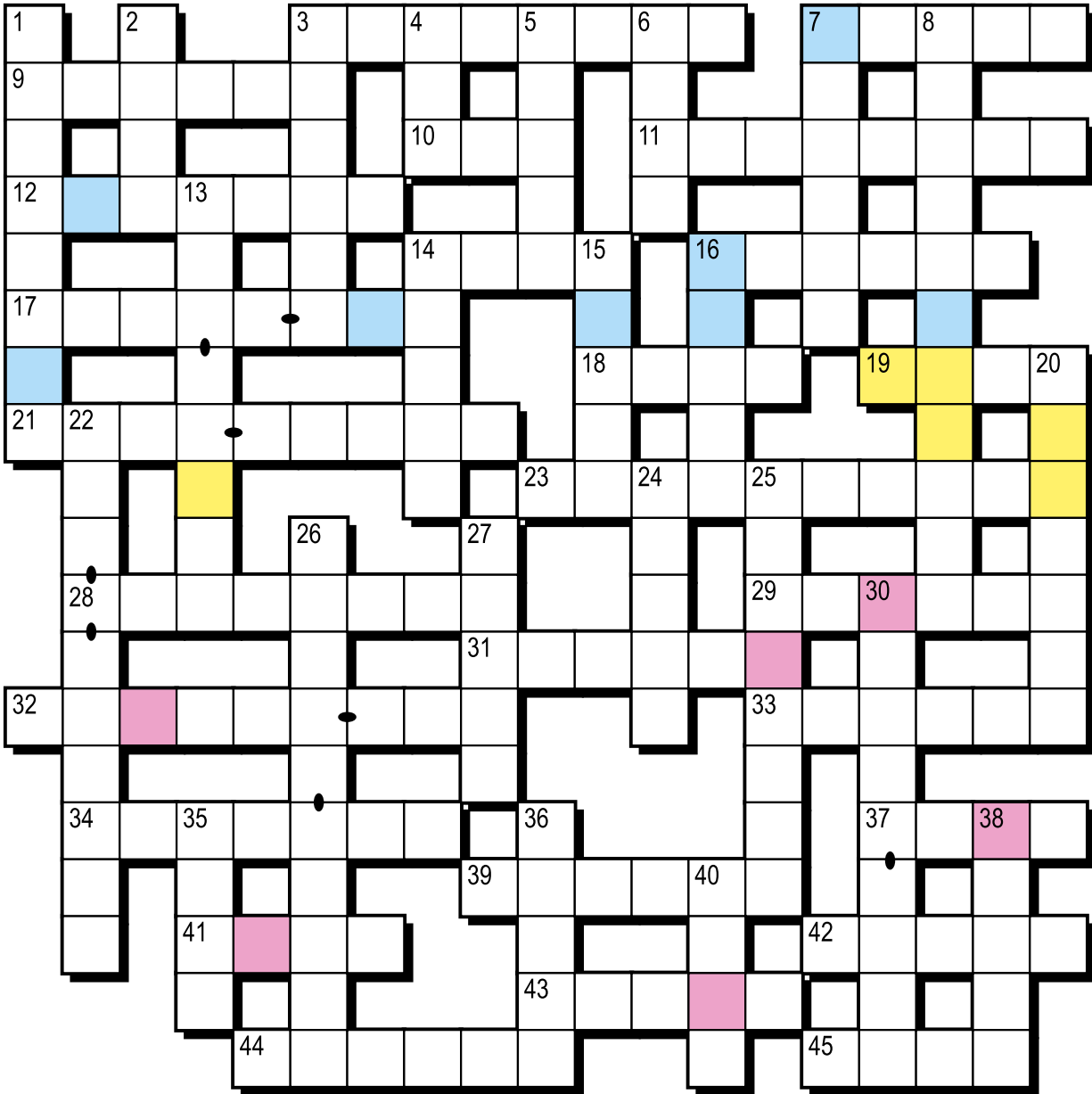
Najwięcej statuetek zgarnęła „Historia kina w Popielawach” Jana Jakuba Kolskiego – cztery, w tym za najlepszy film. Trzy Orły padły łupem „Zabić Sekala” Vladimíra Michálka, m.in. za najlepszą rolę męską, dla Olafa Lubaszenki jako Jury Barana.

Tak, zgadli Państwo. Dzisiejsza „Weekendówka” zabierze nas w świat polskiego filmu. Będą pytania o wielkich reżyserów, gwiazdy i o nagradzane Orłami filmy. O to, by nie było zbyt łatwo, zadbał Jacek Szcerba – filmowy krytyk, scenarzysta i reżyser filmów dokumentalnych, dziennikarz „Gazety Wyborczej” i zasadniczo człowiek instytucja, jeśli chodzi o kino.

Udanego filmowania! To znaczy rozwiązywania. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 3 z 28.05:
ZIELONE DZIECI



POLSKIE NAGRODY FILMOWE

Hasła Jacka Szcerby oznaczono inicjałami (J.S.). Liter w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuły trzech filmów.

Poziomo:

- 3) Magdalena, Ligia w „Quo vadis”
- 7) przegrał w walce o Oscara z austriackimi „Fatszermami” (J.S.)
- 9) z Marcinem Dorocińskim w roli kaprała Wydry
- 10) obsypany nagrodami dramata Pawła Pawlikowskiego
- 11) kiedyś Andrzej, dziś Xawery (J.S.)
- 12) Zbigniew Religa na ekranie

- 14) tacy „Sami ...” (a płót między nami)
- 16) domena Krzesimira Dębskiego, Wojciecha Kilara, Michała Lorenca
- 17) kolęda Piotra Domalewskiego (10 Orłów)
- 18) Karewicz albo Jannings (J.S.)
- 19) komedia z głupim kaowcem
- 21) Marysia w „Znachorze”, Ania w „Kochaj albo rzuć”
- 23) „...”, czyli Kogel-mogel II”
- 28) niezapomniany jako gospodarz Anioł i karierowicz Dyżma
- 29) z pociągu – w tytule obrazu Kazimierza Kutza
- 31) ... Filmowe „Zebra” lub ... Filmowe „Tor”
- 32) odtwórca głównej roli w 12 poziomo

- 33) inne Smarzowskiego, inne Wajdy
 - 34) zbadał „Strukturę kryształu”, przedstawił „Życie rodzinne”
 - 37) „Zmruż ...”
 - 39) ... Gajos
 - 41) dreszczowiec o zastraszonych biznesmenach
 - 42) z dłuugimi przemarszami wojsk szwedzkich
 - 43) „Przez ...”, film Magdaleny Łazarkiewicz (jeden ze zmysłów)
 - 44) jest ... czasów i ... ekranu (plebejski uciekinier potwierdzi)
 - 45) Joanna, serialowa Anna German
- Pionowo:**
- 1) kocha kino
 - 2) narzędzie w tytule powieści, której ekranizacja nosi tytuł „Pokot”

- 3) Kociniak, Opania lub Dziędziel
- 4) Henryk Gołębiewski jako złodziej
- 5) „Body/...” lub „Boże ...”
- 6) film Wojciecha Smarzowskiego nagrodzony 7 Orłami
- 7) Krzysztof, reżyser filmu „Mój Nikifor”
- 8) Beata z „Lalki” Hasa i „Popiołów” Wajdy
- 13) film z piosenką, w której „to tak zabawnie dzielić swój grzech na pół”
- 14) 33 z życia
- 15) do domu (J.S.)
- 16) Zdrówko, Czeremcha i Śliwa („Jasminum”)
- 20) wyspy z filmu Bogusława Lindy (J.S.)

- 22) z Jolantą Umecką i akcją na jachcie „Christine” (finka w jeziorze)
- 24) polski aktor z damskim imieniem w nazwisku (J.S.)
- 25) Michał, znany jako Bolec („Chłopaki nie płaczą”) i Brylant („Poranek kojota”)
- 26) przygarnął wielbłąda, dopadł Kilara
- 27) „... do M.”
- 30) film Maćka Bochniaka, z Dawidem Ogrodnikiem
- 35) „A w filmie polskim, proszę pana, to jest tak: ... Nic się nie dzieje, proszę pana. Nic”
- 36) z rąk Jane Fondy odebrał Oscara za całokształt twórczości
- 38) „... dezerterów”
- 40) Borys, choć nie Lankosz (J.S.)

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play